

MARIA RODZIEWICZÓWNA

JERYCHONKA

1895

I

Magda Domontówna wróciła około południa do swojej pracowni z dalekiego poza miasto spaceru. Pęk jesiennych stokroci i astrów włożyła do wody w dzbanie i ustawiła niedaleko stalug. Potem zdjęła z siebie okrycie, włożyła bluzę roboczą, obejrzała farby i pędzle, spojrzała na zegar.

— Hm, robię się pedantką i punktualną. To dowód dojrzałości... Marynia się ucieszy! — rzekła sama do siebie z wesołym uśmiechem.

Otworzyła okno i wychyliła się przez nie, ciesząc się ślicznym wrześnieowym dniem i słońcem, które zalewało pracownię. Coś nucąc spoglądała na dziedziniec, gdzie bawiły się dzieci i gruchało stado gołębi. Naprzeciw, w oficynie, przez otwarte okna słychać było gromadne czytanie. Widocznie była tam szkoła.

Na środku podwórza stara lipa wyciągała ku słońcu konary i jedna gałąź, na pół złota, pochylała się ku oknu pracowni.

Magda wyciągnęła rękę, ale było za daleko, aby choć listek ująć.

— Może jeszcze za rok — szepnęła. — Może na wiosnę podamy sobie ręce. A może uschniesz?

Zamknęła okno, poszła do stołu zarzuconego szkicami i papierami i wzięła stary, wytarty album.

Wyciągnęła się na kanapie i zaczęła go przerzucać. Czego tam nie było. Krajobrazy i studia, karykatury, gmachy, szkice, zwierzęta, typy.

Powoli, kartka po kartce przesuwały się zarazem wspomnienia. Wyraziste rysy artystki zmieniały się przy

każdej stronicy. Przeżywała na nowo te wrażenia, które czuła wtedy, gdy rzucała na papier te obrazki w swych artystycznych wędrówkach.

Tymczasem głośne czytanie w szkole ucichło, rozległo się suwanie sprzętów i wnet na podwórze wysypał się rój dziewczątek; zaszumiało chichotem, piskiem, nawoływaniem.

Jednocześnie prawie drzwi mieszkania Magdy ktoś otworzył, rozległ się gruby głos, najpierw w kuchni, potem w przedpokoju, i jak burza wpadła do pracowni kobieta wysokiego wzrostu, chuda i zamaszysta, o siwiejących włosach, ubrana czarno.

— Magda, jesteś już?

— Jestem! — odparła artystka, nie przestając przerzucać kartek.

— No, dzięki Bogu. Myślałam, że znowu z twojej łaski będę musiała bawić twoją baronową zamiast myśleć o obiedzie. Co robisz?

— Bawię się. Wiesz, ten nasz album z podróży. Jakbym tam była znowu!

— Dzięki Bogu, że to się skończyło. Ale kupiłaś jabłek?

— Jabłek?

— No, przecież mówiłam, że kucharka zapomniała, a żeś miała iść przez rynek, obiecałaś przynieść.

— A prawda! — podniosła głowę i zamyśliła się zupełnie serio. — Byłam na rynku, alem zapomniała, co mianowicie miałam kupić. Nie przypomniałam sobie, więc wzięłam kwiatów na straganie. Ot, tam stoją.

— Dziękuję ci. Dostaniesz je na wety, bo ja nóg nie mam biegać za ciebie. Nigdy rachować na ciebie nie można.

— Ciekawam, com gorszego od kucharki? Jej wolno

było zapomnieć, a mnie nie? Patrz tu, poznajesz? To ty jesteś na widok *frutti di mare* w Wenecji!

— Pfuj! Jeszcze mi stoją w oczach; a ten swąd! O, zem już Kraków zobaczyła!

— Nie pojechałaśbyś znowu ze mną?

— Za nic! Za nic!

— A ja choćby jutro!

— Zwariowałaś... Masz tyle obstalunków.

— To i cóż? Mogą poczekać. Czekałam i ja na nic. Pojedziemy, Maryniu!

— Ani myślę. Dostyc głupstw. Siedź i pilnuj roboty, która ci chleb daje. I jeszcze jaki! Co prawda, dogadzając ci w twojej pasji do malarstwa, nigdy nie pomyślała, że z tego będzie jaki rzetelny pożytek.

— Dlaczegoż więc męczyłaś się tyle lat dla mnie w Dreźnie, Monachium i Włoszech? Myślałam, że wierzysz we mnie!

— At, naprawdę, kiedym objęła nad tobą opiekę, miałaś piętnaście lat: fatalny wiek! Wolałam z dwojga złego, żebyś smarowała płótna, niż w beczynności zaczęła marzyć o oficerach.

— Malarzy kolegów toś się nie lękała? — zaśmiała się Magda.

— To brudasy, wariaty! Zresztą, tam w szkołach to cię Filip pilnował. Byłam spokojna.

— Więc to Filip był moim aniołem stróżem z twojego ramienia? Patrz, tu jest Filip, jak mu Anglik położył baedekera na świeżej podmalówce.

— Nie wspominaj mi tego chłystka! — burknęła. — Przez rok mógłby choć słówkiem się odezwać. Ale mu spadek w głowie przewrócił. Potrzebne mu były te krocie! Mógłby mi coś dać na szkołę przynajmniej, ale on się

nawet nie pochwalił, nie spytał o radę...

Magda zatrzymała oczy na ostatniej kartce albumu. Był na niej stary mur przy Via Appia, pamiętający cesarów, zwalisko potężne z ciemnej cegły, którą bluszcze spoiły. Płoty z suchego winogrodu i ciernia okalały olbrzyma, a na jego szczycie wiek XIX postawił czerwony słupek z izolatorem telegrafu. Drut przecinał szafir nieba; siedziały na nim dwie jaskółki przelotne, tuląc się do siebie.

— Wiesz, co się z tymi ptaszkami stało? — rzekła, pokazując siostrze obrazek. — Jedna uleciała, druga padła martwa. Znaleźliśmy ją w cierniach i pochowali w papierośnicy Filipa u stóp tych ruin.

— Trzebaż takie głupstwa pamiętać!

— A bo to nie było ostatnie, cośmy razem popełnili? Tegoż wieczora przyszła owa sławna depesza z Wiednia o spadku i Filip pojechał.

— Będzie temu dwa lata. Dwa lata słowa nie napisać! Pracownia jego kosztuje mnie dwieście reńskich rocznie. Ciekawam, po co ja płacę? On już malować nie będzie!

— Pozwól mi ten koszt ponosić i nie mów źle o nieobecnych. Muszę mojego anioła stróża wziąć w obronę. Ma wstręt do listów, wiesz o tym dobrze; przy tym świat wielki, a on zawsze marzył, aby go zwiedzić. Jest teraz może na Alasce lub na Borneo. Z kolei przyjedzie i do Krakowa.

— Dużo rzeczy toleruję, lecz tracenia pieniędzy w podróżach wcale nie rozumiem. Włoczyliście mnie po wszystkich włoskich dziurach i kazaliście się zachwycać! Czym, proszę? Skala, woda, drzewo, niebo... to mi osobliwość! Tylko jedzenie tam jest osobliwie obrzydliwe i żebractwa więcej niż gdzie indziej. Ale po to nie warto jechać tyle dni i godzin.

— Widzę, że stanowczo nie dasz się na powtórzenie wędrówki namówić. Muszę zaproponować panu Sylwestrowi, aby mi towarzyszył.

— No, no, bardzo proszę! Gotowaś dla żartu to zrobić, a on uwierzy. Tego by tylko brakło, żeby się go nigdy nie pozbyć.

— Co on ci szkodzi? Zacności człowiek.

— Doprawdy? Człowiek w jego wieku, żeby był zacny, toby siedział u św. Barbary, nie u ciebie. Modliłby się o śmierć szczęśliwą, ale nie przewracał oczu do młodej dziewczyny, która może być jego wnuczką.

— Wiesz, muszę wyrysować twoją minę, gdy mnie pan Sylwester ukradnie, bo uważam, że dobrowolnie mnie za niego nie dasz.

— A nie dam, bo to byłby nonsens. Gadałaś zawsze o kapłaństwie sztuki, bardzo pięknie. Chcę w to wierzyć, ale tylko w kapłaństwo bezzenne, jakem prawa katoliczka. Bądźże sobie kapłanką, bo do niczego więcej nie jesteś zdatna. Zastanów się, w jakim stanie byłby obiad twego męża i jego bielizna! A też dzieciska nieszczęśne od razu, dla uratowania ich od śmierci, trzeba by oddać do podrzutków.

— To jest projekt genialny. Idę za męża! Rozwiązałaś jedyną kwestię, która mnie powstrzymała w oddaniu ręki i serca panu Sylwestrowi.

— Tobie wszystko służy za powód do śmiechu. Rany Pańskie ktoś dzwoni! To pewnie baronowa do portretu, a tutaj kurzu i śmieci po kostki! Otwórz okna, niech tylko terpentyna wywietrzeje.

— Ani myślę. Terpentyna utrzymuje moje makaty od najścia moli, a mnie jest koniecznie do życia potrzebna. Dawajże tu tę *bella donne*.

Wstała dość opieszale i zrzuciła zasłonę ze stalug. Ukazał się na pół podmalowany portret bardzo pięknej kobiety w stroju balowym. Cała w bieli stała wyzywająca, chłodna, na tle wschodniej makaty.

Portret pysznie się zapowiadał, wart sławy Magdy Domontówny, która przed rokiem dostała medal złoty w salonie paryskim.

Spojrzała na swe dzieło i umaczawszy szmatę w terpentynie starła fałdę materii, potem pilnie zaczęła ją przemalowywać.

W tej chwili baronowa weszła do pracowni, rzuciła na stół karton i rzekła rozpinając stanik:

— Tym razem ja się spóźniłam, lecz to wina fryzjera, który mi nie mógł dogodzić. Pani już przy pracy?

— Zaledwie od minuty.

Obejrzała się na piękną panią, rozbierającą się przed zwierciadłem i uśmiechającą się do siebie samej z lubością zupełnego zadowolenia.

Była bardzo piękna i ślicznie zbudowana, wyglądała na dziewczynę dwudziestoletnią, a miała lat trzydzieści i od dwóch lat rozwiedziona była z mężem, którego znano w Krakowie, bo służył tam dłuższy czas w wojsku; po zerwaniu z żoną wyniósł się i przepadł bez wieści. Ojciec baronowej, aferzysta wiedeński, w Krakowie był znany jako dostawca wojskowy i tamże sobie żonę wynalazł, zbogaconą mieszczkę, która mu wniosła w posagu dwie kamienice i sporo gotówki. Skutkiem jakichś tajemniczych zawikłań w interesach musiał się z Austrii wynieść. Podróżował wiele z żoną, za granicą im się córka urodziła i tam ją wychowano, tam też stary umarł. Po jego śmierci wdowa zjechała do Krakowa z fortuną poważną i piękną panną na wydaniu.

Tymczasem ludzie trochę zapomnieli o powodzie dobrowolnej banicji, resztę zatarły posąg i uroda panny, i nikt się nie zdziwił, że złożyły wizyty i weszły do towarzystwa.

Coś w niespełna rok rotmistrz Faustanger o pannę się oświadczył i został przyjęty.

Małżeństwo to niedługo cieszyło się sobą. Po dwóch latach rotmistrz przeniósł się do Styrii, piękna Alicja wróciła do matki.

Mówili jedni, że on był gwałtowny i zazdrosny, drudzy, że ona nudziła się w Krakowie, gdzie męża stale trzymała służba.

Te panie zeszyły ludziom na jakiś czas z oczu, a gdy o nich trochę zapomniano, wróciły znowu i odtąd co rok spędzały tu kilka miesięcy, których stara radczyni używała do interesów, młoda pani do odpoczynku po zagranicznych sezonach.

Magda знаła baronową od wiosny. Zamówiła portret, pozowała kilka razy i wyjechała do Ostendy, bo jej się zdało, że ma reumatyzm, a troskliwość o zdrowie posuwała do dziwactwa. Teraz za powrotem prześlagała artystkę i znowu regularnie przychodziła co dzień do pracowni.

Magda nie mogła się oprzeć piękności tej twarzy i kształtów, miała prawdziwą przyjemność umysłową w rozmowie z nią. Przyznawała jej wykształcenie wszechstronne, wdzięk rzadki, łatwość obejścia i rozmowy, lecz pomimo to wszystko nie czuła do niej sympatii, przeciwnie — nieprzepartą nieufność i jakby strach. Przeważa ją żartem *bella donna* i nazwa ta krążyła po mieście, gdzie artystka miała całe legiony znajomych, przyjaciół i kolegów i lubiana była ogólnie.

Baronowa ubrała się szybko i stanęła do pozowania.

Magda przyjrzała się uważnie, zmieniła trochę układ postaci i usiadła przed stalugami.

— Wolno mówić? — uśmiechnęła się piękna pani.

— I owszem.

— Czy pani mnie nie znajduje piękną?

— Ja? — zaśmiała się artystka ubawiona pytaniem wymówionym tonem rozpieszczonego dziecka. — Przeciwnie, widzę, że pani ma charakter i wyraz rzadki przy takiej piękności.

— To czemu mi pani nie powie tego nigdy?

— Zachwyty moje bywają milczące.

— Jak pani to mówi? Nigdy nie można dociec, czy pani żartuje, czy mówi serio. To mnie i gniewa, i zajmuje, i podoba się.

— A jak pani się dowie, przestanę już zajmować?

— To zależy! Jeśli się przekonam, że pani drwi ze mnie, postaram się zadrwić z pani.

— Służę, i owszem! — odparła Magda zawsze uśmiechnięta.

Na sekundę brwi baronowej zbiegły się i nozdrza rozděły. Musiała być gwałtowna i nieprzywykła do oporu. Magda wyraz ten przelotny uchwyciła jednakże, uśmiech jej o cień jeden stał się bardziej drwiącym.

Ale już baronowa ozwała się swobodnie:

— Mam do pani pretensję. Zostałam obdarzona przewiskiem wcale niepochlebny. Skąd mi pani daje własności trujące?...

— Przeciwnie, to właśnie powód, że uznana pani piękność: *Bella donna*.

— A nie boi się pani jej trucizny za przewisko?

— Nie. Bardzo tylko nierozsądne i głodne ptaszki biorą się na te jagody. Ale któż to pani mój żart powtórzył?

— Ach, nie pamiętam nawet. Wbrew przysłowiu jest pani bardzo lubiana i poważana w kraju własnym i nie ma pani wrogów.

— Bo i ja wszystkich lubię. Jestem dzieckiem krakowskim i bardzo gród swój kocham.

— I nie jest pani *belladonna*. — w zamyśleniu poważnym wymówiła baronowa.

Chwilę milczały, aż piękna pani rzekła żywo:

— Chciałam spytać pani o nazwisko pani siostry. Wczoraj powiedziała mi je i wydało mi się znanym.

— Osiecka. Mąż jej służył w ułanach i umarł młodo wskutek porażenia słonecznego w czasie manewrów. Załedwie go pamiętam.

— Ma syna?

— Nie. Ma tylko mnie, którą wychowuje od dziesięciu lat.

— Spotkałam w Ostendzie młodego człowieka tego nazwiska.

— To pewnie Filip.

— Kto taki?

— Syn brata jej męża.

— Pani go zna?

— Jakże! Jak brata i kolegę. Chowaliśmy się razem pod jej opieką.

— To dziwne, że mi o pani nie wspomniał, gdyśmy mówili o Krakowie.

Magda uśmiechnęła się po swojemu.

— Może miał ciekawszy temat do rozmowy.

Baronowa uśmiechnęła się także po swojemu, trochę lekceważąco.

— A może to kto inny? Średniego wzrostu, szczupły, złoty blondyn z czarnymi oczyma, śliczne ma zęby, a

śmieje się często i żywy jak student. Wracał z Egiptu opalony jak Beduin. Grywał mi na tamecznej gitarze oryginalne wschodnie melodie. Ładny ma głos i ogólnie bardzo może się podobać. Przy tym jest w nim coś tajemniczego; wygląda, jakby poza jednym był drugi człowiek.

— Poza światowcem jest artysta.

— Więc naprawdę jest kolegą pani?

— Tak, ale raczej mistrzem nigdy niedościgłym. Czyż nie mówił pani, że maluje?

— Ani wspomniał. Domyślałam się raczej tego po świetnych opisach zwiedzanych okolic. Czuć, że co widział, widział dobrze.

— Szkoda! — szepnęła Magda. — Pracownia jego dwa lata stoi pustką, a na stalugach obraz rozpoczęty na wystawę. Przerwał go dla podróży do Włoch i stamtąd w świat ruszył. Szkoda... nie powinien się zmarnować.

Była w tej chwili bardzo poważną, surową nawet.

— Wyglądał bardzo szczęśliwy i wesół. Naprawdę, po co ma być koniecznie sławnym!

— Czy pani nie wierzy w powołanie?

— Owszem, wierzę, że nikt go nie spełnia.

— To wielka prawda. Dlatego tylu jest ludzi wykolejonych i złamanych. Wiedząc to i spotykając co krok, nie chcę, by Filip wśród nich się znalazł.

— Pani go widocznie wyszczególnia w swej sympatii?

— Tak. Zresztą znam go jak siebie i wiem, czego jego dusza potrzebuje. Daj Boże, by on to sobie przypomniał!

— Sądzę, że go pani rychło zobaczy w Krakowie — rzekła baronowa z uśmiechem dwuznacznym.

Magda spojrzała na nią uważnie, badawczo i rzekła swobodnie:

— Ano, to będzie zupełnie naturalne.

— Co takiego?

— Co wart artysta, jeśli nie czci piękna?

Baronowa skrzywiła się.

— Znowu nie wiem, czy pani drwi, czy mówi serio?

— Pani trochę zmieniła pozycję lewej ręki. Odrobinę wyżej, jeśli łaska. Tak, dobrze.

— Pani się nigdzie w świat nie wybiera?

— Tej zimy nie. Mam mnóstwo zamówionych portretów i lubię Kraków.

— I ja tu zimuję niestety! Matka z roku na rok jest skąpsza. Nie rozumiem, co będą robiła tu w tej dziurze przez tyle miesięcy!

— Tak, gdy się nawyknie do ruchu i zmian, trudno bez tego się obejść.

— Pani bo szczęśliwa, ma swoją sztukę. Żeby ja umiała tworzyć, życie inaczej by poszło. Ale ja tylko umiem naśladować i to mnie doprowadza do rozpacz. Z nudy wzięłam się teraz do czytania i muzyki, ale to nie wystarcza. Czy pani maluje cały dzień?

— O nie! Wstaję bardzo rano i odbywam dalekie spacer. Pracuję do obiadu, potem odwiedzają nas znajomi. Wieczorem, gdy jesteśmy same, czytuję głośno siostrze lub gram. Życie jak w zegarku. Zresztą siostra nie daje mi próżnować.

— Pani Osiecka ma szkołę podobno?

— Ach, to jej konik. Zbiera między opłotkami dziatwę ubogą i dziką i mustruje to stado do południa. Co za tragicomiczne bywają co dzień w tym państwie wydarzenia! Jest zawsze oszukiwana, wyzyskiwana i często jeszcze wyśmiewana, ale zawsze z rezultatu rada. Podziwiam, jak jej czasu wystarcza na tyle zajęć, bo mając

już swoją ukochaną szkołę, należy jeszcze do zarządu dwóch ochron i przytuliska starców i kalek. No i zarządza mną i moim domem, i ma mnóstwo towarzyskich stosunków.

— I nigdy się panie nie sprzeczą?

— Nie. Ona na mnie często gderze za roztargnienie, a ja się śmieję z jej codziennych niepowodzeń z diatwą. Zresztą harmonii naszej nic nie zakłóca. Zanadto jesteśmy do siebie przywiązane.

— A ma też pani kogo szczególnie wybranego wśród tej masy znajomych?

— O, zapewne. Mam koleżankę z Drezna, Berwińską, wyborna dziewczyna! Mam dwoje staruszków, Zaklickich, którzy gospodarzą na ziemi o mil parę za miastem. Ano, lubię bardzo Andrzeja Oryża, malarza, który mnie zawsze odsądza od wszelkich zalet, i pana Sylwestra, który mnie broni przed jego krytyką.

— Tego znam!

— To nietrudno! Nie ma domu, gdzie by nie był, i kamienia w Krakowie, który by bez niego położono od lat pięćdziesięciu.

— Mówią, że jest bardzo majątny.

— Zapewne, jeśli mógł zgromadzić tyle cennych przedmiotów. Dom jego to istne muzeum.

— Doprawdy? Muszę się do niego zaprosić. Mam kult dla takich starych gratów.

— Znajdzie tam pani, co zechce: od brązów do sztychów, od połamanych mebli do koronek.

— To nawet się oplaci ze staruszką poflirtować.

— O, niezawodnie! Tym bardziej tutaj, w cichym Krakowie, gdzie wybór, sędzę, niewielki.

— Pani toleruje tę zabawkę?

— Jeśli to kogo bawi... dlaczego nie?

— A pani tego nie próbuje?

— Flirtu? Nie! Znadto jestem roztargniona, a to gra wymagająca wielkiej przytomności umysłu. Ciągłe bym zapominała, żem zaczęła i z kim właściwie.

W tej chwili zegar wybił godzinę. Baronowa zerwała się gwałtownie.

— Dla Boga! Już trzecia, a ja miałam o pierwszej być u szwaczki. Anim się spostrzegła.

— Ani ja — rzekła Magda obojętnie, nie przestając malować. Baronowa ubierała się spiesźnie, trochę zagniewana na siebie samą.

— To jest nie do darowania. Szwaczki już nie zastanę, a matka mi piekło zrobi o śniadanie. Cały porządek dnia zmacony. Teraz dopiero czuję, jakem zmęczona. Członki mi ścierpły. Chyba już jutro sprawię sobie i pani rekreację.

— O nie! — zaprotestowała Magda. — Jeszcze tylko tydzień posiedzeń; niech się pani poświęci. Wykończenie i akcesoria zrobię już bez pani, ale tego tygodnia nie ustąpię.

— Rada pani mnie się pozbyć, uważam.

— Bynajmniej, ale musi pani odpokutować Ostendę.

— Cóż mam robić. Przyjadę pod warunkiem, że pani mnie będzie bawiła. No, do widzenia zatem.

Już ubrana, podała artystce rękę w bardzo eleganckiej rękawiczce i dodała z wabnym uśmiechem:

— Bardzo bym rada po skończeniu portretu pozostać w gronie znajomych pani.

Magda ukloniła się w milczeniu i uściśnęła podaną dłoń. Potem przeprowadziła baronową do przedpokoju i wróciła do roboty. Malowała pilnie, korzystając ze świeżej pamięci, zajęta wyłącznie swym dziełem, które coraz doskonalej występowało jak żywe na płótno.

Krótko jednak dano jej pracować, bo majorowa wpadła jak burza.

— Myślałam, że tu zanocuje! Czy sfiksowała? Nie wie, że w każdym porządnym domu ludzie są głodni o trzeciej? Obiad przepalony na nic! Chodźże prędzej! Już tylko patrzeć, jak Oryż z Sylwestrem się zjawia.

— Daruję im moją porcję. Patrz, czy dobrze? Majorowa przysłoniła oczy i zachodziła to z prawej, to z lewej strony sztalug.

— Podobna! Nie ma co mówić. Ale to zgroza tak się obnażać. Nie mogę do tego przywyknąć. Ale wiesz, com o niej słyszała? Mąż się z nią rozszedł dla gachów. Wszyscy oficerowie byli u niej w łaskach.

— Dotychczas zbierałaś po Krakowie tylko błakające się dzieci, teraz, uważam, że zaczynasz zbierać plotki.

— To nie są plotki. Chcę, żebyś wiedziała, co o niej mówią, i żebyś była ostrożną.

— Dawno wiem, co mówią. Oryż przecież od tego jest, żeby mi prawił skandale; lecz nie cierpię, gdy kobiety obgadują się wzajemnie, i każda oczerniona ma we mnie obrońcę. Nie godzi się powtarzać oszczerstw nie popartych żadnymi faktami.

— A to wyśmienite! Więc to mały fakt, że od niej uciekł?...

— Pewnie, że to niczego nie dowodzi. Mogli się w tysiącach innych rzeczy nie pogodzić. Zresztą, co mi tam! Nie cierpię, gdy kogo obgadują, i basta!

Majorowa zamruczała coś dla utrzymania swej powagi i ostatniego słowa, ale serce jej pełne było radości z oburzenia siostry. Ona czasem tak jej próbowała dla przyjemności usłyszenia zdrowej, śmiałej prawdy. Lubiała tę dziewczynę nad życie za jej szczerłość i poczucie honoru.

Dumna była, że wychowała taką, i pewna, że to jej wpływ i zasady taką ją uczyniły. Chociaż, jeśli kto nad kim miał władzę, to Magda nad nią.

— Wiesz, gdzie jest Filip? — ozwała się artystka, nie odrywając się od roboty.

— No?

— W Ostendzie grywał na gitarze baronowej i tu prędko przyjedzie.

— Nie może być! A to chłystek! Niechże mi się na oczy nie pokazuje.

— Bo go wpakujesz do szkoły jako moralnie opuszczone dziecko i włóczęgę.

— Więc się zakochał w tej lali, a ona się przechwała. Winszuję.

— Znowu zaczynasz. Ja zaś dziwiłabym się, gdyby się nie zakochał; nie byłby artystą. Ona się tym nie przechwała. Znadto jest piękną, aby jej już nie spowszechniały ludzkie zachwyty.

— Ja tam w niej nic tak nadzwyczajnego nie widzę. At sobie!

— Maryniu, bo cię wygonię z pracowni. Bój się Boga, kobieto, spojrzij na jej linie, na kształt bioder, na karnację, na ramiona, na profil. Toć żywy posąg grecki!

— Dziękuję ci za taką piękność! Dostyc wstydu miałam włączając się z wami po galeriach. A ja ci powiadam, że to jest chorobliwe, ten wasz zachwyt nad taką marnością. Zgnije i tylko fetor zostanie.

Magda ze złością rzuciła paletę, pędzel i zakryła portret.

— Żebym ciebie nie kochała, tobym znienawidziła! — zawołała oburzona.

A majorowa śmiała się z dobrodusznym triumfem i otwierając okno pracowni rzekła:

— Dzięki Bogu, przecież postawiłam na swoim. Zjemy porę obiad, bo oto Oryż dzwoni.

Magda obejrzała się za bronią odporną i porwawszy z dzbana pęk astrów, zaczęła nimi uderzać siostrę, pędząc ją ku drzwiom i wołając żartobliwie:

*Idźże dojadła, napoju,
Zostawże mnie w spokoju,
A kysz, a kysz!*

— Kto potrzebuje sukursu? — zawołał z salonu Andrzej Oryż.

— Naturalnie ja — odparła majorowa. — Patrz pan, jak ona moje siwe włosy postponuje! Zgroza!

Malarz stanął przed Magdą i usiłował odebrać jej pęk kwiatów. Był to człowiek młody, suchy i śniady, bardzo brzydki, nadzwyczaj bystrego wyrazu twarzy, przy którym zupełnie zapominało się o brzydocie. Magda, śmiejąc się wesoło, umykała mu kwiaty, wreszcie, zmęczona, rzuciła je na stół i wymknęła się z pracowni.

— Wróg sromotną podjął ucieczkę — zadeklamował Oryż — pozostawiając łupy w ręku zwycięzcy!

Zebrał kwiaty i chwilę trzymał je w ręku smutno się wpatrując. Wybrał jeden, włożył w klapę surduta, potem, jakby zawstydzony, wyjął. Na to wróciła Magda, już przebrana do obiadu, nucąc półgłosem.

— Co to? Pan stokrotki obrywa! — zaśmiała się.

— Tak, pytam, czy mnie kto kocha — odparł ironicznie.

— Niech pan mnie spyta. Ja wiem.

— A ja wcale nie chcę słyszeć tego, co pani wie. Wolę stokroć kochać bez nadziei, niż być kochanym przez kogoś obojętnego.

— To dowód, żeś pan bardzo jeszcze młody.

— Miałem już czas młodość zmarnować, ale miłość beznadziejna daje natchnienie, a tamta odbiera. Więc niegłupim zmieniać.

— Patrzcie no, więc pan w sercu krwawą ranę nosi! Niechże się panu przypatrzę i oddam cześć.

— Słuszną. I przyjmuję. Uczynię panią nawet moją powiernicą. Kocham bez wzajemności moją praczkę.

— Winszuję, ale jej się nie dziwię. Żadna praczka nie odda serca abnegatowi. To by była za wielka ofiara. Miałam dzisiaj trzy godziny baronową... wie pan!

Oryż podszedł do stalug i odkrył portret. Długi czas przyglądał się w milczeniu — oczy jego zabłyśły, nozdrza się rozděły — nie mówił nic, aż ochłonał.

— Cóż... dzisiaj drzewo czy bawełna? — spytała Magda, układając kwiaty.

— Nadmuchana cielęcina — zdecydował Oryż. — Tak fuszerować i ja bym potrafił. Ta dama nie ma mięśni ani krwi... to jest bohomasz! Takie sprzedają na łokcie po kramach na odpustach!

— Takie! — zaśmiała się Magda. — Kup mi pan trzy łokcie takich świętych!

Spojrzała na swe dzieło, a Oryż jął jej różne punkta wskazywać.

— Dlaczego to ramię spuchnięte? Tu, ani chybi, formuje się wrzód, a ten palec rzeczywiście jest krzywy. A te sine zygzaki, czyż to mają być żyłki? Nikt żywy takich nie widział dotychczas.

Gdybym był baronową, tobym to straszdyło darował na kurtynę do gabinetu figur woskowych.

Magda słuchała bez gniewu, owszem z zajęciem. Śledziła uważnie wskazane punkty i potakiwała głową.

— To prawda. Przemaluję jutro — rzekła.

— Na co się to zda? Zmaże pani jeden, a zrobi trzy błędy — odparł Oryż wciąż się wpatrując.

— To zmażę wszystko!

Wzięła szczotkę i butelkę z terpentyną i bez żartu zabierała się do roboty.

Wtedy Oryż prędko płótno zakrył i żywo rzekł:

— Po obiedzie! Po obiedzie!

Wybuchnęła śmiechem, a on spostrzegł, że się zdradził, i dodał odprowadzając ją od stalug:

— Bo to daremny trud. Będzie pani smarowała i źle smarowała, więc po co z panią walczyć? To jest mania, a głupcy utrzymują w niej panią. Świat tyle się zna na sztuce, co Sylwester. Maluj sobie pani dla takich.

— To dobrze. Wzroku panu nie będę więcej zabijała widokiem bohomazów.

— O, dziękuję pani z całego serca — odparł wdzięcznie. Oryż był prawie domownikiem u nich, bo się stołował i miał w przechowaniu u majorowej swój kuferek z drogocennymi rzeczami. Nie trzymał go w swej pracowni, bo ta była periodycznie licytowana przez lichwiarzy. Mówił też dlatego z przechwałką, że nigdy nie może nadażyć z robotą i że każde jego płótno ma nabywców, zaledwie obeschnie.

Zdolny był niesłuchanie, ale próżniak i cygan. Żył z ilustracyj; pracował tylko wtedy, gdy go trzymano jak na uwięzi albo gdy nie miał nawet centa na cygaro.

Rano wałęsał się bez celu. Po obiedzie szedł do knajpy; rzadko w domu nocował. Czasami ginął gdzieś na całe tygodnie.

Majorowa lubiła go przecie, bo jej co dzień prawie przyprowadzał ze swych wędrówek obdartusów do szkoły i

bardzo się tą szkołą zajmował. Zresztą miała to przekonanie, że zeń zrobi statecznego człowieka, i dlatego karmiła go dobrze, bo mówiła, że porządny wikt wpływa najskuteczniej na poprawę obyczajów.

Rzeczywiście, Oryż od roku, jak do nich przyszedł, dość regularnie przychodził i czasami nawet płacił. Gdy Magda malowała po obiedzie, czytywał jej głośno, i jeśli go chciała mieć z sobą wieczorem w teatrze lub na spacerze — nie szedł do knajpy.

Przepadał czasami bez wieści, ale tylko wtedy, gdy te panie czas jakiś bywały zajęte towarzyskimi stosunkami i o nim zapomniały. Wracał wprost do nich i jakby wczoraj pożegnał, prosił o klucz od kufierka, siadał do obiadu i płądrował po pracowni Magdy.

Majorowa wołała z jadalni. Zasiadli do stołu.

— Cóż słyhać w szkole? — zagadnął Oryż, który jadł mało i nawet na potrawę nie spojrział.

— Było ich dzisiaj trzydzieścioro — pochwaliła się majorowa.

— Winszuję. A moja Wikta nie uciekła jeszcze?

— Nie. Teraz mam na nie sposób. Daję śniadanie. Nie dość na tym! Białą kawę! Kto przychodzi umyty i uczesany, dostaje w dodatku bułkę.

— Bagatela! — zaśmiał się Oryż. — Na takich warunkach tobym się i ja mył i cesał co dzień.

— To mi doradził ks. Walery od św. Barbary. I wie pan, okazało się to nadzwyczaj skuteczne. Już dzisiaj dałam dwadzieścia bułek.

— Ależ to panią musi porządnie kosztować ta trzódka błędnych owiec!

— Tylkoż to! Żyję na koszt Magdy już teraz, a na tamto wystarczam ze swoich.

— To jednak musi być zabawne mieć zawsze pieniądze na każdą potrzebę.

— Warto, żeby pan tego spróbował. Czas się ustatkować, panie Andrzeju.

— Nie chcę! To nie szyk w naszym cechu — odparł Oryż pogardliwie. — O czym pani myśli? — zwrócił się do Magdy.

Drgnęła, budząc się z zadumy. Ale on nie dał jej odpowiedzieć.

— Niech pani nic nie mówi, bo to będzie kłamstwo.

— O, bardzo proszę! Nigdy sobie tej fatygi nie zadaję, aby zmyślać. Myślałam o Filipie.

— Odnalazł się?

— Tak. Poznała go baronowa w Ostendzie; ma tu przyjechać rychło. Myślałam tedy, że się weźmie do pracy.

— Romansowania z baronową? To niezawodnie.

— Ależ jedno drugiego nie wyłącza! Miłość daje natchnienie.

— Jak komu; mnie przeciwnie.

— Ba, jeśli kto marzy o praczce! — odcięła.

— Lepiej o praczce niż o baronowej. Bo ta rozskubie jego duszę na szarpie i zrobi z nich sobie taburecik lub poduszkę dla pinczera!

— Oho, pan nie znasz Filipa — wtrąciła majorowa. — Nie tak łatwo go rozskubać! Da sobie radę,

— Zresztą, co tam! — machnął ręką Oryż. — Człowiek po to żyje, by się zmarnować. Więc, czy się zmarnuje od knajpy czy od buduaru, od długów czy od perfum... to rezultatu nie zmienia.

— Panie Andrzeju, bez urazy, ale przyjdź pan do szkoły na parę lekcji katechizmu — rzekła majorowa żartobliwie.

— Nauka niedługa, nietrudna do pojęcia, a równie

skuteczna jak różga, na którą, niestety, pan już za stary.

— Dziękuję pani i skorzystam, skoro pani rozszerzy swój zakład i na chłopców.

— A wie pan, że już o tym myślę. Ksiądz Walery bardzo mnie do tego namawia. Tylko w tym domu ciasny lokal.

— Dzięki Bogu. Mam jeszcze czas powąłęsać się nad Rudawą, zanim mnie pani do katechizmu zapędzi.

Obiad był spożyty. Powstali tedy i przeszli do saloniku. Majorowa przyniosła stos dziecięcych zeszytów do przejrzenia, Oryż zapalił cygaro, Magda usiadła do fortepianu i brząkała coś od niechcenia.

Oryż słuchał chwilę, potem wstał.

— Nie jestem dzisiaj paniom na nic potrzebny? — spytał majorowej.

— Ach i owszem. Wyrysuj mi pan ładny zygzak na plecionki. Potrzebuję modelu, a u Magdy doprosić się go nie mogę. Narób mi pan też ładnych monogramów do haftu!

Oryż z widocznym zadowoleniem przyniósł z pracowni papier i ołówki i na kolanie jał rysować. Nigdy go nie można było namówić, by używał stołu.

W tej chwili dzwonek się ozwał i Magda rzekła:

— Jest pan Sylwester.

Gość był to niemłody jegomość, otyły, czerwony i uśmiechnięty, bardzo starannie ubrany i ruchliwy. Wyglądał na człowieka, któremu życie szło gładko i wesoło jak strumyk bardzo jasny ale i gładki.

Już w przedpokoju gadał ze służącą, a witając towarzystwo mówić nie przestawał.

— W przelocie wpadłem, okropnie mi się spieszy! Mam dla pani majorowej lokal, cacko, na szkołę. Radzę się spieszyć, bo zajmą. Ale mówiłem z właścicielem, obiecał

do jutra czekać. Nie było pani panno Magdo, dzisiaj na wystawie, a szkoda, są nowe kartony Matejki. Pana to chcę porwać z sobą jako eksperta.

— Od czego? Alboż fan pijasz piwo?

— Pijam niekiedy. Ale nie o to rzecz idzie. Dano mi znać że jest do nabycia prawdziwy Carlo Dolci. Boję się, czy nie blaga

— I niezawodnie. Gdzież to cudo ma być? — spytała Magda.

— Na Podgórzu, u jakiejś wdowy po muzykancie. Mam tu adres. A może by też pani zechciała nam towarzyszyć? Pogoda prześliczna, przejedziemy się za jedną drogą. Mój powóz czeka

— Dziękuję, ale nie mam ochoty. Słonecznych dni już mało—muszę z nich korzystać. Zresztą pewna jestem, że to kopia albo naśladownictwo.

— A ja nie ekspert i nie pojedę — rzekł Oryż. — Filistrem nie jestem ani małpą, żeby mnie obwożono budą po mieście Weź pan sobie Malickiego; ten się wysypiał dwa miesiące w Uficjach florenckich i dowodzi, że jest znawcą.

— Malicki jeszcze w Zakopanem bawi. Ale, słyszeli państwo mają dawać pojutrze *Marię Stuart* z Modrzejewską. Dostałem ostatnią lożę. Może pójdziemy?

— I owszem — zgodziła się Magda.

Oryż coś zamruczał — zapewne znowu, że nie jest małpą, żeby się pokazywać w loży.

— Ale najciekawsza rzecz na końcu! — uśmiechnął się pan Sylwester. — Mam dla pani ukłony od pana Osieckiego.

— Od którego? — zawołała majorowa.

— Jużcić nie od nieboszczyka majora, bo pan Sylwester

na ducha nie wygląda! — mruknął Oryż.

— Od pana Filipa. Przyjechał wczoraj wieczorem i kazał powiedzieć, że się wnet do pań zgłosi, gdy sobie locum upatrzy. Spotkałem go na Grodzkiej, wychodził z magazynu z baronową Faustanger.

— Słyszeliście! — ruszyła ramionami majorowa. — Zgłosi się... patrzcie go. Co za fanaberia! Niech mu pan powie, że jeśli nie jestem u niego pierwszą, to żadną. Obejdę się bez jego wizyt obowiązkowych.

Pan Sylwester mocno zdziwił się takiemu przyjęciu wieści, którą miał za radosną. Oryż zaczął szyderczo się uśmiechać.

— Tego by też do katechizmu, do szkoły.

— Ależ Maryniu — wtrąciła Magda. — Wczoraj przyjechał zaledwie.

— Więc wczoraj powinien był przyjść. Mój dom był jego domem dotychczas. Powinien był z kolei wprost zajechać po klucz od pracowni. Przecież dwa lata utrzymuję ją w całości!

— Ależ on nie zna naszego adresu — rzekła Magda.

— Twój adres zna każdy dorożkarz. Zresztą to są wykręty. Baronową potrafił znaleźć. Zobaczysz, że on nie nasz!

— Może być — ruszyła ramionami. — Jest już w tym wieku, że opieki twej nie potrzebuje.

— Ja też z nią nie myślę się narzucać. Od jutra nie płacę za pracownię.

— Nie płać, ale się nie gniewaj, bo każdy pozna, że mówi przez ciebie wielka obrażona miłość.

— Wcale się nie zapieram. Wychowałam go dla siebie, a nie dla jakiejś baronowej.

— On też jej za stryjenkę i opiekunkę nie uważa! —

zaśmiał się Oryż.

— To jest cudowna kobieta — ozwał się pan Sylwester.
— Ale ja się jej boję.

— Nabierz pan odwagi, bo chce zwiedzić pana muzeum i trochę pobalać właściciela. Namówiłam ją dzisiaj do tego przy pozowaniu.

— Święty Wojciechu, strzeż mnie! — zawołał Sylwester z udanym strachem, a w rzeczy samej mile polechtany zajęciem pięknej pani.

— Zjedz trochę *belladonny*, staruszkule, zjedz — dogadywał Oryż. — Masz strawny żołądek, nie otrujesz się.

— Więc była dziś u pani? Jakże portret? Cudowny... Marszałek prosił mnie dziś o protekcję do naszej artystki.

— Marszałek? Dawaj mi go pan! — zawołała Magda. — Co za pyszna głowa! Tego bym malowała z rzetelną przyjemnością.

— Skąpy jest i chciwy.

— A to mu zapłacę jeszcze, jeśli się zgodzi — zaśmiała się artystka. — Zatrzymam portret, a jemu dam kopię!

— Nie pleć! — upominała majorowa. — Prawisz trzy po trzy rozchodzi się to po mieście i robi ci niechętnych.

— Ja jestem jak studnia — bronił się pan Sylwester z całym przekonaniem, chociaż nigdy niczego w tajemnicy nie mógł utrzymać.

— Studnia publiczna — mruknął Oryż, oddając majorowej gotowy rysunek.

— Wolno mi będzie zobaczyć portret? — prosząco rzekł Sylwester. — Tylko bez tego pana, bo on mi truje zachwyty.

— Jam też nieciekawym i odchodzę.

— Nie — rzekła Magda. — Pan zostanie i pojedzie z nami do tego Carlo Dolci, bo i mnie przyszła ochota.

— O pani, co za łaska! — wykrzyknął stary rozpromieniony.

— Co to, to nie! — zbuntował się Oryż. — Mówiłem raz, że budą nie jeżdżę. Żegnam państwa.

Kiwnął niedbale głową i wyszedł.

— Co za gbur! — szepnął Sylwester.

Magda zniosła obojętnie impertynencję i otworzyła drzwi do pracowni.

— Spójrzyj pan na portret i jedźmy.

— Jak pani może pozwalać na takie zachowanie się? Ja bym go spoliczkował, gdybym miał prawo stanąć w pani obronie!

— Bywają grzeczności męskie daleko więcej ubliżające godności kobiecej niż jego nieokrzeseanie — odparła spokojnie. — W intencji on mnie nie obraził. Pozór trzeba wybaczyć jak źle wychowanemu dziecku.

Odkryła portret. Sylwester ręce złożył.

— Żywa, oddycha, krew w niej krąży: to arcydzieło! Pani siebie przeszła!

Artystka prędko zasunęła płótno.

— Słuchać pana nie mogę. Pan się nie zna: tysiące błędów. Będę jutro poprawiała.

— Nie godzi się. To cudo! Klękajcie narody!

— Milczże pan przez litość i jedźmy!

Majorową zastali w przedpokoju, gotową do wyjścia.

— Jedziesz z nami? — zapytała Magda.

— Nie mam czasu. Stróż mi mówił o trojgu sierót po szewcu. Muszę się o nie dopytać. Mam też interes do siostry Róży u szarytek.

Magda nie nalegała. Życie artystyczne wyrobiło w niej samodzielność i dojrzałość.

Wsiadła bez żadnej złej myśli do powozu pana

Sylwestra i ucieszyła się niefrasobliwie piękną pogodą, ruchem ulicznym i spotykanymi typami.

Znajomi widząc ją witali z uśmiechem.

Miała bo wielu przyjaciół z powodu szczerego i wesołego usposobienia, a bardzo mało zawistnych z powodu zupełnego braku pychy i zarozumiałości.

Była zupełnie szczęśliwą i swobodną.

Miała dostatek materialny dzięki fortunie siostry, miała sławę i talent, miała zdrowie i młodość i była ogólnie kochaną.

Czasem, zastanawiając się nad swoim losem, mawiała do Heleny Berwińskiej, swojej powiernicy i przyjaciółki:

— Wiesz? Zanadto mi się wiedzie. Boję się odwetu losu i boję się sama siebie. Człowiek podobno nie spocznie, aż sobie wyszuka nieszczęście!

Dziś, jadąc na Podgórze, poza wesołością i swobodą czuła w sobie smutek. Nie zdawała sobie z niego sprawy, a raczej nie chciała go zgłębiać. Otrząsała się jak człowiek z silną wolą, gdy czuje, że go choroba zaczyna męczyć.

“Głupstwo! — myślała — nie dam się. Zanadtom rozpieszczona powodzeniem. Zaczynam wynajdywać utrapienia”.

Więc pozornie bawiła się, żartując z panem Sylwestrem. Minęli most i wjechali w przedmieście. Domki tu stały bez ładu, ukazywały się ogródki, parkany, stare zabudowania drewniane.

Nareszcie powóz stanął; trzeba było iść dalej pieszo. Zaczęli krążyć w labiryncie uliczek i podwórzy rozpytując się przechodniów o wdowę po muzykancie.

Nagle stanęli przed urwistym brzegiem rzeki i ujrzeni przed sobą Andrzeja Oryża leżącego na zapyłonej trawie i obserwującego chudego kota, jak się skradał do wróbli na

dachu samotnego domku.

— A pan się tu skąd wziął? — zawołał pan Sylwester zdziwiony.

— Z Krakowa — odparł nie ruszając się.

— Powinszować panu charakteru w nogach.

— Mój ojciec był listonoszem, a matka roznosiła pieczywo, miałem więc po kim dziedziczyć.

— A myśmy dotąd nie odnaleźli tej wdowy.

— A ja już! Tam mieszka. Carlo Dolci jest fałszywy, ale gdybym mógł, tobym nabył.

— Chodź pan z nami.

— Mam dosyć tego, com widział.

Magda weszła pierwsza do sionki zawałonej ogrodniczymi sprzętami, a z niej do izby niskiej i wilgotnej, w której okna osunęły się aż do podłogi. Pustka w niej wiała i chłód piwniczny.

Od razu obraz uderzył jej oczy, bo wisiał wprost drzwi, na nagiej ścianie, i paliła się przed nim lampka.

Kobieta, jeszcze młoda i rzadkiej piękności, ale wyniszczona i blada, siedziała przy tapczanie, na którym leżało chore dziecko, i wpatrzona w obraz półgłosem odmawiała litanie.

Na obrazie Matka Bolesna patrzyła ku ziemi nad wyraz smutnie.

Na skrzyp drzwi kobieta zwróciła twarz i powstała ze stęknieniem.

— Moja pani, to ten obraz na sprzedaż? — zagaił pan Sylwester z miną lekceważącą.

— A ten — odparła lakonicznie kobieta.

— Hm, trzeba by go zdjąć i obejrzeć. A jakąż cenę pani za to chce?

— Ja go nie sprzedaję! — rzekła kobieta żywo,

oburzona samym przypuszczeniem. — To gospodarz za komorne.

— A gdzie gospodarz?

— Nie wiem. Ten grunt ktoś nabył niedawno. Domek mają znieść. Ma być jakaś fabryka. Wiem, że mam winna za komorne, mają prawo wziąć obraz, bo nic więcej nie mam oprócz dziecka, które umiera.

Odwróciła się od nich i usiadła znowu przy tapczanie, ale się już nie modliła. Twarz jej stała się ponura i zawzięta. Patrzyła przed siebie z wyrazem dzikiego buntu.

— Co jest dziecku? — spytała Magda, pochylając się nad nim.

— Śmierć — burknęła kobieta. — Wodą a trawą człowiek się nie nakarmi. Starszy dłużej wytrzyma, bo rozum ma, a takie małe to co ma zrobić? Kładzie się i gaśnie.

Dziecko było istotnie tylko cieniem. Spało, a raczej zamierało z wycieńczenia.

Pan Sylwester podszedł także i rzekł:

— Czemużeście mu dali do tego stopnia zmarnieć? To zgroza!...

— W piersi nie mam mleka, a krwi by nie piło — odparła dziko.

— Idźcie, kupcie, co trzeba — rzekł podając jej srebrnego guldena.

Kobieta ruszyła ramionami.

— Po co mu mam konanie przedłużać? Dajcie mi pokój — mruknęła.

— Szalona — szepnął Sylwester.

Magda otworzyła drzwi do sieni.

— Panie Andrzeju! — zawołała.

Podszedł i spojrzał na nią badawczo.

— Przynieś pan dREW, mleka i wina!

— Już bym to zrobił bez pani, gdybym miał choć centa w kieszeni.

Podawała mu swoją portmonetkę i odetchnęła głęboko, jakby ją dławiło chwilami.

Potem wróciła do izby i rzekła do pana Sylwestra:

— Weź pan swój powóz i sprowadź doktora, ja tu zostanę.

— Natychmiast. Że mi to nie przyszło na myśl! Lecę, leczę.

Magda znowu pochyliła się nad dzieckiem i nie mając nic innego pod ręką, przykryła je swoim żakietem. Nie odzywała się więcej do kobiety.

Po chwili wpadł Oryż z wiązką szczap i dwiema butelkami pod pachą. Nie czekając rozkazu rozpałił ogień na wystygłym od dawna kominie i grzał mleko. Magda, szukając po kątach, znalazła tylko wyszczerbiony garnuszek, nalała weń wina i podała kobiecie.

— Wypijcie i pomóżcie dziecku dać trochę mleka. Potrząsnęła głową i spojrzała pożądliwie na mleko.

— Ja nie chcę. I ono już nie przełknie.

— Spróbujemy. Przełknijcie wy pierwszej, żeby garnuszek dla niego opróżnić.

Wtedy kobieta wypła wino już bez protestu. Potem uniosła trochę głowę dziecka i zaczęła mówić zmienionym głosem:

— Jaśku, mój robaczk, otwórz ślepki. Mama ci da mlecza! Nie śpij, powąchaj, jak mleczo pachnie...

Dziecko ocknęło się, błysnęło okiem, poruszyło ustami i przełknęło łyk jeden. Twarz matki rozjaśniła się dziwnie i zaczęły z oczu łzy padać bez łkania.

Oryż zbliżył się do Magdy, wziął jej rękę i pocałował.

Spojrzała nań zdumiona.

— Przepraszam panią, ale jestem z pani bardzo rad i nie wiedziałem, jak okazać — rzekł czerwony ze wstydu.

— Bardzo mi przykro, że pan musiał aż do tyła swą godność poniżyć — odparła z uśmiechem. — A teraz idź pan i przynieś cokolwiek dla matki.

— Idę, ale niech pani nie dopuści, by Sylwester ten obraz kupił. On gotów zań zapłacić, żeby pani się przypodobać, a tej kobiecie zrobi niesłychaną przykrość.

— Dobrze, bądź pan spokojny i wracaj prędko. Wyprawivszy go, powróciła do kobiety, której łzy ulżyły nieco, bo rzekła łagodniej:

— Możeż to być, że on wyżyje?

— Doktor zaraz będzie. Niech pani teraz sama trochę mleka wypije i będzie dobrej myśli. Zrobi się wszystko, co w ludzkiej mocy, aby chłopak wyzdrowiał wam na pociechę.

— A za co pani tyle robi? Ja pani niczym się nie wypłacę!

— A owszem, wypłaci mi pani dobrym słowem i uśmiechem. Od tej wypłaty nie zwolnię.

Mówiła to serdecznie, szczerze, aż kobieta znów płakać zaczęła, zwalczona w swej zaciętości.

— O, byle on żył, to krew dam za panią! Byleby on żył i bylebym żebrać nie potrzebowała! Nie umiem tego, nie mogę.

— Nie, nie. Znajdzie się praca, zajęcie i spokój. Otóż i doktor.

Pan Sylwester przywiózł swego medyka, znajomego Magdy. Już wiedział, do kogo jest wzywany, i życzliwie zajął się chorym. Uspokoił matkę, dał polecenie, obiecał co dzień odwiedzać.

— Ale matkę trzeba gwałtem zmusić do snu i wypoczynku, bo inaczej ona umrze. Trzeba tu będzie przysłać szarytkę na dni kilka — rzekł do Magdy.

— Ja pójdę do siostr — ofiarował się Oryż — i zaraz jedną przyprowadzę.

— A ja obraz kupię, choć to fałsz, ale będę go miał na pamiątkę naszego spaceru — rzekł Sylwester uradowany z pomysłu.

— Zrobię panu obrazek tej izby na pamiątkę — odpowiedziała Magda — a ten niech im zostanie. Trzeba się dowiedzieć, kto jest właścicielem rudery, i zapobiec, aby ich stąd nie wypędzano.

— Już wiem! — zawołał Oryż. — Piekarz mnie objaśnił. Te place nabyła na licytacji matka baronowej.

— O, to pewnie zrobiła dobry interes! — wtrącił doktor. — Szalony ma nos do interesów, tylko ją córka kosztuje sumy.

— Będę u nich dzisiaj wieczorem, to interes załatwię — rzekł Sylwester. — Muszę się pochwalić, jak małym kosztem nabędę płótno naszej sławy.

— Ależ pan masę uczynił! Przecież panu ci biedacy będą zawdzięczali życie. Żeby nie kolektorska żyłka, nikt by o nich nie wiedział.

— A co? Widzi pani! Sylwester wszędzie się zda. Ale jakże się oni nazywają? Muszę to sobie zanotować.

Kobieta nie słuchała ich rozmowy i gdy do niej się zwrócił, przeraziła się nie wiedząc, czego żąda. Musiał trzy razy pytanie powtórzyć.

— Pan pyta o nazwisko? — odparła wreszcie i zawahała się sekundę. — Boiński zwał się mąż, ale my nietutejsi.

— Boiński! — zawołał Oryż. — Może Stefan?

— A Stefan. Dlaczego się pan pyta?

— Spod Buczacza? Z Kalinówki?

Kobieta skinęła głową patrząc badawczo na malarza. Ten się roześmiał dziwnie.

— To już teraz wiem wszystko! Patrzcie no, jak to daleko ludzie odlatują. Ja jestem Andrzej Oryż. Pani o mnie nic nie wie, ale ja o was wszystko. Ja też z tamtych stron rodem. Mój stryj był proboszczem w Buczaczu.

Patrzyli na siebie uważnie i znowu Oryż dziwnym śmiechem wybuchnął.

Obecni przysłuchiwali się ciekawie, ale nikt nie pytał; tylko Sylwester, nie mogąc się pohamować, wtrącił:

— Musieli państwo być w lepszym bycie niegdyś. Fortuna kołem się toczy.

Kobieta milcząc ruszyła ramionami, a Oryż za nią odpowiedział:

— Fortuna w naszym wieku nie jest ani ślepa, ani stoi na kole. Daje się osiodłać, okiełznać i jeździć na niej Żydzi. Chciałem raz to nawet wymalować, ale żem portretował i ją, i jeźdźca, więc mi panna Magda odradziła dla świętego spokoju.

Doktor zaczął się żegnać, a i Sylwester kręcił się niespokojnie. Magda z żalem pomyślała o odwrocie.

Spojrzała raz jeszcze po izbie, do której weszło w tej chwili zachodzące słońce i rozpromieniło krzywe ściany, pocałowała skroń dziecka, uściśnęła dłoń kobiety i obiecawszy przyjść rano, wyszła pełna wielkiej radości.

— Dziękuję panu za spacer i za Carlo Dolci! Wyszukaj pan więcej takich. Dawno nie miałam tak przyjemnego popołudnia.

Stary przypadł do jej ręki i całował, rozplywając się z zadowolenia:

— Pani moja, pani moja! Ty wiesz, że żyję tylko myślą

o tobie — jękał przejęty. — Żebyś chciała, żebyś raczyła!

Ale Magda nie chciała ani raczyła słuchać dalej. Całą siłą woli hamowała śmiech i rzekła, o ile mogła najpoważniej:

— Polecam panu załatwienie sprawy komornego. Zresztą biorę tych biedaków pod swoją opiekę. Kobieta musiała być bardzo piękna. Tymczasem do widzenia z panem.

Zadzwoń. Sylwester wzdychał i głową trząsał żałośnie.

— Żeby temu lat trzydzieści! — szepnął.

— Toby pan nie przeprowadzał mnie, lecz inne — zaśmiała się, wchodząc do mieszkania i żegnając go kiwnięciem głowy.

W salonie majorowa siedziała nad robotą przy lampie. Szyła ciepłą odzież dla swej trzódki i zamiast spytać siostry o powód opóźnienia, rzekła posepnie:

— Filip nie przyszedł.

Magda uczuła wielką przykrość i zawód, ale nie chciała tego okazać i tylko poruszyła ramionami.

— Cóż robić? Nie czekaj go, to nie będziesz cierpieła. Wzięła książkę i zaczęła opowiadać siostrze zdarzenie z Boińską.

II

Nazajutrz w południe na dźwięk dzwonka Magda poszła sama otworzyć, pewna, że to baronowa.

Ale w progu stanął młody mężczyzna i ujrawszy ją, rozśmiał się z widoczną uciechą.

Szczupły, złoty blondyn z czarnymi oczyma, z miną swawolnego studenta.

Zanim miała czas rzec słowo, już wpół ją ujął i ucałował, a potem przyjrzał się raz jeszcze i żartobliwie powitał.

— Servus, kolego! Bardzo mi stryjna wymyśla?

— Wcale nie! Za co? — odparła.

— Ano, za włóczęgę i milczenie. Ale bom używał jak szalony; jeden dzień do drugiego nie był podobny. Dwa razy na jedno nie spojrzałem. Co było pisać! Żyję, wróciłem i wiele mam ci do powiedzenia. Będziesz słuchała?

— Jak zawsze cierpliwie. Nie mogę czytać j malować jednocześnie, więc będziesz mi za książkę służył.

— Jesteś tedy sławną. Pokaż no się! Czy cię to zmieniło? Ani trochę. Przybyło ci powagi i godności. Dobrze się czeszesz, aleś zmizerniała. Wiesz, dopiero teraz jesteś kobietą. Gdzież stryjna?

— Za godzinę wróci. Zaczekasz na nią. Znasz przecież baronową Faustanger, która lada minuta przyjdzie do pozowania.

Patrzyła mu poważnie w oczy i była pewna, że na to imię blask gorący mignął w źrenicach, a krew nabiegła w skronie. On dłonią przesunął po włosach i odparł:

— Poznałem w Ostendzie. Czy tu mieszka?

— Mieszka i spacerowała z tobą wczoraj po Grodzkiej
— odparła artystka ze śmiechem.

Filip poczerwieniał okropnie zawstydzony. A ona dodała szyderczo:

— Jeżeli zaczynasz od kłamstwa i wykrętu, znajdź sobie inną powiernicę. Nie cierpię być zabawianą fałszem.

— Daruj! — odparł Filip z dzikim wybuchem. — To nie kłamstwo ani wykręt. Ja boję się jej wspomnieć nawet, żeby się nie zdradzić, że kocham ją do szaleństwa.

Magda zmarszczyła brwi na jedną sekundę. I jej krew uderzyła do twarzy, jakby ją zarażała namiętność tego wyznania, ale po chwili odparła spokojnie:

— Jeżeli mam być powiernicą, to nie wolno ci lękać się zdrady. Mów, lżej ci będzie milczeć przed ludźmi.

— Chodźmy do pracowni. Mówiła, że portret pyszny i że patrząc nań, prędzej się jej doczekam.

— Ach, więc się umówiliście na spotkanie u mnie! — rzekła z dziwnym uśmiechem.

— Tak. Wiedziałem, że u ciebie będę jak w domu. Parę godzin spokoju i szczęścia będę ci zawdzięczał!

Magda weszła do pracowni, usiadła do roboty. Filip stanął za nią i wchłaniał w siebie oczyma urok pięknej kobiety. Słyszała, jak oddychał nerwowo i prędko. Potem zaczął mówić urywanymi zdaniem:

— Przepyszna. Co za linia, wzrost, całość doskonała! Głos jej to pieszczota, ruch każdy to wcielenie wdzięku. Pomyśleć, jak te usta całują! To bóstwo!

Magda słuchała w milczeniu rada, że mówić nie potrzebuje. Twarz miała surową, a w oczach wielki żal i smutek. Filip, zwalczony uczuciem, z odetchnieniem ulgi zaczął swoją spowiedź.

— Poznałem ją w Ostendzie na wybrzeżu i mówię ci, to był piorun. Straciłem od razu głowę, a zarazem całą odwagę i śmiałość. Chodziłem za nią jak cień milczący, jak duch pokutujący, jak obłąkany. Wreszcie przedstawiono nas sobie: przyjęła mnie łaskawie. Odtąd zaczęło się życie jak we śnie. Byliśmy ciągle razem i widziałem wyraźnie, że mi rada. Miałem niebo na ziemi. Odjeżdżając powiedziała, że mnie czeka w Krakowie i zem jej ani razu nie znudził. Gdy o tym pomyślę, w głowie mi się mroczy, ale doprawdy, ona mnie chyba też kocha.

— Bardzo być może! — przerwała Magda. — Ale cóż z tego? Czy będzie ci ona natchnieniem?

— Co mi po natchnieniu! Ona mi będzie własnością, skarbem, szczęściem! — wybuchnął.

Potrząsnęła głową.

— To ci nigdy na życie nie wystarczy — mruknęła.

— Owszem! — zaprzeczył uparcie. — Wziąć szczęście i dać to dosyć dla zapelnienia żywota.

— A skądże wiesz, że dasz? Co za pycha! A skądże wiesz, że weźmiesz? Szalony! Piorun, mój drogi, ogłusza lub zabija! A ty piorunem nazywasz wrażenie miłości.

— Ach, co tu rozumować. Ty wiesz o kochaniu z książki, ja z doświadczenia!

— Więc to nie pierwszy raz?

— Miałem tysiące upodobań, fantazyj, zabawek, szalów, flirtów. Teraz dopiero wiem, co kochanie, rozumiem piekło, śmierć... i byłem w niebie!

— Więc pozwólże mnie pochwalić się książkową chociażby wiedzą. Myślę, że miłość i głód to dwie kardynalne potęgi w człowieku-zwierzęciu: musi ciągle starać się o jedzenie i musi ciągle kochać. Im bardziej zwierz wykształcony, tym wybredniejszy na jado; im

więcej kocha, tym bardziej lubi różnorodność. To instynkt i czysta natura! Ale stan ów nie wystarczy nigdy duszy. Ona ci nie da spokoju, gdy będziesz syty, tak jak ciało nie da ci nigdy spokoju, gdy będziesz głodny. A wierz mi, ty artysto, biada ci, gdy zapomnisz o swojej duszy, gdy jej krzyku słuchać nie zechcesz. Wtedy ona umilknie, opuści cię, poda na zaturę, nie będziesz nic wart — tyle co pusty orzech — i wtedy też ciebie nikt nie zechce. Bo to, co w tobie baronowa kocha, to właśnie natchnienie twoje, artyzm twój, to właśnie, co jej chcesz poświęcić, myśląc, nierozsądny, że taka ofiara jest szczytem miłości!

Ożywiła się i nozdrza jej rozdymały się gwałtownie. Zwróciła się ku niemu i patrząc mu gorąco w oczy mówiła dalej:

— A ja ci powiem, może z książki, bo nie wierzysz w moje własne zdanie, że miłość artysty powinna być czystą i nieszczęśliwą, i niedostępną. Powinna mieszkać razem z jego natchnieniem w niebie i żyć tylko w jego duszy, zstępować w marzeniu na płótno, śpiewać w pieśni, ucieleśniać się w marmurze. Wtedy będzie sobą i wtedy tylko mu wystarczy. Ty stoisz na błędnej drodze i możesz się zmarnować. Straciłeś dwa lata z powodu pieniędzy i pomyślności; teraz szalejesz za piękną, światową kobietą. Pociągnie ona ciebie w pusty, bezcelowy wir przyjemności i rozstrajających powabów. Potem przyjdzie przesyta i opamiętanie. Chciałabym, abyś ty pierwszy otrzeźwiał, ale to niemożliwe. Ona cię rzuci na drodze jak połamaną zabawkę i pójdzie dalej po—nową, a ty, biedaku, artysto, zostaniesz bez duszy. Nie marszcz się i nie uśmiechaj pogardliwie! Ja wiem, że w to nie wierzysz i nie cofniesz się. Przeznaczenia nie zmienić. Pierwszy i ostatni raz mówię ci o tym. Odtąd będę cię słuchała, cieszyła się z

tobą i bolała z tobą, i będę, o ile mojej mocy, duszy twojej strzegła.

Umilkła i niespokojnie śledziła ruchliwą jego twarz. Wszystkie wrażenia po niej przeszły: i lekceważenia, i gniewu, i obrazy, i niechęci. Wstała tedy i zbliżywszy się do niego położyła mu ręce na ramionach.

— Słuchaj no, nie chcesz mi być bratem? — spytała, patrząc mu jasno w oczy.

— Jesteś uprzedzona i niechętna — mruknął.

— Bynajmniej, tylko cię kocham serdecznie!

— Więc po cóż tak przyjmujesz moje zwierzenia? To pierwszy dysonans w mojej pieśni... i to od ciebie!

Zaśmiała się po swojemu.

— A bo popsuleś mi swój obraz. Myślałam, że ze swoich podróży przywieziesz jaką zdobycz egzotyczną, a ty mi, jak każdy filister, przywozisz baronową, w której się kocha pół Krakowa. Musiałam cię za ten zawód zwymyślać.

Filip się uśmiechnął już ułagodzony.

— Aleś się wygadała jak sam arcykapłan sztuki. Ja cię jednak do baronowej przekonam.

— Ale i owszem. Gotowam na Rynku swoje zdanie odwołać, byle ci z nią było dobrze. Czyś był już w swojej pracowni? Gdzie mieszkasz?

— W hotelu. Roztasowałem się tam na stałe, bo nie wiem, jak długo zabawię.

— Znowu w świat ruszasz? Filip rozkosznie się uśmiechnął.

— Za nią — szepnął wstając i wpatrując się w portret.

— Zrób mi drugi taki — rzekł.

— Oho, nic z tego! Możesz się sam pofatygować — odparła wesoło.

Zamyślił się i głową potrząsnął:

— Szkoda czasu i może bym już nie potrafił.

— No, przecież musiałeś trochę studiować w podróży.

— Nie. Kupowałem fotografie.

Pokręciła głową markotnie, ale przemogła przykrość i rzekła wesoło:

— Ostrzegam cię, nie chwal się z tego przed Marynią, bo się zmartwi. Słyszysz, ktoś dzwoni. Idź, otwórz swojej bogini.

Filip poskoczył do drzwi. Magda chwilę stała zamyślona, ze zwieszoną głową, jakby bardzo zmęczona, potem przesunęła ręką po czole i oczach i rzekła półgłosem:

— Ano, spodziewałam się tego. Przyszło, przejdzie. Wróciła do stalug i zabierając się do roboty dodała:

*Ici bas tous les lilas meurent,
Toutes les fleurs ne fleurissent qu'un*

jour.

Śmiech baronowej rozległ się w progę. Ukazała się rozbawiona, wesoła, z odrobiną podrażnienia w ruchach i oczach i powitała artystkę energicznym uściskiem dłoni.

— Odzyskały zatem panie swojego dezertera!

— Będzie miał ciężką przeprawę z moją siostrą — odparła Magda, nie przestając malować.

— A pani żadnych pretensji nie ma?

— O nie! Zanadto jestem dobrym kolegą.

— Cóż! Jakże się panu portret podoba?

— Prosiłem Magdę o kopię.

— I pewnie odmówiła?

— Naturalnie. Po pierwsze, on lepiej robi ode mnie, a po

drugie mam mnóstwo zamówień. Zresztą on mówi, że zbiera tylko fotografie.

Zabrała się do roboty, a baronowa skinęła na Filipa wskazując mu niski taburet.

Usiadł prawie u jej stóp i wcale się obecnością Magdy nie krępując, zaczął rozmawiać półgłosem. Baronowa słuchała łaskawie, czasem uśmiechając się zalotnie lub nakazując mu milczenie tonem, który przeczył słowom. Magda, zatopiona w pracy, nie słuchała ich. Po ustach jej przelatywał zagadkowy uśmiech.

Nagle podniosła głowę i rzekła żywo:

— Filipie, uważaj! Marynia wróciła. Może tu wejść lada chwila.

Chłopak wstał i przeniósł się na kanapę, a baronowa spojrzała na artystkę z cieniem obrazy.

— Musieliśmy zgorszyć panią — rzekła złośliwie.

— Bynajmniej. Ale siostra moja byłaby zdziwiona, a nie mam ochoty tłumaczyć jej spraw, które do mnie nie należą — odparła zimno.

Kroki majorowej zbliżały się do drzwi.

Zajrzała do pracowni i rozpromieniła się na widok Filipa.

— A przecież! — zawołała jakby z ulgą. — Chodźże, chodź, nie przeszkadzaj w robocie! — Pociągnęła go do saloniku, do okna, obejrzała od stóp do głów.

— Tęgo wyglądasz. A jaki elegant! No, opowiedzże, ileś naprawdę wziął spadku?

— Ależ masę! Pół miliona.

— Ulokowałeś w banku?

— Tak, czterykroć, a sto zmieniłem na gotówkę i ruszyłem naokoło świata.

— Wariacja! Ileż ci zostało?

— O, jeszcze starczy na dwa takie lata!

— To zgroza. A toć ja wygodnie żyję z procentu od tejże sumy! Opamiętaj się. Mam nadzieję, że masz dosyć włości. Oto jest klucz od twojej pracowni. Rozłokuj się i przyjdź do rozsądku.

— Dobrze, dobrze! — potakiwał Filip, rad, że się obeszło bez burzy. — Ja stryjence oddam nawet do przechowania tamte walory, żeby mi kto nie ukradł. Ileż winienem za komorne pracowni? Dziękuję serdecznie za opiekę nad nią.

— Nic mi nie winienes. To policzone do twojego wychowania. Kiedyś przecie o nas pamiętał i wrócił do gniazda, to już wszystko dobrze.

Filip głowę spuścił i poczerwieniał ze wstydu. Wolałby policzek niż taką pochwałę.

Majorowa, zawsze czynna, krzątała się po jadalni i nie zważając na jego minę opowiadała o sobie:

— My po twoim odjeździe już tylko miesiąc bawiliśmy we Włoszech. Magda postanowiła malować do salonu paryskiego... wróciłyśmy tedy do domu. Wymalowała Krzyżowca... widziałeś zapewne... no i wzięła złoty medal.

— Czytałem o tym w Egipcie w “Figaro”, alem obrazu nigdzie, nawet w reprodukcji, nie widział. Gdzie on jest teraz? Tutaj?

— Oho... już z Paryża nie wrócił. Kupił go jakiś milioner z Ameryki i zabrał do siebie. Ale fotografia gdzieś tu jest. Magda ci pokaże. Odtąd dziewczyna stanęła na dobrym gruncie. Parę portretów dodało jej jeszcze sławy, a teraz, mówię ci, że mi aż strach, iż jej te zachwyty i honory w głowie pomieszają.

— Ale, o ile ją znam, nie ma obawy! Ona drwi z tego

wszystkiego i o nic tak bardzo nie dba. Szczęśliwe usposobienie!

— Tak, dzięki Bogu, zapaloną nie jest. Mam z nią spokój. Żadnych głupstw, żadnych amorów, żadnych niepotrzebnych znajomości. Trochę szalona głowa i trochę wariatka; ale wy już wszyscy tacy podobno. Zresztą dobrze nam z sobą i z ludźmi.

— Stryjenka całą nędzę krakowską ma pod swym zarządem podobno?

— A cóż bym robiła? Tyle wolnego czasu, a bez zajęcia tobym się rozchorowała. Mam tu na podwórzu szkółkę, a wyręcam wielkie panie opiekunki różnych zakładów. Jak kiedy zechcesz, pokażę ci szkółkę.

— A jakże. Stryjenka przyjmie ode mnie na nią ofiarę?

— jur. sobie chcesz — odparła z łaskawym uśmiechem. Filip raz wraz ku pracowni zerkał i nadśluchiwał. Palila go niecierpliwość, a czuł, że nie powinien okazać chęci.

Stracił swój zwykły swawolny humor, nie miał siły udawać zajęcia rozmową.

— Magda prędko się uwolni? — spytał.

— Kto ją wie! Ta dama niekiedy opuści tydzień lub siedzi po całych dniach. Magda powiada, że dwa portrety już by wykończyła normalnym ludziom przez ten czas. Już czas na obiad i lada chwila Oryż się zjawi.

— Któż to znowu?

— Malarz. Stołuje się u nas.

— I pewnie kocha się w Magdzie?

— Uchowaj Boże! Tego by jeszcze brakowało. Magda jest zanadto rozsądna, aby na podobne głupstwo pozwoliła.

— Ależ, stryjenko, przecież każdy chociaż raz to głupstwo musi popełnić!

— A cóż to za obowiązek? Jeden drugiego małpuje i

zdaje mu się, że coś bardzo dowcipnego robi.

— Stryjenka też w stryju była zakochana...

— Mój drogi, o starych się w ten sposób nie wyraża. Wasze koncepty są zawsze nieprzyzwoite.

— Macie państwo! Więc stryjenka woli, żebym ją posądzał o interes w małżeństwie? Poślubiła stryja dla pieniędzy i stanowiska?

— Nieprawda! — zawołała żywo, ale wnet się obejrzała, że samej sobie przeczy i machnęła ręką. — Daj mi, starej, święty spokój. Cóż ta baronowa? Na komorne zgodziła się u Magdy? Pieczeń się przepali ze szczętem.

— Pójdę i dowiem się — odezwał się usłużnie. Baronowa już się ubierała do wyjścia i widocznie wyczekiwała na niego.

Zamienili z sobą wymowne spojrzenia.

— Przeprowadzisz mnie?

— Gdybym mógł! — westchnął smutno. — Muszę tu zostać! Obowiązek...

Magda zachnęła się niecierpliwie.

— Żadnego obowiązku nie splota się fałszem. Idź proszę i przynieś mi fotografie z podróży. Rada bym je przejrzeć.

— Dobrodziejko! — zawołał Filip uszczęśliwiony. — Nieoszacowany z ciebie kolega i przyjaciel. Przyniosę fotografie... byle za godzinę.

— Idź zaraz po nie.

Chłopak wyleciał jak z procy. Baronowa powoli naciągała rękawiczki i rzekła z namysłem:

— Znowu nie rozumiem pani. Dlaczego pani mu dopomaga, kiedy, czuję to, że pani mi ani ufa, ani wierzy, ani mnie lubi. I jestem pewna, że pani go kocha.

Magda ani mrugnęła.

— Czynię tak, bo on mi zaufał i znam go lepiej niż pani nawet. Jeśli zaś go kocham, to nie dla siebie. W życiu jego pani przeminie i jeszcze mnóstwo innych; ale podobnej mnie drugiej nie ma i mieć nie będzie, i zawsze pozostanę.

— Czcza pycha i pewność siebie. Mam ochotę dowieść, że może się pani omylić.

— Szkoda fatygi. Nie dokaże pani tego. On pani będzie mówił o sobie, a mnie o sobie i o pani. Do pani należy jego radość i szczęście, do mnie cierpienie i niedola. Pozostańmy każda przy swoim. Mnie jest zupełnie dobrze.

— Więc mamy w pani sprzymierzeńca?

— O, nie! On tylko ma we mnie druha.

— A ja?

— Pani ma nadwornego malarza — uśmiechnęła się Magda z ukłonem.

— A gdy portret będzie skończony?

— Mogę pani wymalować portret Filipa, który dotychczas pewnie oczu nie spuścił ze schodów, czekając na panią.

— O, może poczekać. To zdrowo.

— Zapewne. On nawet nie zrozumie, że to jest zimny rachunek.

— Wcale nie rachuję. Owszem lubię go bardzo i już idę, chociaż miałabym jeszcze z panią wiele do mówienia. Do jutra zatem!

Wyszła.

Magda przez chwilę zachowała swobodny wyraz twarzy, potem odetchnęła głęboko i otworzyła okno. Świeże powietrze owiało ją, a ona, nagle zmieniona i posepna, patrzyła na lipę, której liście wrzesień pięknie wyzłacał.

Nie zauważyła, że do pracowni wszedł Oryż, spojrzął na zamyśloną dziewczynę i stał wahając się, czy przemówić.

Wreszcie potrącił stołem i jakby jej nie widział, zaczął, gwizdząc, przerzucać kartony.

Obejrzała się.

— Czego pan szukasz?

— Wczorajszego humoru pani.

— Gdzieś tam leży obok pana dowcipu.

— Dziękuję. Odnajdę!

— Wątpię.

— Aha! Zabrał go z sobą Osiecki i baronowa. Zwróciła się ku niemu z brwią ściągniętą.

— Może być, bo tu byli oboje i nikt więcej.

— Wiem, spotkałem ich przed chwilą na ulicy. Mieli humoru za troje. Dobrze pani robi, że wietrzy pracownię. Zanadto tu czuć perfumy i miłość. Niezdrowe powietrze i zaraźliwe.

— Gwałtu, jeszcze się pan zarazi! — rzekła śmiejąc się.

— Byle nie pani — mruknął. — Ja biorę antydot od dawna i jestem zabezpieczony.

— Nie zbeszta mi pan dziś portretu?

— Nie! Nic nie pomaga. Szkoda próżnej nauki. Pani jest niepoprawna.

Magda coś nucąc wzięła kawał kartonu i zaczęła szybko rzucać nań szkic wielkimi kreskami. Zaabsorbowała ją myśl i wtedy bywała głuchą i niemą.

Spod ołówka występowały zarisy cyprysów i zwaliska pogańskiej Romy. Stary mur grobowca, u jego stóp figura ludzka.

Prędko nabierał życia arkusz kartonu. Oryż podparłszy pięściami brodę przypatrywał się przez stół. Półgłosem mówić zaczął:

— “O! Śmierci, czymże jesteś, jeśli nie ziarnem kadzidla, które się rzuca na ogień ołtarza? Jedno wcześniej

pochłoną płomienie, drugie później nieco. Zresztą żadnej różnicy!

O, Śmierci! Fletniami i wieńcami miałam cię witać — wybrany mój — a tyś był wybranym Śmierci. Ubiegła mnie i tyś się jej oddał bez boju i wahania jako zalotnicy z Cypru!

O, Śmierci! Snadź uścisk twój słodki, a pocałunek twój nad wszystkie moce, jeśli się nikt jeszcze tobie nie wydarł i nikt ciebie nie zdradził. Godnaś ofiary, godnaś czci, godnaś fletni i kwiatów, o ty, najwierniejsza, o ty najcichsza, o ty najwstydlivsza w swej tajemnicy”.

Jako wynagrodzenie za swą szpetną twarz otrzymał Oryż od natury głos bardzo giętki i głęboki. Mówił, jakby śpiewał, gdy umyślnie dźwięku nie fałszował. Magda słuchała z widoczną przyjemnością; gdy umilkł, podniosła nań oczy z żalem.

Czy on szedł w swej improwizacji za jej rysunkiem, czy ona natchnienie brała z tej pogańskiej elegii; ale na papierze był grobowiec, który młoda dziewczyna stroiła w wieńce z róż i narcyzów i wpatrzona w napis na marmurze zdawała się śpiewać to właśnie, co Oryż deklamował.

— Mów pan jeszcze! — szepnęła.

— “O, wybrany mój, porwanyś z Ziemi jako ukochany bogów — wcześniej i szybko. Zerwanyś jako Hiacynt dłonią Apollina, jako Hylas ukołyszanyś przez nimfy. Przecz cię oplakiwać mam, gdyś zagrzebany jak Adonis przez Wenere w niebiańskich rozkoszach!”

Pod dłonią Magdy na marmurze wystąpił rysunek Śmierci zdeptującej pochodnię i napis: *Securitati perpetuae*. Wtedy wyprostowała się i rzekła poważnie:

— Nazwiemy to: Kult pamięci. Dziękuję panu za akompaniament.

— Magda, gdzie się podział Filip? — zawołała majorowa zaglądając przez drzwi.

— Posłałam go po fotografie z podróży. Mamy go z obiadem nie czekać, bo miał wstąpić do pracowni.

— Uhm! Do pracowni! — zamruczał Oryż, ale urwał skarcony wzrokiem Magdy.

— Zawsze coś robicie nie w porę. Mógł to załatwić po obiedzie — burczała majorowa odchodząc.

— Nie wspominaj pan tej baronowej. Bo i po co? — rzekła artystka półgłosem. — To położenia nie poprawi, a rozdrażni ją niepotrzebnie i jego do nas zniechęci.

— Są ludzie, którym się wszystko wybacza, bo są albo niczym, albo wszystkim. Jestem pewny, że Osiecki jest wszystkim dla pani i będę już milczał — odparł Oryż ruszając pogardliwie ramionami.

— Byłeś pan dzisiaj u Boińskiej? — spytała nie podnosząc kwestii.

— Byłem. Odkarmiliśmy chłopca i znowu się pogorszyło. Ale zna pani ich historię?

— Nie, skądże?

— Ja znam ze wspomnień młodości. Mam w Buczaczu stryja księdzem. Tak, tak, to nie żarty. Posiadam aż tak świetne parantele! Wprawdzie mnie stryj cybuchem wygania z probostwa po godzinie rozmowy, ale to podrzędna kwestia. Otóż Boińscy byli sobie naszą pocziwą nieopatrzoną szlachtą i siedzieli na pięknej, ale zaszarganej fortunie. Siedzieliby dotychczas, gdyby im był z pomocą i opieką nie ofiarował się cny radca, ojciec baronowej Faustanger. Ten dobrodziej upodobał sobie ich majątek, stare gniazdo rycerskie z ruinami zamczyska, y. legendą i nawet strachami. Nadzwyczaj romantyczne, średniowieczne wspomnienie i żywa legenda — taki był

ów Sokolin, gdzie się gnieździli od czterech wieków.

Otóż radcy trzeba było koniecznie trochę rdzy i pleśni do świeżutkiego herbu i tytułu, więc zaopiekował się interesami Jana Boińskiego. Stary wpadł w jakieś zaślepienie, wierzył radcy jak Bogu. Dał mu pełnomocnictwo, spełniał każdą radę, brał pieniądze, aż dnia pewnego dowiedział się, że Sokolin nie jego. Wtedy oszalał, bo kochał to gniazdo nad życie, i nie widząc ratunku popełnił krok desperacki: strzelił do radcy. Ale rusznica była też jakąś maszyną odwieczną — i tylko osmałił i wystraszył śmiertelnie swojego dobrodzieja.

Naturalnie radca narobił wrzasku iście żydowskiego i oddał mordercę sądom.

Gdy jednak żandarmi przyszli po starego, ten jeno zsiniał, zachrapał i nie ruszył do więzienia, ale na cmentarz. Powiedział pewnie sobie: niegłupim czekać sprawiedliwości, wolę dezercję.

Został tedy syn, który świeżo się ożenił i o niczym nie wiedząc spędzał miodowe miesiące na drugim folwarku. Zajechał na wieś po śmierci rodzica i otrzeźwiał rychło ze swojego miłosnego upojenia, gdy się dowiedział, jak się rzeczy mają. Zbuntował się na losy i pociągnął radcę przed sąd, czym mu tylko sprawę nabycia jeszcze ułatwił. Radca tak świetnie rzecz przedstawił, że po kilku miesiącach wydarł Boińskim nie tylko majątek, ale i opinię.

Teraz około Buczacza wie każdy, że oni byli oszuści; brali pieniądze, sprzedali Sokolin i oczernili radcę, ojciec — prochem ze starej rusznicy, syn — niesłusznymi pretensjami.

Poszedł tedy Stefan Boiński w świat, a radca odrestaurował Sokolin i kazał sobie ich tarczę wymalować na powozie. Nikt nie protestował i tak się to utarło, że

baronowa gotowa była przysięgać, iż ten herb praszczur jej zdobył pod Płowcami.

No, wprowadzie krwią go nie zapłacił, ale to wina rusznicy, bo okazja była świetna zginąć śmiercią walecznych w obronie ideału i zasad.

— Więc ta kobieta jest synową starego?

— A tak. Stefan był sobie nieuk, jak przeciętny szlachcic siedzący na roli. Po krachu stracił głowę i nie wiedząc, co robić, wstąpił do wojska, a że lubił trąbkę, został w muzyce. Żona zarabiała szyciem. Nieciekawe było życie; aż się wreszcie przeziębził, kilka miesięcy pokwękał i kipnął. Wdowa chciała wrócić do stron rodzinnych; ma tam jakąś ciotkę starą, ale nie śmiała jej prosić o pieniądze na drogę, chciała je sobie zebrać... no, i dalej sama pani widziała epilog. Byłem tam dzisiaj i rozpytywałem o szczegóły. Ta ciotka jest sławna sknera i gderaczka, bez protekcji nie można do niej trafić, gotowa sprzed bramy wypędzić. Otóż chyba napiszę do stryja księdza.

— Ano, to pisz pan nie zwlekając.

— Aha, albo to on mi uwierzy? Posądzi o najgorsze jak zwykle. Ja myślę, że pani napisać powinna.

— I owszem! Napiszę, iż dowiedziawszy się od pana o jego szlachetności i chrześcijańskich cnotach...

— Ale zarazi A to ci pani wpadnie! On będzie myślał, że to drwiny. Ja bym miał klechę okarmiać takimi słodyczami? Oho, tego się on po mnie nie doczeka. Niech pani nawet o mnie nie wspomina; to będzie skuteczniej. Proszę mu obiecać odnowienie fresków w kaplicy: na to się złapie. A najlepiej niech pani poradzi krótko i węzłowato, żeby tej starej dewotce nie dał rozgrzeszenia, jeżeli Boińskiej z dzieckiem nie przygarnie — i basta.

— Wie pan? Może mu doradzić od razu, żeby ją wykłął

z ambony? — śmiała się Magda.

— O! Niechby mnie tylko raz na ambonę puścił, ja bym ich tam kłął po węgiersku! Nieraz mu to proponowałem. Oho, żebym ja był na jego miejscu, piechotą stara przybyłaby do Krakowa po siostrzenicę. Ale te klechy to nawet nie umieją głupoty ludzkiej dostatecznie wyzyskać.

— Wielka szkoda, ale ponieważ pana żadne seminarium już nie przyjmie, więc kazanie pozostanie w marzeniu. A szkoda, poszłabym na nie! — Magda śmiała się serdecznie.

— Dzieci, na obiad! — rozległ się głos majorowej.

— To śmieszne, że na mnie po raz pierwszy w tej chwili zawołano “dziecko”! — ozwał się Oryż, idąc za Magdą do jadalni.

— A jakże wołali na pana rodzice? — zagadnęła majorowa zdziwiona.

— Tego nie pamiętam, bo mnie zostawili sierotą w lat dwa. A stryj opiekun nazywał mnie rozmaicie: czasem hultajem, czasem gawronem, najczęściej brudasem lub zatracęncem.

— Przecież łożył na kształcenie pana?

— Łożył, pókim mu nie umknął pewnego dnia, posłyszawszy, że chce mnie ulokować jako pisarza w sądzie. Ze strachu przed tą karierą oparłem się aż w Dreźnie. Prawda, że od tej pory, do czasu, jakem panie poznał, nie byłem nigdy syty, ale też nigdy takiego strachu nie doznał. Brr, ja pisarz sądowy!

Zaczął jeść prędko, niedbale, byle prędzej skończyć.

Magda zwróciła się do siostry:

— Zdaje mi się, że ty najlepiej załatwisz sprawę, o której przed chwilą mówiliśmy. Napisz list do proboszcza w Buczaczu o losie Boińskiej, z prośbą, aby zawiadomił o tym jej ciotkę.

— Owszem. A ta ciotka ma środki?

— Śpi na reńskich, ropucha! — mruknął Oryż. — Jeżeli nie zrobi tego dla siostrzenicy, to ja ją wymaluję jako jędzę na łopacie i dodam bardzo ładne akcesoria na flamandzki sposób.

— Pfe! Zaczynasz pan! — oburzyła się majorowa. — Magda, czemu nie jesz? Toć zwierzyna!

— A prawda! Nie uważałam.

— Znowu pewnie coś nowego zaczęłaś smarować, bo już się stajesz nieprzytomną. Idź na spacer po obiedzie. Zmęczyłaś się widocznie.

— Nie. Muszę pracować dzisiaj. Wieczorem pójdę do Berwińskiej.

— Wieczorem Filip przyjdzie. Obiecał za godzinę wrócić. Ruszyła ramionami.

— Zabawisz go sama. Dawnom Berwińskiej nie widziała, a to jest jedyna osoba, od której mogę się czegoś nowego nauczyć.

Majorowa wcale się nie obraziła, ale Oryż zaprotestował:

— Najwięcej mogłaby się pani ode mnie nauczyć, ale pani mnie nie słucha.

— Jak to! Spójrzysz pan na portret! Przemalowałam go wedle pańskich wskazówek.

— Obeszłoby się! — mruknął zgryźliwie.

— Czegóż pan żąda więcej? Nie mogę panu dać przewodnictwa mej duszy, bo pan dowodzi, że duszy kobiety nie mają.

— Zaczynacie prawić herezje! — upomniała majorowa. — Co to za próżne zbywanie czasu, dysputy o czymś, co ledwie nam śmierć wyświecili! A ja powiem, że kobiety mają duszę, chociażby z tej racji, że rozumieją ją w

drugich, a mężczyźni uganiają się za cielesną pięknnością.

— Otóż to: każdy szuka tego, czego nie posiada — zaśmiał się Oryż. — Dam pani więcej przykładów, jeżeli pani zechce słuchać...

— Nie, nie chcę! — stanowczo zaprotestowała Osiecka. — Idźcie do pracowni. Magda może was słuchać z zimną krwią, ja nie!

Wyprawiła ich z jadalni, ale wnet zjawiła się w pracowni. Była już ubrana jak do wyjścia na miasto, z dużym koszem na ręku.

— Pamięta pan, gdzie mieszka owa Wikta, którą mi pan przyprowadził w zeszłym tygodniu?

— Spotkałem ją gdzieś w wiklinie nad Rudawą. Cóż, uciekła?

— Nie, myślę, może chora... — wahająco rzekła majorowa. — Umiała już litery do "R" i tak równe stawiała kreski, ale od onegdaj nie przychodzi.

— Szukaj wiatru w polu. Może ją pani odziała?

— Tak, trochę.

— Aha, to niech się jej pani nie spodziewa. A mówiłem, odradzałem odzianie... To ptaki dzikie. Tylko głód, nagość — utrzymają je w szkole. Ale nie ma ratunku na utopie pani.

Majorowa zupełnie pobita nie próbowała się bronić. Stała zasmucona i jakby się wstydziła za swoich wychowawców.

— Wiktę ja pani odnajdę jutro. Ojciec, pijak, już ją pewnie odarł z ubrania, więc wróci pokorna, bo coraz chłodniej nocować nad rzeką. Jest ich tam cała banda w tych krzakach. Żyją jak wróble.

— Wybiorę się kiedy z panem na eksploracyjną wycieczkę.

— Choćby dzisiaj, bom paniom tu niepotrzebny.

Mówił obojętnie, ale Magda w głosie jego poczuła żal i smutek.

— Nie, zostań pan. Lubię, gdy mi pan czyta głośno przy robocie.

— No, zatem zamawiam sobie pana na jutro! — rzekła majorowa wychodząc.

Gdy zostali sami, Oryż stanął w oknie i zawzięcie ogryzał paznokcie. Magda, nie zważając na niego, usiadła do stalug. Nagle Oryż się odwrócił i rzekł ze złością:

— Po co mnie pani zatrzymała? Pani lubi przy robocie ciszę i samotność, a wcale nie czytanie. Pani to uczyniła przez litość nade mną lub przez złość na Osieckiego.

— Nie zmuszałam pana. Może pan odejść — rzekła spokojnie.

— Cóż z tego? Odejść mogę, ale wrócić muszę. I to mnie do pasji doprowadza. Ja nie cierpię musu. I nie potrzebuję, żeby się pani nade mną litowała. Mnie jest bardzo dobrze w knajpie.

— Wierzę, ale ponieważ pan mi miał czytać, więc czekam. Weź pan którą z tych książek na półce i zaczynaj.

— Nie, pójdę sobie!

Wyszedł. Magda poruszyła brwiami i malowała pilnie. Twarz jej, zamyślona i poważna, miała w sobie spokój skupienia i łagodnego smutku. Gdy ją porywało natchnienie twórcze, rzeczy ziemskie i ludzkie malały w jej oczach i myśli. Co najwyżej dziwiła się, że to może aż tak dalece ludzi obchodzić i wzruszać.

Zatopiła się w swojej pracy aż tak zupełnie, że nie zauważyła, jak po kwadransie do pracowni wszedł znowu Oryż.

Popatrzył na nią spod brwi, nieśmiało podszedł do półki,

wziął książkę z wierzchu i przysiadłszy na kanapce, jął czytać ze środka, nie spojrzawszy nawet na tytuł:

— “Wyjechał z małą asystencją, biorąc jednego z senatu Nerve, bieglego w prawie, a z rycerstwa dwóch tylko...”

— Kto wyjechał? — zagadnęła Magda oglądając się. Oryż zajął na poprzednią stronicę:

— Tyberiusz — mruknął i czytał dalej jak maszyna: — “Sejana i Kurcjusza Attyka. Reszta się składała z mędrków, których rozmowami dla rozrywki się bawił. Po wyjeździe jego świadomi niebieskich obrotów powiadali, że pod takim aspektem wyjechał, który mu powrotu nie rokuje”.

Magda mimo woli wybuchnęła śmiechem.

— Pani teraz drwi ze mnie! — zawołał Oryż.

— Bardzo się owszem cieszę, że pan nie pod takim “aspektem” jak Tyberiusz wyjechał stąd.

— Wcale nie z ochoty wróciłem, ale dojrzałem z daleka Sylwestra z Finkiem i uciekłem, przed nimi.

— Pewnie pan znowu Finkowi spletał figla z ilustracjami?

— Czarna dusza wydawcy. On by chciał, żebym mu pracował jak parobek. Ja go oduczę!

— Co mu pan miał ilustrować?

— Albo ja wiem?! Dał mi książkę, ale jeszcze do niej nie zajrzał.

— Jakże tak można? Przynieś ją pan tutaj. Przeczytamy razem i gawędząc będziemy pracowali. Ustąpię panu stołu pod oknem do roboty.

— Aha, przynieś książkę, kiedy jej już nie ma. Onegdaj był u mnie komornik i zostawił w budzie tylko grzebień i poduszkę.

— Cóż będzie?

— Albo ja wiem? Niech o tym myśli Fink, który mi dal

zaliczkę.

— To idź pan do niego i opowiedz zdarzenie.

— Eh, nic pilnego. Mam jeszcze obiad zapłacony do końca września. Jak będę głodny, to pójdę.

Wziął znowu książkę i czytał:

— “Atoli sam skutek uścił, że sztuka z fałszem o ścianę chodzi, a prawdę ciemnotami gmatwa; bo gwiazdciarze zgadłszy po części o niepowrocie jego do miasta, reszty sami nie wiedzieli, że się po bliskich wioskach i brzegach, często pod samymi murami przejeżdżając, ostatniej starości miał dopełnić”.

Dzwonek w przedpokoju przerwał czytanie i po chwili do pracowni wszedł Filip obładowany paczkami.

— Tak cicho? — zaśmiał się.

Magda wstała i poznała ich z sobą. Podali sobie dłonie mierzając się badawczym wzrokiem.

“Co za mała” — pomyślał Filip. “Co za lala” — pomyślał Oryż.

— Przyniosłem cały mój artystyczny bagaż z podróży — rzekł Osiecki, rzucając na ziemię wszystkie paczki, oprócz jednej, którą podał Magdzie.

— A tom dla ciebie dostał.

Rozwinęła papier, potem szmat wschodniej materii i odkryła skrzynkę drewnianą, nabijaną ślicznie srebrem i złotem, z wersetem jakimś arabskim na wierzchu.

— Śliczne cacko! Dziękuję ci! — ucieszyła się.

— Nie ciekawaś, co zawiera?

Otworzyła, a wtedy na podściółce z białego pustynnego piasku ukazał się kłębek szary jakby perzu spletanego.

— A, jerychonka! — zawołała, a skronie jej pokryły się rumieńcem.

Filip patrzył na nią z uśmiechem i widocznie czekał,

żeby spojrziała na niego. Ale ona wydobyła roślinę i oglądała ją w milczeniu, a potem odłożyła na powrót i rzekła zwykłym, trochę drwiącym tonem:

— Dziękuję ci, żeś zapamiętał moją fantazję. Ja sama nawet jużem o niej zapomniała.

Na sekundę Filip spochmurniał, ale wnet znowu się uśmiechał i podając jej drugą paczkę, rzekł:

— Zapamiętałem też fantazje stryjenki. Przywiozłem jej z Jerozolimy relikwie.

Oryż wstał, książkę złożył i zaczął się żegnać.

— Idźże pan do Finka i dostań tę książkę. Jutro ją przeczytamy — rzekła życzliwie.

Zaledwie wyszedł, Filip wybuchnął śmiechem:

— Ładnegoś sobie wybrała rycerza! Toć karykatura!

— Nie jestem królową i nie mam ani mieć pragnę rycerzy. Oryż jest mi tak dobrym kolegą i towarzyszem jak każdy z was.

— Jak i ja? Może sobie mówicie po imieniu?

— Tobys słyszał. Tobie mówię po imieniu z nawyknięcia dziecięcego, a jemu mówiłabym wyjątkowo... jednemu. Nie doszło jeszcze do tego.

— Całe miasto mówi, że się kochacie, że on od ciebie nie wychodzi.

Magda zmarszczyła brwi.

— Całe miasto... to baronowa. Słuchaj no, ja nigdy o nikim źle nie mówię i życie moje czyste jak kryształ. Niech ona mnie nie tyka ani się mną zajmuje. Ja za siebie się nie ujmę, a jednak jeśli mnie oszkaluje, sama to odcierpi. A ty mi nie mów podobnych rzeczy, jeśli chcesz tu wrócić.

— Nie poznaję ciebie. Nauczyłaś się ostrej wymowy i szyderstwa. Nie dbasz już o mnie ani trochę!

— W każdym razie więcej niż ty o mnie, a nawet niż ty

sam o siebie. A zresztą dwa lata nie mijają bez śladu. Dojrzałam i postarzałam się nawet. Tyś bawił się i używał... Ja pracowałam i myślałam. Rozeszliśmy się daleko. Teraz szalejesz i toniesz w szczęśliwości. Nie staraj się mnie zrozumieć! Wiesz, że ci szczerze życzliwa i że cię za brata uważam. Ale o mnie ze swoją baronową nie mów; to sobie zastrzegam, bo stąd wyniknie to, że stracisz jedyną wierną ci duszę i dłoń szczerą, a ja bym chciała, żebyś mnie zachował na ciężką godzinę.

— Magda, mówiłaś inaczej ongi w Rzymie! — rzekł z uśmiechem, zaglądając jej w oczy.

— Dziwię się, że pamiętasz, gdy ja nie wspominam.

— Pamiętam i zły jestem, że ktoś zajął moje miejsce.

— A tyś moje zachował? Wiesz, nie cierpię podobnej rozmowy i nie rozumiem ciebie. Wczoraj wybrałaś mnie za powiernicę swojej miłości... Dzisiaj przypominasz sobie stare historie i gniewasz się, żeś mnie stracił. Powinieneś być rad mojemu zapomnieniu.

— Bynajmniej. Kochałaś mnie, teraz drwisz! To mnie złości.

— Wolałbyś zatem, żebym ci urządziła scenę z melodramatu i oblała witriolem baronową? Co to, to nie, mój drogi. Ustępuję jej z drogi i żadnej pretensji nie roszczę ani do ciebie, ani do niej.

— Więc jestem już niczym dla ciebie?

— Nie będę drugą! Ale co ci jest? Musiałeś mieć jaką przykrość od niej?

— Skąd wiesz?

— Nie wiem, ale czuję.

Filip usiadł na fotelu i oburącz głowę objął. Długi czas milczał.

— Ona jest okrutna! — wybuchnął wreszcie. — Rano

była uosobieniem dobroci: widziałaś sama. Teraz była jak oset kołająca. Drwiła, szydziła, drażniła jak psa. Na rozstanie powiedziała, że jestem monotony.

Magda się roześmiała.

— Więc ty z rozpaczy do mnie przyszedł? Ano, trzeba było od tego zacząć i prosić o radę, zamiast o afekty, których masz beze mnie dosyć. Jeśliś monotony, idź do pracowni i weź się do obrazu, nie pokazuj się dni kilka, staraj się zająć sztuką, stwórz arcydzieło. Musisz jej imponować, jeśli chcesz ją dłużej posiadać.

— Jak ty myślisz, czy ona mnie kocha? — spytał niespokojnie, wzrokiem ją błagając, by potwierdziła.

— Kocha, kocha — rzekła tonem, jakim się dzieci uspokaja. — Ale pamiętaj, że ona kocha wielkiego artystę, dla niej powinieneś być wielkim i sławnym, dogodzić przecie jej próżności kobiecej. Pomyśl, jak dumną będzie, gdy setki, tysiące chwalić cię będą i zachwycać się tobą.

— Masz rację! — zawołał prostując się. — O, jakaś ty dobra! To prawda. Rzucę jej pod nogi sławę i honory, niech po nich depce, królowa!

Zerwał się, odkrył portret i wnet ognie uderzyły mu do oczu, ramiona do niej wyciągnął.

— O ty, moje bóstwo! — wyszeptał.

Magda patrzyła na to z dziwnym swym uśmiechem. Z kogo drwiła w tej chwili: z niego, z baronowej czy z siebie samej?

Gdy się do niej odwrócił, już odzyskała humor i nucąc zbierała pędzle.

Czerwony zachód wdzierał się do pracowni, a po kątach leżały już cienie. Robota była skończona na dzisiaj.

— Jutro od świtu biore się do dzieła! — rzekł Filip. — O, dziękuję ci! Dodałaś mi otuchy. Byłem bliski rozpaczy,

szalony.

— Oczywiście, kiedyś już nawet mnie amatorami swoimi częstował. Chcesz? Pójdziemy razem do twojej pracowni.

— Dobrze. Pomożesz mi urządzić się.

Wyszli. Wieczór był bardzo ciepły i pogodny. Filip się ożywił i rozmawiał wesoło.

Magda była z siebie rada, a jednak czuła, że jej ciężko i nudno. Spoglądała po starych murach, które tak lubiła, i wydawały się jej ponure; słuchała dzwonów i brzmiały jej fałszywie; uśmiechała się do spotykanych znajomych, a bolał ją uśmiech sztuczny; Filip opowiadał zdarzenia śmieszne z podróży, a zajęcie było powierzchowne; miała w duszy cierni, który jej nieznośnie dolegał, musiała o nim myśleć, a nie mogła tego okazać.

Weszli do pracowni.

Filip się obejrzał i skrzywił. Istotnie była to stancja ciasna i źle oświetlona, umieszczona bardzo wysoko.

— I ja tu mam malować? — rzekł od razu zniechęcony.

— Przecie tu łokciom nawet za ciasno! Gdzież pomieszczę moje makaty i skóry, i wazon? Pfe, tu nikogo porządnego przyjąć nawet nie sposób. Ja tu i godziny nie wytrzymam.

— Laską potraćił parę szkiców.

— A to czuć szkołą o milę. Wstrętne! Trzeba tym w piecu napalić!

Magdzie podobał się ten zapach i zajęcie. Patrzyła pobłażliwie, jak Filip zaczął ze stołów i ścian ściągać kartony, teki szkiców, stopy papierów i układać to przed piecem.

— Spal, ale pamiętaj, że powinienesz za to stworzyć arcydzieło — rzekła, gdy płomień buchnął i łąpczywie pożerał rezultat długiej nauki i marzeń młodzieńczych.

Filip zamyślił się, patrząc na ogień.

— Stworzę! — szepnął. — Dla niej muszę być sławny! Jakaś myśl przelatywała mu pod czaszką.

— Wiesz? Zacznę jutro. Będzie to *Salamandra*. Widzę ją: płomienie, a w nich tańcząca kobieta. One jej nie palą, lecz pieszczą, nie niszczą, lecz upajają, a ona, jakby owładnięta rozkoszą, w nie się owija, do nich się tuli, z nimi igra zalotnie.

Magda słuchała na pół rada, że przecież ocknęła się w nim twórczość, na pół przerażona zmysłowością tego pierwszego natchnienia. To nie był dawny duch Filipa, którego ongi we Włoszech podniecały freski Fra Angelico, który w zamyśleniu szkicował twarze ascetów lub eteryczne aniołki i stawał w zachwycie przed mnichem zamodlonym lub lampą palącą się w niszy przed Madonną. Teraz to widziadło, które wyszło mu z myśli pod wrażeniem ognia i wewnętrznego usposobienia, miało pogańską lubieżność i dech szału i było kultem ciała i krwi, a zatraceniem ducha. Widziała i ona je, przeczuwała i była pewną, że ma rysy baronowej i jej urok niebezpieczny i niezdrowy. Nie przecząc mu i nie przerywając podeszła do stalug i odkryła rozpoczęty przed dwoma laty obraz Filipa.

Szmat słońcem oblanej pustyni, na niej trochę kaktusów i przy drodze muzułmański grobowiec. Na progu postać pątnika, który śmierci niedaleki zwraca oczy i ramiona na daleki horyzont, gdzie majaczą jak we śnie kopuły i krzyże, a on do nich już nie dotrze — tu mu zgon zakończy pielgrzymkę. Nazwał to niegdyś Filip Ślub nie spełniony, potem przewali już wspólnie: W przeddzień triumfu — było to jakby ich wspólne dzieło, bo mu towarzyszyła często przy pracy i mówili o tym płótnie wiele i miało ono stanowić o przyszłej karierze Osieckiego.

Teraz kariery nie potrzebował, był bogaty. Magdzie było

jednak bardzo smutno, gdy patrzyła na tę pamiątkę przebrzmiałych marzeń i nadziei.

Filip zbliżył się do stołu, popatrzył i sięgnął po nóż.

— I to w ogień! — rzekł. — To jest ohydne. To nie pustynne, gorące światło, to nie powietrze Palestyny. To jest oszukaństwo, fałsz, jeden wielki błąd. Do pieca z tym!

— Nie, daj pokój. Wezmę to sobie. Tu jest wiele ducha. Lubię to!

— Weź, ale nikomu nie pokazuj, bo mi wstyd. No, rozumiesz, że tu zostać nie mogę. Daruję ci wszystką tę mizериę, a za tydzień zapraszam cię do nowej pracowni.

Obejrzał się jeszcze raz wokoło.

— Nic z tego nie wezmę. Tandeta i nędza! Chodźmy z tej nory!

— Idź sam i przyślij mi posłańca. Zabiorę stąd parę rzeczy i odeślę do siebie... Co do pracowni, weź tę po Wiklickim, który po wakacjach wyniósł się do Monachium. Na Plantach w domu Szmita.

— Dobrze, byłem miał porządny przy tym apartament.

— Rozpytam jutro Oryża. Bądź zdrów... Idziesz do Maryni, to jej powiedz, że wstąpię do Berwińskiej.

— Wracajże prędko, bo co ja tam będę robił bez ciebie?
— rzekł tonem grymaśnym.

Gdy wyszedł, Magda zagasiła ogień, zebrała nie dopalone papiery, zakryła obraz i obejrzawszy się po izbie, ruszyła wprost do właściciela domu.

W kilku słowach załatwiła interes. Pracownia przeszła na jej własność, umówiła się o cenę, zapłaciła za kwartał z góry, wzięła kontrakt, zgodziła stróża, aby pilnował całości i opału, i poszła stamtąd, nie mogąc się pozbyć uczucia, że wraca z pogrzebu swojego szczęścia i ducha Filipa.

Wieczór już był i gaz się palił. Minęła parę uliczek i

znalazła się przed starym domostwem z ogrodem, gdzie mieściła się piwiarnia. Niesforna muzyka napelniała całą posesję dźwiękami walca, w przerwach dźwięczały kufle i huczał gwar ludzki.

Magda z podwórza weszła do oficyny drewnianej i zapukała do drzwi lewych.

— Zaraz, zaraz — odpowiedział kaszlący głos i po chwili otworzył je staruszek, suchy i mały, posiadający jedną tylko, lewą rękę.

— A, to pani! — zawołał radośnie. — Dopiero Helenka wróciła. Proszę, proszę! Ja jej obiad przygrzewam.

— Cóż to? Państwo znowu bez służącej?

— Nie wystarcza — rzekł z westchnieniem. — Ja stary, niedołęga, do niczego, więc chociaż domem się zajmę. Tyle wygranej, że czas mam zajęty i nie tak wstyd żyć. A zawsze Helci lżej!

Podreptał do kuchenki, z której zalatywała woń jedzenia ubogich; Magda poszła dalej.

W drugim pokoju przy stole, nad którym wisiała lampa, Helena Berwińska, pochylona, rozcinała etykiety do wina w wielkich, wilgotnych jeszcze arkuszach.

Była to dziewczyna trzydziestoletnia, zwiędła i mizerna, bladej cery i twarzy jakby zastygłej, na której nie bywało uśmiechu, ale i nie było goryczy, tylko spokój i powaga. Oczy miała bardzo zmęczone i na czole dużo zmarszczek, a usta blade.

Obejrzała się dopiero, gdy jej Magda położyła obie ręce na ramionach i pocałowała ją w głowę.

— A, to ty? Myślałam, żeś wyjechała. Nigdzie cię nie widać!

— Nie bardzo widocznie tęskniłaś, kiedy nie wstąpiłaś tyle czasu. Miałam dużo zajęcia i czekałam na ciebie co

sobotę na wieczór. Cóż słyhać?

— Nic złego. Zawszem na miejscu. Zarabiam, ojciec zdrów; wieczorem, ot, żeby nie próżnować, tnę etykiety, słucham muzyki.

— Prawda, masz bezpłatny koncert. Daj nożyczki; będę gawędząc i ja rozcinała. To twój rysunek?

— Mój. Rozcinaj uważnie, bo brakują za byle co.

— No i cóż ci płacą za to?

— Dziesięć centów od tysiąca.

Magda rzuciła nożyczki.

— A toś szalona, za tę cenę oczy tracić!

Berwińska ruszyła brwiami.

— Gdy się wprawić, nie takie to straszne. Robi się machinalnie i na wieczór ma się zarobku około pół guldena. Dobre i to.

— Ty jeszcze z tego zarobku kupisz sobie kamienicę! — zaśmiała się Magda.

— Po co mi kamienica. Chciałabym na starość mieć domek z ogródkiem, kędyś na skraju przedmieścia, i z polem. Hodowałabym sobie róże i sadziła warzywa.

— A prędko dojdiesz do tego marzenia?

— Nie wiem. Tymczasem właściciel upatrzonej przeze mnie posesji droży się z ceną.

Magda nie pytała się dalej. Berwińska, gdy mówiła o sobie, zbywała to krótko i obojętnie jakby rzecz niewartą rozmowy.

Znały się z Magdą ze szkół w Dreźnie. Wtedy Berwińska była wesołą dziewczyną i uchodziła za majątną. Pustak to był i swawolnica, przy tym zdolna i inteligentna. Nagle pewnego dnia ojciec ją wezwał depeszą. Pojechała na czas jakiś i nie wróciła wcale. Po pięciu latach Magda ją spotkała wypadkiem na ulicy w Krakowie i była już taka

jak obecnie. Pracowała w litografii, mieszkali z ojcem w ruderze. Magda nie śmiała jej o nic pytać, bo czuła, że to życie wielka katastrofa zniszczyła, i nie chciała urazić może już zabliznionych ran.

Znalazła w Berwińskiej wielką głęb i delikatność uczuć, spokój i pogodę sądu, szczerą radę i życzliwość. Mówiła tedy o sobie, a Berwińska słuchała chętnie, stała się jakby jej spowiednikiem i doradcą.

Z czasem stosunek ten stał się dla Magdy potrzebą i coraz się zacieśniał.

A przez ten czas Berwińska ani razu przecież nie wspomniała o sobie, nie odkryła swych ran i duszy.

— Skończyłaś baronową? — zagadnęła.

— Lada dzień. Zapiszę go sobie radośnie w kalendarzu.

— Cóż? Kapryśna? Nierada z twej pracy?

— To nie, ale jej nie cierpię.

— Oho! Masz takich, których nie cierpisz. A wiesz, czego to dowodzi?

— Nie.

— Że masz takich, których kochasz.

— No, pewnie. Marynię zaraz z brzegu.

— Nie o tym mowa. Masz kogoś... jednego. Magda trochę się zarumieniła.

— Ty wiesz i to przecież — odparła.

— Zawsze to samo! To cię przepraszam za posądzenie i wracam honor.

— Teraz to nie honor, ale głupota. Przyszłam do ciebie jak do chirurga na operację. Chcę stąd wyjść zdrowa.

— Mów zatem, a raczej zaczekaj, bo mi ojciec obiad daje. Zaraz się z tym załatwię.

— Dotychczas nie jadłaś?

— Nie. Zwykła to moja godzina. Kwestia nawyknienia,

bynajmniej nie umartwienie. Nie lubię jeść w warsztacie, a wracać na obiad niewygodnie. Więc urządziłam się arystokratycznie: jadam wieczorem.

Staruszek chrząknął w kuchence. Widocznie nie chciał, aby Magda oglądała jego preparaty kulinarne. Berwińska wyszła i po dziesięciu minutach była z powrotem.

— Teraz ojciec wyjdzie do znajomych na gawędę, a ty mów. Mamy cały wieczór spokojny. Wypijesz ze mną herbatę?

— I owszem.

Berwińska zajęła się samowarem, a Magda tymczasem, podparwszy twarz ręką, wpatrywała się w lampę i odpoczywała po długim przymusie towarzyskim.

— Właściwie co jest miłość? — zaczęła powoli, może nie Uważając, że myślom już dała wyrazy.

— Szczyt lub przepaść — odparła lakonicznie Berwińska, zabierając się znów do roboty.

— Jak wiesz, byliśmy tyle lat jak rodzeństwo, potem jak dwóch kolegów. Nie było nigdy mowy o miłości. Aż kiedyś niespodzianie on przyszedł do nas rano zamyślony, nieswój i wyciągnął mnie na wędrowkę na Via Appia. Po drodze powiada: Dziwny sen miałem. Widziałem siebie rannym i chorym, a przez pustynię ku mnie ty szłaś niosąc mi wodę i lampkę zapaloną, a choć to ty byłaś, jednak miałaś u ramion skrzydła jak Psyche, a nad głową półksiężyc Diany. Wydałaś mi się nad wyraz piękną i uroczą. Wypiłem wodę i poczułem się zdrów; wstałem, a tyś szła przodem, lampkę dłonią przysłaniając, aby mi świeciła na ścieżce. I przyszliśmy do ściany, na której stały jakieś litery niby na sarkofagu. I tyś mi je lampką oświetliła, i czytałem:

“Trzymaj skarb, bo on twą mocą”.

Popatrzyliśmy na siebie inaczej niż dotychczas i szliśmy dalej w milczeniu. Wreszcie on powiada:

— Obudziłem się i serce mi biło do ciebie. I bije dotąd, spróbuj! Alem nagle poczuła, że tego uczynić nie powinnam, więc potrząsnęłam głową.

Nie nalegał i rzekł poważnie:

— Jestem pewny, żeś mi przeznaczona na talizman! Bądźże mi łaskawą, o Psyche! Chciałbym wiedzieć twe myśli w tej chwili.

— Myślę — odparłam — że jeśli mnie pokochasz, to muszę ci odplacić całym życiem.

— To weź moje życie, niech nas nic nie dzieli. Pójdziemy zawsze razem! Ja cię kocham.

To wyznanie napełniło mnie wielką powagą. Dotychczas on mnie traktował jak niedorostka. Poczulałam się człowiekiem, zrozumiałam obowiązki, nabrałam godności. Serce mi przecież nie biło nadzwyczajnie. Jak ty mówisz, stanęłam na szczycie, nie w przepaści. Miałam wrażenie, że jestem w gotyckim tumie i że mi organy grają modlitwę.

Trwało to parę tygodni. Zdarzyło mi się, żeśmy w wędrownkach znaleźli się zupełnie samotni wśród zwalisk. Szkićowałam ruiny; on, zamyślony; siedział obok. Nagle rzecze:

— Czy się mnie nie boisz? Mam szaloną, wrażliwą naturę, pełną fantazji i sprzeczności.

— Musisz mieć taką, boś artysta.

— Może to być racja. Ale ja nie wierzę, bym mógł uszczęśliwić ani nawet ocenić szczęście. Kocham cię... na twoją niedolę.

— Cóż robić? — odparłam ze śmiechem.

— Obiecay mi, że mi wiele wybaczysz i że mnie w najgorętszej chwili nie opuścisz. Z tym zapewnieniem...

— Będziesz broił swobodnie.

— Może być, ale nie popełnię ostateczności. Będziesz moją świętością. Tyś czysta jak woda i płomień. Weź mnie na własność i opiekę!

— Dobrze.

— Cokolwiek by się stało, nie odrzucisz mnie i nie pogardzisz? Będę zawsze twoim?

— Będziesz.

— Więc przysięgnij.

— Przysięgam! Nigdy cię nie opuszczę i od ciebie nic wymagać nie będę.

— Dziękuję ci. Czuję się bardzo silny.

Była to dziwna umowa, ale podobała się nam obojgu.

— Jakbyśmy zawierali ślubne braterstwo skandynawskie! — rzekł.

— Tak, z jednej strony, bo ja do niczego się nie obowiązuję — odparłam pełna dumy.

— Bo ty mnie nie kochasz!

Nie odpowiedziałam nic. Może i miał rację. Może by żadna kochająca kobieta na taki warunek nie przystała, ale jam go znała do gruntu i wiedziałam, że mi daje wszystko, co może. Wiedziałam, że mi nigdy nie skłamię i że do nikogo innego nie przyjdzie pożalić się w walce lub nieszczęściu. To dziwne, lecz wolałam jego mieć na własność, niż być jego własnością... Byłaż to miłość?

Podniosła swe myślące oczy ku Berwińskiej.

— Ano, to zależy, jak dotrzymałaś umowy — odparła tamta poważnie.

— Nie miałam czasu dotrzymać, bo w parę dni potem wezwano go do Wiednia, gdzie niespodziewanie wziął po ciotce milionowy spadek.

— A przy pożegnaniu?

— Obiecał pisać i nie odezwał się przez dwa lata — i obiecał mi przywieźć różę jerychonkę; i przywiózł.

— Więc wrócił?

— Tak, przed kilku dniami, z Ostendy w ślad za baronową Faustanger.

— I zaczął z tobą od zwierzeń, wedle umowy?

— Tak i to mnie wcale nie bawi.

— Dlaczego?

— Nie wiem. To mnie nudzi.

— Lub drażni?

Magda zamyśliła się, a Berwińska zaczęła mówić powoli i poważnie:

— Widzisz, to jest jeszcze dziwniejsze! Dusza ludzka jest tak oplatana ciałem jak Laokoon węzami. Rada by wzlecieć, lecz do ziemi ją ciągną zmysły i pragnienie doczesne. Obiecałaś duchem, a teraz skrzydła nie mają mocy. Żeby twa ofiara była we czci i chwale ludzkiej, może byś ją podjęła; ale że w zamian za nią osiągniesz pogardę, lekceważenie, drwiny, a w najlepszym razie milczenie, więc cię nawet duma opuściła i chcesz być jak inne. Chcesz mieć swe upojenia i radości, swe zawody i szczęście. To zupełnie zrozumiałe, tylko — szkoda ciebie.

— Mylisz się! Wcale nie pragnę być jedną ze zdobyczy Filipa, ale nie chcę patrzeć i słuchać jego zachwyków nad jego własnym nieszczęściem. Bo ta kobieta zgubą jego będzie.

— Powiedz mu to i usuń się.

— Szkoda mi go! — szepnęła Magda.

— Więc zostań, czym miałaś być. Przecierpisz strasznie, ale to cierpienie uchowa ciebie w czystości wody i płomienia, da ci cześć dla samej siebie i będzie ci natchnieniem wzniosłym. To bardzo ciężkie i trudne, ale ty

to lubisz i raz się przemógłszy, będziesz sobie wdzięczną. Zaznasz wiele mąk, ale nie poznasz najgorszych: upokorzenia, wstydu i niesmaku. Ty byś tego nie przeżyła!

— Nie! — wzdrygnęła się z obrzydzeniem Magda. — Dziękuję ci za tę rozmowę. Trochę mi jaśniej w myśli. Ty mnie lepiej znasz niż ja sama siebie. Zdaje mi się teraz, że to mi właśnie dolegało, iż chciałam postąpić wbrew naturze. Miałam złudzenie, że nie jestem sobą. Masz rację — przysięgam, dotrzymam!

Podniosła rozjaśnione oczy i uśmiechnęła się do poważnej towarzyszki.

— Tobie to wszystko wydaje się straszną marnością. Berwińska potrząsnęła głową.

— Nie. Bardzo dla mnie ważny i szanowny jest wszelki ból, który się u Boga zapisuje, i wszelki czyn, który na ziemi nie pragnie zapłaty. I nade wszystko poważam miłość, która daje i nie żąda niczego za to.

Magdzie się zdało, że na te słowa zagrały jej znowu w duszy organy modlitwy, a Berwińska dodała wstając:

— Kogo się kocha, to podrzędna kwestia, ale jak się kocha — to wszystko. Miłość napęlnia świat, ale taka, która nie napęlni nieba.

— Ja swojej tu nie zatopię! — rzekła już hardo Magda.

— Pamiętaj o tym przy nim! — z naciskiem odpowiedziała Berwińska.

— Ty myślisz o krwi i nerwach! Jego zwierzenia — to najskuteczniejszy przeciw nim środek. Słuchając tych szczegółów i sposobu, w jaki je traktuje, można tylko nabrać wstrętu, a nie ochoty. Zanadto mu byłam kolegą, żeby był pociągający.

Z ogródka dolatywały tony walca. Magda słuchała chwilę i rzekła z dźwiękiem serca w tonie i oczach:

— A zaudto jest mi drogi i własny, żeby drugi mógł istnieć poza nim. Więc bezpiecznam.

Berwińska wstała i nalala herbaty, potem zaczęła etykiety składać w setki i rzekła:

— Jak ty Filipa, tak ciebie kocha Oryż. Życie tak wszystko płacze. Za Oryża będziesz także miała zasługę, że się nie zatraci.

— Trzeba przede wszystkim mieć dużo zimnej krwi, aby słuchać jego absurdów.

Ledwie domówiła tych słów, gdy do drzwi ktoś zapukał, a zaraz potem ukazał się właśnie Oryż w jakiejś śmiesznej marynarce, której rękawy kończyły mu się u łokci.

— Ładnie mnie pani urządziła! — zawołał bez powitania do Magdy. — Dałem się złapać najgłupiej. Z namowy pani poszedłem po te książki do Finka, a on mnie zaaresztował. Zabrali mi surdut, kamizelkę i kapelusz i kazali rysować. Ja tego pani do śmierci nie daruję!

— Przecież pan sobie zaradził i uszedł — śmiała się Magda.

— At, gdybym pani nie wypowiedział swej pretensji, toby mnie żółć zalala. Przekupiłem chłopca z drukarni, zdarłem mu spencer i przyszedłem. Pani musi być w znowie z Finkiem, to niegodne!

Zaczął szperać po kieszeniach i wydobył kilka srebrników.

— Dalibóg, cztery szóstki. Solidny chłopak! Wstąpię do bawarii i wypiję za jego zdrowie. A na pani potrafię się zemścić. Teraz dalibóg nie wiem, co się stanie z Boińską. Pani po kobiecemu urządziła czulą scenę, zapaliła się i zgasała. Niczego trwałego spodziewać się nie trzeba. To dopiero plemię utrapione!

— Może pan chociaż ofiaruje na obiad dla Boińskiej te

cztery szóstki.

— A nie wstyd pani nawet takie rzeczy proponować? Toć kobieta — siostra w niedoli, a pani ma bezczelność mnie jej utrzymaniem obarczać!

— Owszem, wstydzę się, rumienię i dziękuję za moralną naukę i wskazanie drogi obowiązku. A może mnie pan do domu odprowadzi?

— Dobra sobie pani! Gdzie Rzym, gdzie Krym! Bawaria tu, na podwórzu, a ja będę podeszwy zdzierał opiekując się panią! Za historię Finka może, przez wdzięczność? Żegnam panie, bardzo proszę odróżniać mnie od błaznów uganiających się za kobietami i nie brać za jedno!

Zawrócił się na pięcie i wyszedł z miną obrażoną. Za ledwie drzwi zamknął, Berwińska rzekła pobłaźliwie:

— I szóstki zostaną w Spencerze, i on będzie cię do północy wyczekiwał pod bramą.

— Nie narażę go na to, bo już odchodzę. Do zobaczyska, Helciu, dziękuję ci za rozmowę. Czuję się zdrowa. Przyjdiesz w niedzielę?

— Spotkamy się u Panny Marii. Do widzenia.

Podaly sobie ręce, uśmiechnęły się serdecznie. Magda wyszła coś nucąc.

W bramie, wtulony w kąt, czatował rzeczywiście Oryż. Nie zbliżył się ani odezwał, tylko jak policjant szedł za nią w odległości dziesięciu kroków. Na ulicach było już pusto. Minęli Planty i weszli na Floriańską. Przy bramie swego domu Magda się obejrzała i rzekła ze śmiechem:

— Dziękuję panu za troskliwość i opiekę.

Oryż w jednej chwili przybrał postać pijaka, chód chwiejny, wejrzenie mgławce i głosem chrypliwym zaśpiewał:

*Kiedym jechał na Kujawy,
Szczekał na mnie pies kulawy,
A dziewczyna w progu stała,
Jeszcze lepiej przeszczuwała.*

Minął ją, jakby nie widział i nie znał, i poszedł trochę się zataczając w stronę Rynku.

III

W kilka dni potem wpadł Filip do pracowni Magdy wesół, ożywiony, swobodny.

Majorowa, obrażona na niego za długą nieobecność, mimo woli uśmiechnąć się musiała na widok jego dawnej, swawolnej twarzy.

— Ach, ty niecnoto, gdzie się wałęsasz?

— A, zaraz bura! Urządzałem się i dziś przyjechałem po panie, aby raczyły mnie odwiedzić we własnym mieszkaniu.

— Gdzież to?

— Na Plantach. Ale panie zarazem spróbują moich koni i powozu. Stoї przed bramą.

— Co, kupiłeś konie i powóz? Słuchane rzeczy! A toć dorożek ci brak czy co? A na piechotę nie łaska?

— Na piechotę będzie czas, gdy zjem spadek. Teraz będę nóg oszczędzał. Proszę się zbierać, bo śniadanie ostygnie.

— Awantura! Chłopak oszalał! Cóż, jedziesz Magdo?

— Ależ i owszem. Czyś zaprosił jeszcze kogo?

— Będzie Malicki, Fink, no i Sylwester.

— Ano, ostro się reklamujesz widocznie.

— A cóż! Muszę być sławny! — odparł patrząc na nią z porozumieniem.

— Więc jedziemy! — zdecydowała majorowa, która w gruncie rzeczy ogromnie była ciekawa i koni, i mieszkania, i śniadania.

— Zaraz, tylko się przebiorę — rzekła Magda wstając od stalug.

— Ano, to i ja!

Magda chciała portret zasłonić, ale spostrzegła chciwy wzrok Filipa i rzekła podając mu paletę:

— Może chcesz co dodać?

On wziął paletę i nic nie odrzekł.

Pozostał sam i oczu z płótna nie zdjął. Czuł wyraźnie, jak ulatywała jego swoboda i wesołość, jak go ogarniał niepokój i drzenie. Wrażenie było tak silne, że stało się prawie bólem. Postąpił o krok i gorejące oczy wpił w obnażone ramiona i usta rozchylone uśmiechem tajemniczym, na pół drwiącym, na pół rozkosznym.

— Śmierć mi daj lub siebie! — zamruczał głucho.

— I siebie, i śmierć! — zdawał się mówić tajemniczy uśmiech.

I nagle sztuka, poryw artystyczny, chęć do sławy opadły i gdyby usłuchał chęci, która jak burza przeszła mu przez duszę, uciekły stąd i pędził do niej i powtórzyłyby u jej stóp frazes, który mrucał z uporem szaleńca.

Magda wyszła ze swego pokoju i patrzyła nań. Chciała się cofnąć, ale się przemogła, i kładąc mu rękę na ramieniu rzekła:

— *Salamandrze* dasz jej rysy i stworzysz arcydzieło.

Ocknął się i rzekł zmęczonym głosem:

— Nie widziałem jej już od tygodnia.

— To za długo! Pójdź dzisiaj. Wyglądała jak urażona wspominając ciebie.

Majorowa przerwała rozmowę, więc zeszli do bramy i wsiedli do powozu Filipa.

Kurs był bardzo krótki, ale majorowa znalazła przecież czas upatrzeć w oknie jakiejś suteryny dziecko blade i beczynne, do którego obiecała sobie zajrzeć za powrotem.

Filip mieszkał jak milioner. Zajmował pięć pokoi, miał

lokaja w liberii, meble eleganckie, mnóstwo cennych drobiazgów i przedmiotów zebranych w podróży.

Kiedy majorowa oglądała salon i jadalnię, Magda spytała przede wszystkim o pracownię i poszła do niej.

Była urządzona z przepychem, miała pyszne światło — ale pustką z niej wiało. Puste płótno na stalugach, farby nie tknięte, nigdzie studiów ani szkiców.

— Nie zacząłeś jeszcze nic? — spytała.

— Jutro. Przyjdź za tydzień na krytykę.

— Dobrze. Ale pamiętaj z początku tego wprawiać. Zaniedbałeś rękę. Powinieneś szkicować bez przerwy teraz.

— Czy ty kiedy myślisz o czym innym jak o malarstwie? — zaśmiał się Filip. — Sztuka stała się w tobie manią.

— Zawsze tak było, tylkoś ty się zmienił. Otóż, już dzwonią. Pójdźmy!

Pierwszy przybył Fink, prześladowca Oryża, wydawca i spekulant książkowy, był osobistością znaną i wpływową. Bardzo bogaty, bystry, rzutny — miał język cięty, stosunki rozległe i wielkie zachowanie wśród artystów i literatów.

Krótki i gruby, miał rysy wydatne, uśmiech satyra, spojrzenie cyniczne. Czuł swą siłę i dość lekko traktował każdego.

Gdy wszedł, jednym rzutem oka otaksował wartość mebli i mieszkania i rzekł do majorowej:

— Winszuję, winszuję. Pupil i synowiec pani ma wielki dar i gust wybredny. Lokal cacko, piętnaście tysięcy. Co? Zgadłem?

— Nieomal — odparł Filip.

— Dobrze pan robisz. Z pieniędzmi jak z miłością. Kiedy co łatwo przyszło... *on le passe à d'autres!*

Zwrócił się do Magdy i rzekł:

— Przynoszę pani ukłony od pana Oryża.

— O, co w to to nie wierzę! — odparła swobodnie. — Zanadto ceni swoje grubiaństwo, żeby o czymś podobnym myślał. Cóż? Jakże mu idzie robota?

— Świetnie. Jutro go uwolnię, bo mi zanadto demoralizuje personel redakcyjny. Przyszłą go pani na rekolekcje.

— To by był zacny chłopak, żeby mu uciąć połowę języka! — rzekła majorowa.

— I umyć go gruntownie! — dodał Filip.

W tej chwili wszedł pan Sylwester i od progu zawołał:

— Nasz artysta się żeni, ani chybi. Co za luksus, co za szyk!

— Bajesz! — odparł Fink. — To ty się żenisz podobno.

— Ja? Uchowaj Boże!

— Ano, to kochasz. Onegdaj przecież przyjmowałeś damy.

Stary galant zrobił minę skromną.

— Baronowa uczyniła mi zaszczyt zwiedzenia zbiorów — rzekł dyskretnie.

— Taak? — ironicznie zapytał Fink. — I ofiarowałeś jej ten stolik saski porcelanowy, za który ci dawałem więcej złota, niż sam wart jesteś.

— Awantura! Skądże wiesz o tym?

— Od jej matki. Pochwaliła się zaraz twoją głupotą, a córka pewnie drwi z ciebie w duchu.

— Mój łaskawco! — rzekł Sylwester. — Moich stolików nie mam na sprzedaż, a nie zawsze ten robi dobry interes, kto się przechwala lub drwi. Z mojej transakcji z baronową jestem zupełnie zadowolony, chociaż milczę.

— Phy! — lekceważąco odparł Fink — i mnie stać na podobną transakcję. Z baronową jesteśmy dawni znajomi.

Filip słuchając tego to bladł, to czerwieniał. Ledwie się hamował, by nie wybuchnąć i nie spoliczkować tych dwóch starców plwających na jego ideał.

Spojrzał na Magdę wzrokiem rozpaczliwym a oburzonym zarazem, ona zaś zrozumiała go i rzekła z uśmiechem:

— Jutro rano powiem baronowej, co prawicie, i słusznie uczyni zamykając wam drzwi przed nosem.

Sylwester od razu ucichł, ale Fink nie dał za wygraną:

— Czy pani jest spowiednikiem baronowej, że tak broni jej cnoty?

— Nie znoszę krytyk zaocznych. Jeśli pan miał łaski u baronowej, to opowiadając w ten sposób czyni pan jak...

— Żyd! — podchwycił Fink. — Ma pani słuszność. Płacę teraz ludziom taką moneta, jaką brali od chrześcijan moi przodkowie. Ząb za ząb, siność za siność, sparzelina za sparzelinę, pogarda za pogardę!

— Wzruszająca solidarność z tym, czego się odprzysięgło! Daruje pan, ale kto wyznaje takie zasady, powinien powrócić do Starego Zakonu, aby być logicznym. Bez tego nie ma sensu! Zresztą nie myślałam o tym, co mi pan podpowiedział. Nie potrzeba być Żydem, aby być oszczercą. To potrafi każdy tchórz, bez różnicy wiary.

— A pani, co tak broni baronowej, czy wie, co ona na nią wymyśla?

— Nie wiem i wiedzieć nie chcę! — Magda opędyła się jak od osy i zatkała uszy. — Panowie, to zgroza! Macie Munkacsyego na wystawie, Modrzejewską w teatrze i mówicie o miejskich plotkach. A potem dowodzicie, że to my, kobiety, plotkarki...

— Racja, racja! — przytakiwała majorowa. — Próżność i plotkarstwo myśmy po was odziedziczyły.

— Bo to tylko widocznie wam się podobało i było dla was dostępne!

— Widzę, że pan bardzo od pana Oryza skorzystał, bo to jest jego rodzony frazes. Czyżby już panu brakło własnych złośliwości?

— Chciałem pani zrobić przyjemność cytując nadwornego mędrca.

— Ach, tak! Dziękuję!

Złożyła mu ukłon głęboki i zwróciła się do wchodzącego w tej chwili doktora Malickiego.

— Profesorze, pewnie ta biedaczka suchotnica zmarła?

— Skąd pani wie? — Z oczu pana.

— Tak jest. Umarła! — odparł doktor i ręką machnął. — Ohydne.

— Co takiego? Kto to był? — zaciekawiał się Sylwester.

— To był człowiek i śmierć. To dwaj moi prześladowcy. Mniejsza kto. Ohydny jest mój zawód i basta! I pomyśleć, że mógłbym być inżynierem lub księdzem, a jestem zwykle szarlatanem, często zaś oprawcą! Witam, panie Filipie, i cieszę się, że nie wyglądasz na pacjenta. Obyś żył, żył i umarł beze mnie! Szacunek, pani majorowe; pilnuj pani swej trzódki, bo ospa wszędzie po suterenach! Fink, pewnie się opuszczasz w gimnastyce, oszukujesz mnie, ale nie oszukasz swej krwi, pamiętaj!

Popatrzył na Sylwestra, przymrużył jedno oko, pokręcił głową, obejrzał go pod światło i nic nie mówiąc palcem pogroził. Fink wybuchnął śmiechem, ale profesor się oburzył.

— Ty nie masz czego się śmiać, ale gimnastykować jak najwięcej!

— Profesorze! A moja Boińska? — spytała Magda.

— Chciałbym takich dużo mieć. Ale powiedzcie mi,

panie Filipie, po co to proszone śniadanie? Zaręczasz się czy żenisz?

— Dlaczego?

— Ano, nie wiem skąd, słyszałem, że się żenisz z panną Magdą. Możem się wygadał przed czasem?

— Po czasie, profesorze! — roześmiała się artystka. — Filip obchodzi swoją instalację malarską. Zaczyna pracować.

— To dobrze, tylko, proszę cię, nie maluj jak mój brat.

— Doktorze, jesteś zrzęda — wtrącił Sylwester. — Twój brat ma świetną technikę.

— A to zrób go przedsiębiorcą od wyrobu maszyn, ale nie nazywajże artystą. Co on maluje? Zawsze jedną damę. Ta wacha kwiat, a ta bawi się perłami, tamta wachluje, inna otula się futrem, a wszystko jedno warte, to jest... nic. Nie zwracajcie mi głowy, że to jest sztuka. Ten chłopak lepiej by był tapicerem.

— To jest modne i szalenie się opłaca — wtrącił Fink. — Widocznie twój brat ma talent i szczęście... Odpowiada potrzebnie estetycznej danej chwili.

— Takie fuszery przede wszystkim zepsują smak, zdemoralizują publiczność, a potem wy ją czynicie winną za ich utwory. Nieprawda! Winien jest ten, co tworzy, nie ten, co czyta i patrzy. Wszystko jest chore teraz, wszystko rachityczne, skrofuliczne i histeryczne. Niech przepadną literaci, dziennikarze, malarze, aktorzy i filozofowie, a wtedy ja może odpocznę. Nienawidzę ich hurtem, bo to oni mi napełniają szpitale, kliniki i domy obłąkanych i sprowadzają takie komplikacje, że człowiek do grobowej deski nie może przestać uczyć się i musi łeb łamać nad coraz nowymi zwyrodnieniami.

— Profesorze, jedźcie do Karlsbadu — wtrąciła

majorowa.

— Dajcie mi czas, a pojedę i będę czytał Robinsona Crusoe i będę zdrow. Cóż, panie Filipie? Dajcie co jeść, bo muszę zmykać. O czwartej mam operację w klinice.

— Śniadanie podane, ale nie chciałem profesorowi przerywać filipiki przeciw cywilizacji.

Malicki aż podskoczył.

— Cywilizacja! Idźcie na naukę do Bodokudów. Oni są zdrowsi od was wszystkich. Ty, na przykład, jesteś chory na nerwy. Jeszcze się trzymasz, boś młody, ale za rok będziesz u mnie i powiesz... przepraszam, nie zacytuję, bo panie tego nierade słuchać, ale ci powiem, jeśli chcesz, na osobności.

— Pan Stanisław już wrócił z Zakopanego? — spytała Magda.

— Jeszcze nie, ale go lada dzień oczekujemy. Pewnie teraz urodzi się dama w serdaku.

Przeszli do jadalni i zasiedli u stołu. Malicki burknął na lokaja, który mu chciał nalać wina.

— Nie pije profesor? — spytał Filip.

— Po co? Nie potrzebuję ani fałszywego humoru, ani fałszowanego napoju.

— Chcesz żyć sto lat, pomimo że zrzędzisz! — zaśmiał się Fink.

— Wcale nie, ale kto całe życie patrzy na choroby, może przecież, tyle skorzystać, żeby nie pragnąć ich i unikać ile sił.

— Doprawdy, nie rozumiem ciebie. Z twoim usposobieniem przestałbym praktykować.

— A ja z twoją tuszą przestałbym jeść pasztet i pić burgunda. Myślisz, że minie dzień, żebym nie postanowił zerwać z medycyną? Alboż mi dadzą! At, a jeszcze żona

mi prawi o powołaniu! Kobiety strasznie lubią ten frazes; może dlatego ogólnie dotychczas były zdrowsze, ale i one się psują. Ładne przyjdą pokolenia! Ale figa! Ja już ich leczyć nie będę!

— Wszystko to jest przesada — rzekł pan Sylwester. — Dla zdrowego wszystko zdrowe. Ja żyję życiem obecnym, karmię się tym, czym inni, a jestem zdrów i opieki twojej nie potrzebuję.

— O, i owszem. Tylkoś jej już potrzebował, i to bardzo. Zresztą masz rację: organizm twój mógłby być patentowany; toteż popełniłeś społeczny kryminał, żeś się nie ożenił. Zawszem cię do tego namawiał.

— Co się odwlecze, to nie uciecze! — zaśmiał się Fink. — Przyznał się nam, że się stara o baronową Faustanger.

Malicki zastanowił się chwilę.

— Baronowa... ano, nic bym nie miał przeciw temu. Zdrowa jest i zdrowia pilnuje. Cenię ją za to; ale niestety zanedo o siebie się lęka i za lat kilka grozi jej otłuszczenie serca. To bo bieda: jeden czuje za wiele, drugi za mało, nigdzie równowagi. A czy ona się z mężem rozwiodła?

— Po co? Brat jego ma fideikomis na Morawach i suchoty. A nuż kłapnie, wtedy będzie interes do męża wrócić — zaśmiał się Fink.

— Baronowa zbyt jest zamożna, ażeby potrzebowała wracać do tyra na dla funduszu — ozwał się Filip.

— A pan skąd spada? Z księżyca? — odparł Fink. — Pieniądzy nigdy za wiele. A Faustanger nie był nigdy tyranem. Kochali się nawet bardzo, ale się rozeszli, bo on miał kawalerskie długi, a radczyni nie chciała ich płacić. Rzecz do naprawy i poprawy.

Magda słuchała z niesmakiem i znudzeniem. Rozmowa podobna raziła jej gruntowny umysł i wymagania. Raził ją

też banalny wygląd jadalni, raził długi czas poświęcony jedzeniu, a nade wszystko raził sam Filip, który nie umiał rozmowy poprowadzić, pogłębić, stracił swój humor i błyski oryginalności, wyglądał osowiały, obojętny, znudzony.

Parę razy spojrzała nań; unikał jej wzroku; jakby się wstydził lub myślał o zdradzie. A gdy tak milczała, zgnębiona złym przecuciem, pan Sylwester przechylił się do niej i rzekł półgłosem:

— Niech pani w to nie wierzy.

— W co? — spytała zdziwiona.

— W to, czego oni dowodzą. Nie myślę wcale o baronowej ani mi ona niebezpieczna. Pani wie, komu służę wiernie. To tylko pozór — zakończył tajemniczo.

Roześmiała się. Doprawdy, on był przekonany, że ona cierpi nad jego odstępstwem!

Uspokajał ją i cieszył — on — co do siebie.

Popatrzyła mu w oczy nie wierząc, ale twarz ta była przejęta wysokim pojęciem o sobie i z lekka protekcyjna.

To ją tak ubawiło, że aż wesoło rzekła:

— To szczęście, że mi pan dodał ducha, bo już przemyślałam o samobójstwie.

Sylwester poczerwieniał.

— Pani mi nie wierzy. Pani zbyt ufa. Baronowa miała słuszość mówiąc, żeśmy panią popsuli, a pani za nasze hołdy płaci nam... Oryżem.

Magda znowu nie wierzyła uszom. Ale i ją wreszcie oburzyły podobne insynuacje.

— O wasze hołdy się nie staram. Przenieście je wszystkie na baronową i powiedzcie jej, że ma rację. Dbam o jednego Oryża i tego mi nie weźmie!

Brwi jej zbiegły się i rozděły nozdrza. Pan Sylwester wyglądał obrażony. Umilkł, a ona pożałowała wybuchu i dodała już wesoło, zwracając się do Finka:

— A wie pan, że Filip zaczyna malować?

— Słyszałem; jem i piję z tej racji, ale nie wierzę:

— Uwierzy pan, gdy zobaczy *Salamandrę*.

— Życzę tego i zapowiem ją publiczności, ale nie wierzę w artystów—bogaczy.

— Otóż przekonam pana — uśmiechnął się Filip.

Przez chwilę wątpliwość Finka wzbudziła w nim energię, ale błysk zgasł niebawem i sam nie wierzył już w swoją moc.

— Maluj, maluj! — zawołał doktor — byłeś się w Stacha nie wdał! Maluj źle, ale niech to będzie treściwe i zdrowe. A radzę ci trochę masażu i hydroterapii... na nerwy! No, a teraz, moi państwo, bywajcie zdrowi, bo już około czwartej.

Wszyscy wstali, trochę ociężali po winie. Fink zapalił cygaro i gdy doktor wyszedł, rzekł:

— Stary robi się trochę maniakiem. Narzeka, a pieniądze gładko bierze. Rachują go na okrągłe trzykroć i kamienica czysta.

— Chodźmy! — szepnęła Magda do siostry.

Gdy się znalazły na ulicy i w powozie, majorowa westchnęła głęboko.

— Nie podoba mi się Filip — rzekła smutno. — Źle zaczyna. Zbytek i dogadzanie sobie czyni człowieka egoistą i próżniakiem. Uważałaś ty: on o niczym nie marzy. Na nim znać już przesyt i nudę. On inny, nie nasz dawny, a taki obcy, że ja już nie śmiem do niego po swojemu zagadać. Malicki miał rację. On, się powinien ożenić.

Magda potrząsnęła głową.

— Samaś mówiła niedawno, że sztuka to kapłaństwo bezżenne.

— Mówiłam o tobie. On nie będzie artystą.

— Musi być, inaczej się wykolei i zginie. On właśnie ze swą wrażliwą, miękką naturą musi sztuki się trzymać. Tylko ci ludzie, co z nim są, to źli towarzysze.

Powóz stanął. Wysiadły i weszły do mieszkania. Magda stanęła w oknie i nie przerywając myśli, mówiła poważnie:

— Malicki ma rację. Wszystko jest chore. Byłyśmy przecież między ludźmi, którzy bądź co bądź sztuką się zajmują. I cośmy słyszały? Dla Finka jest ona interesem pieniężnym, dla Sylwestra sposobem odznaczenia się i zadowolenia próżności, dla Stacha Malickiego rzemiosłem, dla Filipa kokieterią i zabawką. I to są ci, co krytykują, kupują i tworzą! I po co się dziwić, że terazniejsi mistrze noszą w sobie wieczny niepokój, nieustanne szukanie czegoś, niezadowolenie z siebie! Oni szukają tego, co stracili na wieki... ideału. Sztuka, znudzona ciągłym kupczeniem sobą, zostawiła im to, co teraz popłaca... technikę, a zabrała to, na co nie ma pokupu... ducha! Jaka wiara, taka ofiara! Jaka myśl, taki czyn! O, Malicki mądrze mówił i bardzo mu wdzięczna za zdrowe słowa.

Wzdrygnęła się i dodała z oburzeniem:

— Nigdy mi jeszcze tak smutno i pusto nie było jak wśród nich dzisiaj. I to oni będą kierowali Filipem. On ich wybrał. Chodzi mu więc o reklamę.

— A ta baronowa! — wybuchnęła Osiecka. — Czyś ślepa, czy mnie chcesz oszukać, że jej bronisz? On się mieni, gdy o niej mowa.

Magda milczała. W tej chwili nawet to ją mniej bolało niż sponiewieranie sztuki.

— Czy prędko skończysz portret? Bo ja na tę kobietę nie

chcę patrzeć.

— Ostatnie dziś było posiedzenie. Za tydzień portret będzie na wystawie.

Wyszła do pracowni rada pomilczeć. Powoli dzień się kończył i stało się już tak cicho, że słycać było wieczorne rozhowy wróbla po rynnach. Magda położyła się na szezlongu i zaczęła duchową z sobą rozmowę.

Rozstrojona była i zbuntowana na życie. Co się stało? Czego? Przecież to, co jest dzisiaj, było wczoraj i będzie jutro. Myślała, że jest w zgodzie ze światem i ludźmi, miała się za dojrzałą i szczęśliwą. Dziś drażniło ją wszystko, a przede wszystkim punkt widzenia ludzi.

Fink inteligentny był, słuchał Malickiego, a gdy ten wyszedł, szacował nie jego, lecz kamienicę. Sylwester wzdychający do niej oburzał się na samą myśl, że Oryż może czynić podobnie. Filip wysiłał się, by zaimponować zbytkiem, a nie dbał o talent.

A ona sama? Dlaczego się gniewała i oburzała? Czy też nie spaczył się jej sąd i punkt widzenia? Wpół leżąc, z przymkniętymi oczyma, nie zauważyła, że portiera rozchyliła się i do pracowni wszedł Oryż. Stał w progu, popatrzył na nią. Przez chwilę rysy jego wypiękniały wielkim rozradowaniem; potem znowu przybrały niedbałą i cyniczną maskę i zaczął nucić przez zęby oberka.

Magda się obejrzała, ale nie rzekła nic. Zwykle nie witali się ani żegnali; uważała go za domownika.

I Oryż się nie odezwał. Pokręcił się po pracowni, obejrzał portret i szkic Kultu, poszukał, czy nie ma czego nowego, a potem usiadł u okna, dobył gazetę z kieszeni i czytał nie przestając nucić.

Może z godzinę nie odezwali się do siebie. Zmrok zupełnie zapadł. Magda się uspokoiła i zaczęła snuć jakies

marzenia.

Cicho Oryż wstał, zdjął ze ściany gitarę i ledwie strun tykając wybierał jakąś melodię. Mimo woli Magda słuchała. Talenty Oryża były to zawsze niespodzianki. Wiedziała, że pochwałą wywoła cyniczny koncept i w jednej chwili zaprzestanie, więc uwagi nigdy pozornie nie zwracała. Wiedziała też, że cnotę, ideał, formy towarzyskie, ofiarę, uczucie uważał za rzeczy niegodne wyznania i wyrazu, że krył się z nimi jak ze wstydem przed ludźmi, aż urobił o sobie opinię najgorszą, z czego był zupełnie zadowolony, i że powątpiewanie o prawdziwości tej opinii uważałby za obelgę. Więc po chwili rzekła obojętnie:

— Przecież pana Fink uwolnił. To dobrze!

— Co to za dobrze! Czy tam się siedzi, czy gdzie indziej między głupcami, zawsze się ma do czynienia z największym głupcem, to jest ze sobą.

Magda się uśmiechnęła. To nieparlamentarne określenie było odpowiedzią na jej rozmyślanie o sobie.

— A ja dzisiaj byłam na śniadaniu u Filipa.

— Słyszałem i jak ten derwisz wielbiłem Boga.

— Co za derwisz?

— A ten, co każdego ranka stawał na drodze sułtana i dziękował Ałłahowi, że go nie uczynił sułtanem.

— Mnie też wcale tam wesoło nie było.

— A pewnie. Kocha pani Osieckiego, a Osiecki baronową. Kobiecie to dosyć, by stracić równowagę.

— Pan ją traci jeszcze z marniejszej racji.

— Nie mam nic do stracenia. Obejdę się zupełnie bez równowagi.

Znowu z cicha wziął kilka akordów.

Magda wyprostowała się i rzekła swobodnie:

— Jeśli kocham Osieckiego nieszczęśliwie, to tym lepiej. Miłość bez wzajemności daje natchnienie.

— Jak komu. Lew kocha lwa, a wrona wronę. Ale gdy paw kocha srokę lub gołąb kaczkę, to już nie jest miłość nieszczęśliwa, ale głupia. A zresztą czy pani nie dość, że kochasz sztukę bez wzajemności? Co ta biedaczka cierpi od pani za prześladowanie! Portret widzę gotów. Kogóż teraz pani chce pacykować?

— Nikogo, bo chcę trochę wypocząć.

— Warto! Leżeć na kanapie i śnić o Osieckim. To przynajmniej będzie naturalnie, po kobiecemu.

— Właśnie, chcę panu dogodzić.

— Szkoda fatygi. Ja wcale na panią uwagi nie zwracam i od miesiąca wynoszę się.

— Szczęśliwej drogi i pomyślności. Skorzystam jeszcze z ostatnich chwil i pójdziemy jutro na wieczór do Zaklickich.

— A cóż to, ja mam się tam do spowiedzi przygotowywać słuchając sentencji tych dwóch mumii? Dlaczego to cnota jest zawsze taka nudna?

— Dlatego, że nic nowego nie wymyśla.

Oryż aż się uśmiechnął, tak mu się to podobało. Zaczął znowu przebierać struny gitary, a melodia była bardzo łagodna i prosta. Teraz Magda poznała, co grał, i zaczęła z cicha nucić:

*Czterym lata wiernie służył gospodarzowi,
Sieczkiem rzezał, nie wieczerzał, niech on sam
powie;*

Matulu, niech on sam powie.

Zupełnie było ciemno w pracowni. Oryż wtórował z

cicha i słuchając myślał, że może i on stanie się cnotliwy, bo oto od dwóch lat nic nowego nie wymyślił — jak kochać tę dziewczynę, której nawet nie pożądał. Może się stanie cnotliwy i nudny.

*Przyszedł Wojtek do tatusiów i wziął dziewczynę,
A ja bez niej nieszczęśliwy chyba już zginę,
Matulu, chyba już zginę.*

Oryż, dech tamując, słuchał, czy głos Magdy nie stanie się smutniejszy, ale nie zauważył zmiany. Równie spokojnie rzekła:

— To ładne, bo proste. Zagraj pan jeszcze cokolwiek.

— Nie umiem grać — burknął odkładając instrument. — Gram, póki mnie bawi i dla siebie.

— Więc przejdźmy do salonu. Może pan trochę pogrymasi z Marynią, bo ja już mam dosyć na dzisiaj pana szczerości.

— Woli pani zapewne fałsze Osieckiego.

— O nie! Filip nigdy przede mną nie kłamie! — odparła żywo.

— Taki nosorożec! On pewnie się pani zwierza ze swoich sukcesów z baronową. To zupełnie na niego wygląda.

— Dlaczego?

— Bo on jest tak sobą zajęty i zachwycony, że oprócz siebie nic nie widzi. Będzie deptał po sercach i myślał, że czyni łaskę.

— Myli się pan. On mi serca nie zdeptał, bo ono na ziemi się nie wala; zaufanie zaś jego cenię bardzo i cieszę się nim.

— Jeśli on się zmarnuje, mała będzie szkoda. Ale jeśli

pani z jego racji się zmarnuje, to będzie wstyd.

— Bądź pan spokojny, i sama się uchowam, i jego dopilnuję. Już zaczął pracować. Baronowa będzie miała poważną rywalkę w sztuce.

— Fink inaczej mówi — Osiecki będzie miał kapitalną modelkę, tylko diabelnie drogą.

— Fink jest wstrętny. Sztuka w jego ustach to, wedle przypowieści Salomonowych: “Kolce złote w pysku u wieprza!” Nie wspominaj go pan. Gdy pomyślę, że to on jest krytykiem, opuszcza mnie chęć do malowania.

— Alboż u nas jest krytyka? Jest paszkwil albo płatna reklama. Artysta, który by chciał nauki; sądu, zdania sprawiedliwego od krytyki, niech się obwiesi. Bo żywemu nikt prawdy nie powie i nie napisze. Będzie interes dla kogo, by go chwalono... to obstaluje i zapłaci reklamę; nie będzie... to go zostawią na łup wszystkich zawłośc, złości, szyderstw, słowem, wyrzucą go hienom na pożarcie. Jeśli ma talent, to go publiczność czasem wydrze hienom z pysków; jeśli nie ma szczęścia i sympatii w tłumie... to przepadł.

Zamyślił się i po chwili znowu mówił:

— Znała pani Wacka Adamskiego? Dobre było chłopczysko, pokorne, pracowite, skromne. Nie był pyszny ze swojego talentu, choć miał rzetelną siłę. Osiadł tutaj i pilnie pracował. Mieszkaliśmy razem. Dał raz dobre studium, sprzedał; dał coś drugiego... poszło. Więc duch weń wstąpił, zaczął w siebie wierzyć. Aliści jak głowę nad tłum wychylił, dojrzeli go krytycy. Kto? Co? Skąd? Czemu się z nimi nie poznał? Czemu potentatom się nie pokłonił, jak śmie obchodzić się bez nich! Powstało oburzenie, obraza. Mówię mu, gdym to zwąchał: “Wacek, zapoznaj się ze starymi i z krytykami, bo będzie źle!” Chłop się nie

wzdragał nawet, ale zapomniał, zwlekał zajęty robotą. Daje trzeci obraz... znowu sprzedał. Aż tu jak gruchną krytyki! Odsądzi go od talentu, zwymyślali publiczność, że takie nędze kupuje, oszkalowali jego życie prywatne, wydrwili go, odarli jak hieny trupa... do kości. Jeden za drugim dzienniki powtarzały to samo, żeby, broń Boże, nie okazać się gorzej poinformowanymi. Wacek przeczytał i zdrętwiał. Jak nożem uciał... przestał tworzyć. Jakiś czas był jak martwy, potem przecie się otrząsnął: podgwintowałem go. Zrobił śliczny rodzajowy obrazek *Powrót rekruta*. Znowu wrzask powstał. Krzyczano nawet na zarząd wystawy, że podobne nędze przyjmuje; pisano tyle, że nikt kupić nie ośmielił się, zarzucano mu, że kopiuje niemieckie oleodruki, że złości i jadu dochodzili do absurdów. “Pluń na nich i maluj dalej — radziłem mu — i nie czytaj tej bibuły”. Wacek istotnie przestał czytać, ale i przestał malować. Zaczął się po knajpach włóczyć, potem po szynkach: “Powiedzieli, że mój pijak... niechże będzie i prawda” — odpowiadał z dziką zaciętością. Trwało to rok, coraz niżej spadał. Aż raz w nocy wracam... świeca się pali, butelka pusta, jakaś kartka na stole. Oglądam się. Wacek stoi w kącie jakoś dziwnie skrzywiony i nie rusza się. Wołam... nie odzywa się, podchodzę... aha, stoi i mocno stoi, bo uczepiony do sznura za szyję, a sznur u belki uwiązany. Przeciąłem, gruchnął na ziemię — i tyle. Na kartce stało: “Talent zapisuję krytykom, a duszę wódce. Niech wam maluje kto inny!” Gwałtu, co się potem działo. Jakie miał nekrologi, jak urósł, jakie mu cięli pochwały, jak ubolewali nad przedwczesnym zgonem i stratą, jaką sztuka poniosła! A Fink z Sylwestrem pobili się, kto weźmie *Powrót rekruta*, “ostatnie dzieło nieodżałowanej pamięci młodego mistrza”. Oto jest ilustracja dobrodziejstwa

krytyki, a pani mówi o niej z oburzeniem. Szkoda nawet tylu względów.

— Pan się jej nigdy nie bał?

— Nigdy. Oni mnie nie zaczepią, bom nicość. Pani dotąd była w łaskach i to gorsze. Lepiej nie mieć wzmianki, niż być straconym z piedestału. Jeszcze to panią spotka.

— Może być. Mnie już szczęście opuściło — rzekła smutnie.

— Opuścił panią Osiecki. Przepraszam, nie wiadomo, czy to było szczęście. To gorzej, że baronowa jest o panią zazdrosna.

— Dlaczego? To nie ma sensu.

— Owszem, ma! Przede wszystkim to, co brudne, nie cierpi tego, co czyste. Po drugie, baronową to drażni, że ona ma tylko piękność, a o pani nikt nie mówi, żeś piękna. A nie! Pani jest piękna, ale to nie bije w oczy, lecz bije umysł i dusza. Ta moc poniża baronową, gniewa. A wreszcie pani nie zdaje się dbać o nią ani ją mieć za niebezpieczną. Tego ona nie daruje. Niech się pani spodziewa prześladowania.

Magda roześmiała się.

— Ależ pan mi dziś powiedział mnóstwo komplementów! Co się stało? Ktoś pana mi odmienił u Finka.

— Nie, Oryza nikt nie odmieni! Może pani być tego pewna.

— Ależ ja jestem kobietą i pan mi przyznaje duszę? Opamiętaj się pan!

— Bywają cieleta z dwiema głowami, dlaczego nie ma być kobiety z duszą? Natura czasem tworzy dziwolaği, żeby jej nie posądzono, iż w pomysłach się wyczerpała. Pani niech to w dumę nie wbija. Ma pani duszę, ale ją pani

zmarnuje. Wszystko zaś to opowiedziałem pani na pamiątkę po sobie, przez wdzięczność, żeście mnie stołowały i uratowały od kataru żołądka. Myślę się wynieść od miesiąca, a może od jutra przestanę przychodzić.

— Gdzież się pan wynosi?

— Aż, trochę w świat ruszę. Tkwiałem tu za długo. Obrzydliście mi ze szczętem.

— Szkoda mi pana będzie. Prawda, za długo pan bawił, żeby odejść bez żalu. Dobrze mi było z takim kolegą.

Oryż ani słowa nie odparł. Chwilę siedział nieruchomy, potem żywo wstał i ku drzwiom się skierował.

— Już pan idzie? No, to do widzenia! — rzekła Magda wstając także.

— Niech będzie... do widzenia! — lekceważąco odparł Oryż. — Ale ja tam wcale po tym nie tęsknię ani pragnę!

Wyszli do salonu i — zdziwili się. Majorowa miała gości, dwie panie zajmujące się dobroczynnością i księdza Walerego. Toczyli ożywioną dysputę o przytułku noclegowym dla starców.

Magda przywitała się. Oryż bez żadnej ceremonii poszedł do przedpokoju, a nakładając palto gwizdał. Damy dość dziwnie patrzyły na Magdę, która wyszedłszy z ciemności na blask mrugała oczyma i miała minę jakby zmieszaną. Nie przyszło jej przecież na myśl, aby stąd wynikły dla jej czci i honoru uwłaczające plotki i podejrzenia.

IV

Ranek baronowej Faustanger rozpoczynał się około godziny jedenastej. Mieszkała wprawdzie z matką, ale miała osobną sypialnię i buduar, a wejście osobne do tej części lokalu.

Matka jej mieściła się ciasno i mało przebywała w domu, zawsze zajęta interesami; gości swoich przyjmowała w gabinecie.

Gdy dzwonek dawał znać z sypialni, że baronowa się przebudziła, pierwsza udawała się do niej stara Angielka, która życie spędziła w ich domu jako nauczycielka, dama do towarzystwa, a jako emerytka zajmowała się teraz faworytem pinczerem i kotem angora.

Brała swoich pupiłów na ręce i przynosiła do łóżka pięknej pani.

Baronowa, ziewając, przeciągając się w puchach, pytała znudzonym tonem:

— Cóż słyhać dzisiaj, *Miss Funch*?

— Bijou źle jadł, a Nina napierała się na spacer. Jakże noc przeszła pani baronowej?

— Niesobliwie. Ten pokój jest za ciasny. Miałam trochę duszności. Proszę o śniadanie.

Wnoszono je natychmiast; baronowa je spożywała leżąc, wygadując na ciastka, grymasząc na kawę.

Potem zakładała ręce pod głowę i rozmyślała, jak dzień przepędzić. Najbardziej lubiła te, w których miała wizyty u szwaczki lub u fotografa. Wtedy wstawiała żywo i była wesola.

W inne dni świat dla niej był tak pusty i nudny, że nie

miała wcale ochoty z puchów wychodzić. Wtedy czekała na matkę, która około południa wracała z miasta uśmiechnięta lub opryskliwa, stosownie do tego, jak jej się udały interesy. Przychodziła do córki ze skórzaną torebką w rękę, w kapeluszu i okryciu i zaraz kazała Angielce wynosić pinczera i kotkę, które wylegiwały się na łóżku córki.

Wtedy wynikały spory.

— Nie ruszać mi faworytów! — wołała baronowa. — Wolę je niż wszystkich ludzi.

— A ja nie cierpię. Z każdego człowieka, byle go umieć wyzyskać, może być korzyść, a z tego co? Głupie i krzykliwe, a kosztuje tyle, co koń kareciany! Wiesz, że rumuńskie papiery stale spadają?

— To niech je mama sprzeda.

— Ani myślę! Kupiłam dzisiaj więcej. Wstawaj, przecie już dwunasta.

— Więc cóż! Przecież w najem nie idę! Nie mam dzisiaj co robić.

— Idź na wystawę. Portret już tam jest.

— Dobrze umieszczony?

— Zapewne. Poleciałam to Myślickiemu; obiecał. Czyś zapłaciła wszystko Domontównie?

— Nie. Trzysta reńskich winnam.

— Jak to? Przecież ci dałam cały tysiąc!

— Rozeszły się. Dziś mi daj te trzysta, bo muszę odesłać.

— Oszalałaś! Rozeszło się trzysta! Ja dwa razy płacić nie myślę.

— Jak sobie chcesz. Wystawię weksel. Mam przecież cośkolwiek po ojcu. Przypomni ci to komornik.

Nie znać było gniewu w jej tonie, tylko wielki chłód i

lekceważenie. Z rękoma założonymi pod głowę i wzrokiem utkwionym w sufit myślała o czymś innym. Ledwie raczyła rozmawiać z matką.

— Nie miałybyś i centa dotychczas, żebym ich nie pilnowała! Sokolin nie daje nic, w kamienicach ciągle naprawy i zwiększone podatki, na placach z dzierżawcami procesy i papiery spadają.

Tobie się zdaje, żeś milionerka, a tu ledwie przy mojej skrzętności koniec z końcem się wiąże.

— To mi nic do tego. Jeżeli dla twego skąpstwa rozstała się z Faustangerem, to nie po to, aby cierpieć niedostatek. Powiedziałam ci wtedy: “Żałujesz oddać z rąk mój posag: bardzo pięknie, zostanę przy tobie, lecz wymagam, aby mi na niczym nie zbywało”. Pamiętasz?

— A czegoż ci brak?

— Tysiąc rzeczy. Zawsze mnie oszukujesz! Wybierasz najtańsze, a więc najnudniejsze miejsca kąpielowe. Już drugą zimę zamęczasz mnie w tym twoim wstrętnym Krakowie. Nie dajesz mi koni, ekwipażu, rachujesz każdą suknię i kapelusz, stękasz na każdą moją przyjemność. Cóż ty sobie myślisz? Że ja dbam o twoje reńskie? Ja chcę żyć dla siebie i muszę mieć na swoje zachcianki; inaczej rozrachujmy się i rozejdźmy. Mnie wcale nie chodzi o spółkę z tobą.

— Ja także wraz z tobą pozbyłabym się tylko i stałego rozchodu, i codziennej irytacji. Ale w tej chwili rozrachować się nie mogę. Pieniądze są w ruchu: nie myślę ich ściągać ze stratą dla dogodzenia twojej fantazji.

— Zatem płać Domontównę!

— Dobrze, zapłacę, ale sama. Do rąk ci pieniędzy dać nie mogę.

— I konie mieć chcę. Fiakry nie dla mnie.

— To sobie wybij z głowy. Baronowej brwi zbiegły się groźnie.

W tej chwili służąca wniosła bukiet z bladożółtych róż i rzekła:

— Oddał to lokaj od pana Osieckiego. Radczyni obejrzała kwiaty.

— To warte z piętnaście reńskich. Ten Osiecki ma trzykroć, mówił mi Sylwester.

Baronowa ledwie spojrzała na róże. Jakaś myśl kielkowała w jej głowie. Uśmiechnęła się z triumfem i zawołała służącą.

— Ten lokaj czeka?

— Czeką. Pytał o zdrowie jaśnie pani baronowej.

— Daj mi papieru, pióro i atramentu. Prędko nakreśliła słów kilka:

“Będę za godzinę na wystawie. Przyjdź pan, obejrzymy portret

Służąca poniosła kartkę, a baronowa ożywiona wyskoczyła z pościeli. Znalazła przecież zajęcie na ten dzień bez szwaczki i fotografa! Po godzinie wchodziła na wystawę. Filip spotkał ją na wstępie, z wrażenia blady i milczący. Rozkochane jego oczy przeszły po niej i bez jednego słowa podał ramię.

Ona także była jakby przejętą i skupioną. Weszli w tłok zwiedzających. Wszystkie oczy zwróciły się na nią, a ona to czuła i wyżej podniosła głowę, wyzywająca, pewna swojej potęgi i królewskiej nad sercami mocy.

Delikatne jej nozdrza trochę się rozděły, a serce zabiło na szmery, które za nią szły, a w których była połowa zachwyty, połowa zawiści. Zwróciła się do Filipa i z cicha

rzekła:

— Sama nie wiem, co miłsze, zachwyty czy zawiść? Zdaje mi się, że to drugie. Przyjemniej deptać zuchwalców niż niewolników.

— Żałuję tedy, że nie jestem zuchwałą — odparł, mimo woli jej rękę cisnąc do siebie.

— Bądź nim pan. Ja nie bronię! — rzekła patrząc w stronę. Po nim drżenie przeszło i w żyłach zawrzała krew. Czuł, że traci przytomność upojony przeczuciem triumfu.

— Nie ma tu nic pana? — spytała rozglądając się.

— Nie. Zaledwem się wziął do pracy.

— I panny Magdy nic nie widzę.

— I ona zajęta była tylko panią.

— Rada zapewne, że się mnie pozbyła. Czuję, że mnie nie cierpi za pana.

— Nie ma racji.

— Kto to wie? — rzuciła z zagadkowym, drażniącym uśmiechem.

Stanęli przed portretem. Dużo ludzi przyglądało im się, szmery się wzmogły. Mężczyźni usuwali się z drogi i pożerali oczami piękną panią, kobiety — strój jej elegancki. Portret był umieszczony wyśmienicie, był tak żywy, że, zda się, występował z ram, mamił ruchem.

— Ależ się jej udał! — szepnął Filip, owładnięty pomimo wszystko artystyczną mocą plastyki, zachwycony doskonałością wykonania.

— Pan by zrobił lepiej, ręczę! — odparła. — Dla mnie ruch jest chybiony i po co te kwiaty pod nogami? To załatuje kobiecą manierą. Nie podoba mi się. Nie czuję się na nim sobą. Możem się zresztą teraz zmienić. Teraz nie przyjąłabym takiej pozy i nie pozwoliła dawać na wystawę.

— Dlaczego? — spytał.

— Bywają chwile, że się jest zazdrosną o siebie dla kogoś innego.

Popatrzył na nią bliski szał ze szczęścia.

— Chodźmy! Pan jest zbyt kompromitujący — uśmiechnęła się z pobłażliwością.

Gdy wychodzili, spojrziała po tłumie i rzekła:

— To zgroza — mody tutejsze. Najświeższe minęły już w Paryżu od trzech lat, a reszta pochodzi chyba z pomysłu miejscowych modniarek. Noszą dzety na przykład... i to wygląda na osoby z towarzystwa!

Filip popatrzył na nią, ale nie rozumiał, tak zajęty był sobą. Na ulicy stał jego powóz.

— Może pani zechce się przejechać? — zaproponował nieśmiało.

— Owszem! To te kasztany. Przecież to zaprzęg hrabiego Gustawa?

— Tak, kupiłem od niego.

Wsiedli i prędko wydostali się na prawie puste ulice przedmieść, a wreszcie zupełnie poza miasto.

— Dlaczego pan od tygodnia mnie nie odwiedził?

— Chciałem nie być monotony.

— A dziś te kwiaty były aktem skruchy?

— Sam nie wiem, nie myślałem nic. Znadto kocham — wyrzekł zdławionym głosem.

— To już wiem i wiedziałam, że pan wróci, bo pragnęłam tego, a gdy ja czego pragnę, to się stanie.

— Pani wie, że to mówiąc równa mnie pani z bogami? Ja nie śmiem nawet pomyśleć o wzajemności. Byłbym znadto szczęśliwy.

— Zajmuje mnie pan. Może to miłość! — dodała jakby rozmarzona, odchylając się w powozie.

Zajrzał jej w oczy i ramieniem wpół ją otoczył. Nie

obrazila się, ale nagle jakby ostygła i smutno patrzyła w dal.

— Ludzie mi nawet cześć zabrali, a ci, co szaleli za mną, odarli mnie z wszelkiej iluzji. Ja dotąd nie zaznałam miłości — rzekła zamyślona poważnie. — Znam życia wszystkie gorycze i ohydy. Nie dano mi nigdy śnić, marzyć i radować się. Pan zdał mi się innym: prostym, prawym i marzycielem. Chciałabym z panem myśleć i śnić. Dobrze?

— Jam pani rzecz i własność. Co pani ze mną uczynić zechce, tym będę!

— Będiesz pan wszystkim, gdy zgodzisz się być niczym. Zachnął się mimo woli, ale go powstrzymała kładąc rękę na jego dłoni.

— Nie żądaj pan nic, daj mi być swobodną z sobą... Odżyć przy kimś, który mnie nie pożąda, a kocha. Nie mówmy więcej o tym. Na co słowa między nami? Wszystko już wiemy.

Ruchem łagodnym przesunęła dłoń po jego oczach gorejących i dodała wesoło:

— Dziś chcę się bawić, bo mi dobrze żyć! Spojrzała na konie.

— Zazdroszczę panu zaprzęgu. Matka mi odmawia tej przyjemności, jedynej, która mnie cieszy.

— Żebym był czymś, mógłbym pani ofiarować zaprząg.

— Fe! Powiedziano by, że jestem na pana utrzymaniu. Nie dbam o opinię, ale szkoda by mi było naszego stosunku.

— Więc handlujmy — uśmiechnął się.

— Na co? W tej chwili nic nie ma wartości dla pana. Chyba mój portret? — zawołała.

— To nierówne.

— Dlaczego? Oryginał może pan mieć darmo, a na

portret się wzdraga. Myślałam, że bardziej pan ceni mnie.

— Za panią dam życie.

— A za portret dwa kasztany i powóz. Tak mi się chce zaprzęgu! — dodała tonem rozpieszczonego dziecka.

Tak powolny był ton i tak miły wyraz ślicznej twarzy, że Filip dałby za tę przyjemność jej — swoją krew z ochotą.

— A zatem wiezie mnie pani swoim ekwipażem. Byle długo i daleko — rzekł uśmiechnięty. — A portret zabiorę jutro do siebie. Nie chcę, by był dla ludzi widowiskiem.

— Jeśli panna Domontówna na to pozwoli. W umowie miała prawo miesiąc go trzymać na wystawie.

— O, to najmniejsza. Dla mnie ustąpi.

— Nie wątpię. Nie ma panu nic do odmówienia i dowodziła mi onegdaj, że ja w pana duszy przejdę, a ona zostanie.

— Trudno zostać gdzieś, gdzie się nie było. Ale mam dla niej wielkie uznanie i braterską przyjaźń. To jest dziewczyna rzadkiej prawości i rozumie honor.

Baronowa się zasepiła, zesmutniała.

— Pan ją przekłada nade mnie. Nie znam jej cnót, ale wyraża się o panu lekceważąco i pewnie pana zwierzenia powtarza temu brudnemu swemu przyjacielowi. Z łaski pana nasz stosunek będzie wkrótce tematem dla całej cyganerii artystycznej.

Filip miał za dogmat teraz jej słowo. Uraziło go, że Magda lekceważąco się wyraża; zmaląła nagle w jego oczach. I to przypomnienie Oryża dopełniło miary niechęci.

— Odtąd nie posłyszysz ode mnie ani słowa. Mój kult będę trzymał w tajemnicy.

Zwycięstwo było tak łatwe, że nie wywołało nawet radości baronowej. Zresztą uważała to za rzecz naturalną i

zwykłą.

Ciężka walka i podbój może by ją jeszcze trochę zajęły i podnieciły, ale to...

Rozsądek przecież przyszedł w sukurs Filipowi. Pomyślała, że na tę nudę i pustkę krakowską na jedną zimę warto go zatrzymać. Nudny jest, niewolnik, ale wygodny. Będzie miała posłańca, towarzystwo w chwili *spleenu*, a zresztą był znanym artystą, co dodawało mu wagi i dogadzało jej próżności.

“Na bezrybiu i rak ryba” — pomyślała z rezygnacją, czując ze wzruszeniem, że się poświęca.

Na skąpstwo matki znalazła sobie przy tym pomoc nie lada. Obejdzie się teraz bez niej i jakoś doczeka wiosny—wzbawicielki.

Więc spojrzała czule na Filipa i zwracając się do stangreta zawołała:

— Szkoda koni. Jedź wolno, bo mi się wcale nie spieszy. Jechali tedy prawie stępa. Zmrok zapadał. Pogoda się zmieniła, deszczyk drobny zaczął mżyć, wtulili się w głąb powozu i umilkli.

Zupełnie było ciemno, gdy wrócili do miasta. Filip myślał, że go zaprosi do siebie, ale ona rzekła:

— Teraz polecam panu ulokowanie mego nowego nabytku. Jest stajnia w naszej kamienicy, ale mi jej matka nie wynajmie. Prędko, zanim się obejrzy, zrób pan interes z rządcą i weź kontrakt na swoje imię. To będzie nie lada figiel. Ja tymczasem ją zagadam, a jutro będzie fakt dokonany. Ja pana od dzisiaj pasuję na swego opiekuna.

I to mówiąc, przelotnie uścisnęła jego dłoń i wyskoczyła z powozu, a on czuł się bardzo szczęśliwy i dumny.

Zaraz nazajutrz poszedł do Magdy. Zastał ją jak zwykle przy pracy i jak zwykle swobodną i wesołą.

— Cóż to, że nie ma Oryża? — rzekł trochę drwiąco.

— Ano, widocznie trzymał go tu tylko portret baronowej, bo gdy go wynieśli, Oryż przypadł, nawet się już tu u nas nie stołuje.

— To mnie cieszy, bo przykro słuchać, co na was gadają.

— Żebyś wiedział, co na ciebie gadają i na twoją baronową!

— Ludzie lubują się oszczerstwem i kłamstwem.

— Otóż właśnie. Więc jeśli bliższe rzeczy tak traktujesz rozsądnie, zastosuj to zdanie i do mnie. Cóż słyhać nowego? Postępuje *Salamandra*?

— Miałbym też na co czas marnować! Magda umilkła, a on dodał lekceważąco:

— Nie potrzebuję pracować jak wyrobnik. Jest i beze mnie dość smarowników i hiperprodukcja malowideł. Ale mam prośbę do ciebie. Czy mi pozwolisz zabrać z wystawy portret zaraz dzisiaj?

— Tobie? Po co?

— Ano, przenieść do mieszkania. Kupiłem go od baronowej. Magda miała przez chwilę złą myśl odmówienia mu właśnie za ton despotyczny i pewność siebie. Ale zastanowiła się i zreflektowała. Po co? Rozdrażnić go i stracić zupełnie...

— I owszem, jeśli ci na tym bardzo zależy. Zapewne niemiło jest mieć swój ideał na pastwie ludzkiej ciekawości i uwagi. Zabierz go.

— Dziękuję ci. Wiedziałem, żeś poczciwa.

— To jest głupia. O nie, mój drogi. Ustępuję ci nie przez poczciwość, lecz przez proste wyrachowanie. Nie robię tego dla ciebie, ale dla siebie. Cieszę się szczerze, żeś portret dostał, i życzę z całego serca, aby oryginał ciebie

ocenił i pozostał twoim jak najdłużej.

Filip, pamiętny obietnicy, tylko się uśmiechnął tryumfująco i nic nie wygadał.

Magda zabrała się znowu do roboty i opowiadała swobodnie:

— Miałam wczoraj ciekawą wizytę. Odwiedził mnie stary proboszcz z południa Galicji, stryj Oryża, i panna Okęcka, obywatelka spod Buczacza. Dwoje ludzi muzealnych, którzy pierwszy raz w życiu przyjechali do Krakowa. Służyłam im za cicerone i miałam sto pociech. Dzisiaj Marynia ich powiodła na Wawel i będą tu na obiedzie.

— A więc zmykam. Czemu nigdy nie odwiedzisz mej pracowni?

— Wpadnę w tych dniach.

Wyszedł, a ona czuła wyraźnie, że wszelki łącznik zerwał się między nimi, że go straci niechybnie. Przestała malować, ubrała się i wyszła. Po drodze spotkała ojca Berwińskiej, który szedł z głową zwieszoną, tak zamyślony, że jej nie zauważył nawet.

— Dzień dobry! Co pan porabia w tej stronie? — zagadnęła go wesoło.

Ocknął się i prawie przeraził.

— Tak sobie. Spaceruję — odparł siląc się na uśmiech.

— Helenka zdrowa? Proszę ją napędzić do mnie. Obiecała być w niedzielę i chybiła.

— Zdrowa, ale w niedzielę trochę ją głowa bolała. Przyjdzie w następną.

Uklonił się i odszedł, a ona zatrzymała się i ścigała go wzrokiem. Na Rynku wszedł do kamienicy radczyni, a więc kłamał, że na spacer idzie. Łączyła ich jakaś tajemnica, nieszczęśliwa czy haniebna. Teraz dopiero

zauważyła, że często oboje mieli pozór skazańców na dożywotnie ciężkie roboty.

“Pójdę do niej wieczorem i zapytam” — pomyślała.

Poszła na wystawę i poleciła wydać portret Filipowi; potem obejrzała nowe płótna, a że spotkała Sylwestra i Malickiego, przegawędzili wesoło godzinę. Dowiedziała się, że Filip swoje konie ofiarował baronowej, a ona nimi rozjeżdża cały ranek i że go pasowała na swego sezonowego ulubieńca.

Gdy się z nimi pożegnała, ruszyła do domu, lecz przed kościołem Panny Marii spotkała całą gromadkę swoich nowych znajomych.

Okęcka i ksiądz Oryż stali zadarłszy głowy na wieżę kościelną i gapili się jak rzetelni wieśniacy. Osiecka mężnie dotrzymywała im placu, a trochę dalej Boińska z malcem czekali na koniec zachwyków.

Ksiądz był suchy i czarny jak Oryż, ale miał dobroduszny wyraz wiejskiego proboszcza.

Stara Okęcka, drobna i chuda, ubrana według mody sprzed lat trzydziestu, była skończonym typem sknery i egoistki. Jednakże na widok Magdy rozmarszczyła twarz i niby się uśmiechnęła.

Ksiądz od razu powitał ją radośnie, jakby się znali od dziesiątków lat, a Janek Boiński rzucił się do niej z nieklamany dziecięcym zachwytem i już jej ręki ze swojej nie wypuścił.

Poszli gwarząc ku Floriańskiej i na zawrocie natknęli się na powóz baronowej.

Jechała z Filipem rozbawiona i śmiejąca się. Zamieniono ukłony, więc ksiądz spytał:

— Kto to?

— Baronowa Faustanger — odparła Magda.

— Ta wasza, z Sokolina? — zawołała Okęcka, zwracając się do siostrzenicy. — A jam się jej nie przyjrzała! Patrzcie no, jak to się rozbija, a nie pamięta, jak dziadek młyny dzierżawił.

— Niby pani to pamięta! — uśmiechnęła się Magda.

— A pewnie, bo to było u mego ojca. Jak pani mnie odwiedzi, pokażę pani dotąd jeszcze istniejący ten młyn. Bo myśmy się nie dali zjeść w kaszy jak Boińscy.

— Co tam sądzić! — wtrącił ksiądz. — Bóg sprawiedliwy...

— Ale nierychliwy — szepnęła Boińska, myśląc ze strachem o tym życiu, jakie ją czekało u ciotki, która na wstępie oznajmiła jej, że ją przyjmuje jak krzyż pański i pokutę.

Jechała przecież, bo musiała to zrobić dla dziecka.

— To pani majątek w sąsiedztwie Sokolina? — spytała majorowa.

— O miedzę. A ten baron Faustanger stoi ze swym pułkiem o mil parę. Znam go, bo zeszłej zimy kupował u mnie furaż. Piękny mężczyzna, ale ponuro patrzy i mówi, że kat dla ludzi.

— Pani powinna nasze strony poznać — rzekł ksiądz do Magdy. — Mamy śliczne góry i potoki, i stare zamczyska.

— Niech mnie ksiądz nie namawia, bo gotowam skorzystać i spaść wam na kark latem.

— Dobrodziejko! A toć bym był najszczęśliwszy taką sławę ugościć!

— A ja za gościnę może pędzlem coś odrobnię w kościele.

— Ach! — westchnął proboszcz oczy ku niebu wznosząc. — Już dawno trzeba kaplicę Matki Boskiej odnowić. Ale czyżbym śmiało prosić...

— Odnowimy kaplicę — zaśmiała się.

— Jak to? Darmo? — zdziwiła się Okęcka.

— A nie, za wakacje.

— To proboszcz szczęśliwszy ode mnie. Zrobił dobry interes w Krakowie.

— A pani spełniła czyn szlachetny — rzekła majorowa.

— To najlepszy interes.

Okęcka skrzywiła się wątpliwie.

— To się jeszcze okaże — zamruczała.

Po twarzy Boinńskiej przeleciały płomienie. Usunęła się do okna i patrząc ponuro przed siebie połykała łzy. Magda zbliżyła się do niej.

— Nie trzeba się zrażać — szepnęła. — Ta kobieta nie jest może zła, ale jej serce wysuszyła samotność. Zawsze pani szczęśliwsza od niej, bo masz Janka. Proszę jej dać dużo serca i dobroci: zobaczy pani, jak roztaje.

— Tak ciężko udawać — nie potrafię.

— To nie udawanie — to jałmużna. Ona będzie obdarowana za chleb i opiekę, daj jej pani szczęście na stare lata. Tak to pojmując, nie będziesz już czuła ciężaru.

— Gdyby nie pani, nigdy bym nie pojechała. Alem wtedy przy konającym dziecku aniołów stróżów wzywała i pani wesła. Odtąd, co pani mi doradzi, spełnię. Mam tylko jedną prośbę do pani. Proszę wziąć sobie ten obraz, który panią do mnie sprowadził.

— Nie! Za nic!

— Ależ ja pani nim płacić nie chcę, już on dla mnie cud uczynił. Jużem o los dziecka spokojna. Teraz niech on u pani zostanie. Ja wiem, że on pani szczęście przyniesie, w złej chwili ratunek da. Proszę, niech mi pani nie odmawia. Ja bym chciała szczęścia dla pani. — Bożego szczęścia — bo kto go bardziej wart...

— Ejże, bo uwierzę, żeś doskonałość i stracona będę do piekieł. Jeśli pani koniecznie chce, obraz zatrzymam jako depozyt dla Janka. Latem się zobaczymy. Przyjadę koniecznie zobaczyć, jak się pani powodzi.

— O, przyjeźdź pani. I tak mi przykro, żeś panu Oryżowi nie podziękowała. Daj mu, Boże, dobrą dolę za jego serce i opiekę! Niech mu pani powie, że co dzień się modlę za niego.

Zawołano ich do obiadu i Boińska, pokrzepiona otuchą, straciła swoją sztywność i nieśmiałość. Okęckiej widocznie się to spodobało, bo raz wraz spoglądała ku niej i zagadywała łaskawie. Magda swoją niefrasobliwą wesołością ożywiła ją do reszty, a gdy po obiedzie zaczęła jak dziecko bawić się z Jankiem w chowanego, stara aż się uśmiechnęła.

— Jak żyję, tyle nie słyszałam hałasu — rzekła do majorowej. — Jednakże młodość w domu, to życie. Tylko trzeba nawyknąć — dodała głową kiwając.

— Do miłego bardzo łatwo. Dzieciak jest bardzo dobry i posłuszny. Będzie pani miała z nich pociechę i pomoc, i rozrywkę.

Okęcka po swojemu wątpiąc trzęsła głową, ale po chwili zawołała siostrzenicę i rzekła łaskawie:

— No, trzeba nam się zbierać. Wieczorem odjedziemy. Może ci co trzeba na drogę? Masz tu kilka reńskich. No, no, weź, nie żenuj się, od Żyda na procent nie pożyczylam. Dojedziemy do domu.

Było to coś tak niebywałego, że aż ksiądz oczy szeroko rozwarł i oniemiał.

— Proboszcz tak wygląda, jakby cud widział — zaśmiała się do niego Magda.

— Ależ to cud! Ona jej dała dziesięć reńskich! A to, wie

pani, co jesień, w rocznicę śmierci ojca, ona mi przysłała szafarkę, która niby to za swojego męża daje na egzekwie i wypłacie sobie nabożeństwo za guldena. Oprócz tego guldena przez lat trzydzieści nie dała nikomu centa.

— Ano, spróbujemy, gdy tam będę, namówić ją, by księdzu dopomogła do odnowienia ołtarza.

— Ej, nic z tego — westchnął ksiądz. — Kto się tak zmienia na starość, ten niedługowieczny. Nie dożyje ona lata!

— To wedle tej zasady i synowiec proboszcza powinien prędko umrzeć!

— Dlaczego? Czy przestał brednie prawić, ilekroć usta otworzył? To huncwot!

— Otóż właśnie, że się nie zgadzam z tą opinią. Przez dwa lata był naszym prawie domownikiem i bardzośmy go lubiły. Nie zrobił nam nigdy przykrości.

— Tego by jeszcze brakło! Pani by szatana z Bogiem pojednała!

— To nie, bo nie mam daru prozelityzmu. Alem pana Andrzeja poznała, że chce uchodzić za złego, to jego poza. Trzeba udawać, że się w to wierzy, a udawać, że się nie widzi jego zalet. Wtedy nie sili się pozować i jest dobrym. Nigdy nie miała nad niego kolegi i towarzysza. Tylko niech mu ksiądz tego nie powtarza, bo stracę go na zawsze. Myślę, że proboszcz go w domu zastanie. Nie mówił, dokąd jedzie, ale jestem pewna, że się troszczył o Boińska i pojechał dowiedzieć się, czy osiągnął skutek. Proszę go więc nie moralizować, nie napędzać do niczego, nie nagabywać o kwestie poważne — poważnie. Proszę pamiętać, że on udaje, a więc udawać także.

— Słucham i chcę wierzyć, boć mi miło, że go pani rehabilituje; ale toć zgroza, żeby błaznowi ustępować dla

jakichś wariacyj. On mi pół życia zatrął swymi awanturami.

— Po pierwszej, którą spleta, proszę mu zrobić figla i pochwalić. Ręczę, że drugiej nie będzie.

— I to sposób! Ależ pani obserwarka... Ano, spróbuję — śmiał się udobruchany.

Okecka zwiedziła szkołę majorowej i cały wieczór siedziała zamyślona. Nie mieściło się jej w głowie, by poświęcać czas i pieniądze na interes, który nie tylko nie dawał procentu, ale tracił sumę wkładową — i jeszcze interesem takim cieszyć się i rozwijać go dalej. Uwag swoich nie wyrażała słowami, ale pytała sama siebie i po co to? Dlaczego? Cierpiała rachując te stracone pieniądze i myślała z zawiścią, ile by ona z takim kapitałem zrobiła świetnych obrotów.

Od czasu do czasu wzdychała tylko żałośnie.

Nareszcie wyjechali. Magda z siostrą odprowadziły ich na dworzec i pożegnały obietnicą odwiedzin. Potem Magda pożegnała siostrę i pojechała do Berwińskiej.

Pierwszy raz majorowa zaprotestowała przeciw tej opóźnionej wizycie.

— Włóczyz się po nocach sama! To nie ma sensu.

— Wolałabyś, żebym się włóczyła z kimś?

— Wolałabym, żebyś nie zwracała uwagi.

— Czyjej znowu?

— Ano, całego świata. Ostrzegal mnie ksiądz Walery, że zaczynają nie dość z szacunkiem mówić o tobie. Masz dbać o opinię.

— Na czwartym miejscu. Muszę dbać o Boga, o honor, o swych przyjaciół, a potem, o ile to warte, o tak zwaną opinię. Dotąd szłam jedną drogą i z niej nie zejść. Jakaś ty naiwna! Nie zmieniałam na jotę mego zachowania, zmieniała

się tylko opinia. To dowód, że ktoś ma interes, by mi szkodzić. Ano, ja tchórzem nie jestem, ten sposób nie na mnie.

Majorowa umilkła, ale cierń pozostał w jej duszy. Za powrotem do domu, zamiast udać się na spoczynek, siedziała beczynn timer w fotelu i rozmyślała, co się stało. Magda była czysta i szczerą do gruntu i życie jej w niczym się nie zmieniło. Zaszło jednak coś. Majorowa czuła pewien chłód w zachowaniu się kilku znajomych dam i zauważyła, jak dwóch młodych ludzi na ulicy, pokazując sobie Magdę oczyma, opowiadało coś półgłosem i śmiało się dwuznacznie. Przy tym od kilku dni Sylwester nie przychodził, a on był barometrem łaski lub niełaski tłumy. Majorową zdjął lęk, sen do reszty uleciał, nawet szkoła nie zajmowała jej w tej chwili.

Odetchnęła z ulgą, gdy zadzwoniono w przedpokoju. Była to Magda wielce zafrasowana.

— Wiesz, wynieśli się już od kilku dni na Stradom. Co to znaczy? I stary nic mi o tym nie wspomniał. Ich trapi jakaś troska czy niedostatek. A przecież ona zarabia dobrze!

— Cóż z tego — odparła majorowa — kiedy ich pożerają długi tego infamisa brata! Toć wiadoma rzecz, że stracił majątek, pożary wał, gdzie mógł, nafałszował weksli i uciekł do Ameryki. Myślałam, że wiesz o tym, więc ci nie mówiłam dotychczas.

— To okropne! Biedni ludzie! I nic mi nigdy Berwińska nie wspomniała.

— Ano, pewnie nie wątpiła, że wiesz, bo to była głośna sprawa. Sfałszował weksle radcy i uciekł przed kryminałem. Spytaj Sylwestra, to ci opowie.

— Nie chodzi mi o opowieść, ale żal mam do

Berwińskiej za tajemnicę i myślę, jak by jej dopomóc. Jutro muszę ich odszukać. Ale spotkałam baronową z Sylwestrem wracających razem z teatru pod rękę, a Filip dreptał z drugiej strony w rynsztoku.

— Jak to, wracałaś piechotą?

— A tak, bom nie znalazła dorożki.

— I widzieli cię?

— Naturalnie, nawet rozmawialiśmy sekundę. Namawiali mnie na Modrzejewską, alem odpowiedziała, że oplakuję Oryża i nie mam towarzystwa.

— Bój się Boga! Gubisz się samochcąc. Taki głupi żart obiegnie jutro całe miasto i wyrośnie na skandal. Połowa uwierzy, że masz romans z Oryżem. Ty nie zdajesz sobie sprawy, na co się narażasz.

— Na co?

— Stracisz wszystkie stosunki. Dom ci każda szanująca się kobieta zamknie.

— Kto na przykład? Maliccy nie i Zakliccy też nie, a o resztę nie dbam; nudzą mnie, to i owszem. Za wiele miałam stosunków, to mi zajmuje czas. Mało czytam i studiuję. Więc mi nawet dogodzą swym ostracyzmem.

Ruszyła ramionami, ale widząc prawie rozpacz na twarzy siostry, dodała już poważnie:

— Moja Maryniu! Czego ty się alterujesz? Byłam zanadto lubiana, chwalona i pieszczona. Teraz przyjdzie reakcja. To zwykła rzecz i cieszę się, że mnie znajdzie dojrzała. Gdybym się czuła winna, cierpiałabym nieznośnie; gdybym była panną na wydaniu lub mężatką, strzegłabym się cienia nawet, bojąc się skompromitować swój los lub rodzinę. Ależ mnie co może oszczerstwo odebrać! Ani zbawienia, ani szacunku tych, co mnie dobrze znają, ani talentu, ani stanowiska. Tłumu nie potrzebuję,

próżną nie jestem, bez ludzi obejść się mogę, sama sobie wystarczam i świat przede mną otworem. Więc patrzę na to z całą obojętnością jak na śmiecie i błoto, które mogę deptać lub ominąć, jak mi się podoba. W każdym razie radam, żeś mnie ostrzegła, więc się nie narażę na zamknięcie domu i tam, gdzie są gęsi, sama odtąd nie pójde. Ale postępowania na włos nie zmienię, bo nie mam nic do ukrywania, nie mam czego się wstydzić i niczego się nie lękam. Oto masz. Wyhodowałaś stworzenie cudaczne, ale zdrowe i silne, i znając mnie powinnaś trochę być śmielszą i wiedzieć, kim jestem.

Pochyliła się do siostry, objęła ją za szyję i ucałowała serdecznie.

— Chcesz? To ci cały sekret wyłuszczę. Baronowej się zdaje, że kocha Filipa i że ja jestem jej rywalką, więc walczy bronią najpodlejszą, ale niezawodną: obmową! Wierzę, że dopnie celu i, jak ty się tragicznie wyrażasz, zgubi mnie. Ale, maluczko, fantazja jej dla Filipa minie, a wtedy i o mnie zapomni i ludzie, nie podjudzani, uspokoją się. Obmowa jest jak drożdże: potrzebuje coraz nowego zaprawiania, bo inaczej opada i kwaśnieje. Ludzie będą się bawili szarpaniem mojej opinii, aż się znudzą i znajdą nową ofiarę. Okazać, że się jej lęka, unikać, bronić się, to tylko podsycać płomień. I po co?

Nie mam do nich nawet żalu, nie tylko gniewu. *Guarda e passa!* Majorowej widocznie przybywało otuchy i mocy. Więcej dla formy niż dla zasady rzekła:

— Jednakże po co się narażać? Ja miałam przecucie, że baronowa nieszczęście ci przyniesie.

— Byle nieszczęścia nie przyniosła Filipowi. Moje niestraszne, ale on, biedak, może tam i duszę, i talent zatracić.

— I fundusz — oburzyła się Osiecka. — Czemu to ludzie nie widzą, że ona jakby była na jego utrzymaniu? Szalony człowiek! Wszystko tam przejdzie. Ja muszę go ostrzec.

— Uchowaj Boże! To jakbyś ostrzegała lunatyka, gdy chodzi po spadzistości dachu. Ani słowa, owszem, najserdeczniejsze obejście. W razie niedoli niech śmiało do nas się zwróci, a gdyby się teraz obraził, stracilibyśmy go na wieki.

— I to racja, ale nie sposób z zimną krwią patrzeć, gdy kto na oślepie idzie w przepaść.

— Musimy patrzeć i milczeć. Już on jest trochę zrażony, zapewne go ona przeciw nam buntuje. Uważaj go za chorego, któremu wszystko wolno. Byle nie przestał malować, może go uratuje sztuka. Byle się zapalił do swego dzieła, będzie bezpieczny!

Zamyśliła się daleko więcej niż nad poprzednim tematem i po chwili na pół do siebie szepnęła:

— O! sztuka! Kto ją ukocha, ten wybraniec Boży. Ma swój świat w sobie i jasnowidzenia nieziemskie, i szczęście, którego mu nikt nie odbierze i które ni czasu, ni ziemskich zmian się nie boi. Tylko to kapłaństwo! I nieszczęśliwy jak potępieniec ten, kto je zmarnuje. Trzeba być ascetą, żeby za to zapłacić — Bogu.

Wstała i pocałowała raz jeszcze siostrę, poszła do swej sypialni.

Zanim się zabrała do spoczynku, rozpakowała obraz Boińskiej i umieściła nad posłaniem. Chwilę patrzyła na pochyloną słodką twarz Matki Bożej, a potem szepnęła:

— Daj szczęście jemu! Ja nigdy zupełnie złamaną być nie mogę, bo gwiazdy, com dostała, nigdy nie dam na poniewierkę. Nad nim, jak nad rozbitkiem, czuwaj!

V

Gdy Magda po raz pierwszy poszła do pracowni Filipa, nie zastała go w domu.

Na stalugach szkic *Salamandry* kurz pokrywał, farby nie były nawet rozpakowane. W sypialni portret baronowej wisiał nad otomaną i tam widocznie przesiadywał Filip, bo leżały na stoliku cygara i kilka książek. Spojrzała na tytuł tej, w której tkwił nóż kościany. Było to *L'Oeuvre Zoli*. Rzuciła książkę z niesmakiem i smutkiem. Inne były romansami francuskimi najgorszego gatunku. Wróciła do pracowni.

Chciała odejść, ale po chwili namysłu rozpakowała farby, obejrzała szkic na stalugach i zaczęła go podmalowywać. Zrazu robiła to jakby dla zabawy, ale prędko zapomniała nawet o celu swojej wizyty, zajęła się rzetelnie.

I tak ją Filip zastał i zdumiał się.

— To ty! Patrzcie i już smarujecie. Aleś niewłaściwie tu użyła cynobru.

— Ano przyszłam, a że mi się czas dłuży, spróbowałam farb. Wyśmienite są i światło masz wymarzone — odparła wesoło, odkładając paletę i podając mu rękę.

— Nie pocałujesz? — zaśmiał się.

— Nie mam ochoty. Zanadtoś już duży.

— Cóż u was słyhać? Czy jeszcze oplakujesz Oryza?

— O, stale. Wiesz, że mam zasadę: *semper fidelis*.

— Ale jak się ten twój gust godzi z artystem, tego nie rozumiem.

— Tyle jest anomalij na świecie... — ruszyła

ramionami.

— I ten szczęśliwiec opuścił ciebie na długo?

— Zdradził najhaniebniej i porzucił mnie, biedną ofiarę. Jestem złamana!

— Powiedz: drwisz czy nie? Masz jakiś ton zagadkowy. Myślę czasem, że w gruncie rzeczy ty nas oszukujesz, a przecież każdy przysięga, że się kochacie. O niczym teraz innym nie mówią.

— Niech im służy tyle, co mnie. A ty, próżniaku, czemu nie malujesz?

— Nie mam czasu i teraz dni takie chmurne. Zresztą nie cierpię podmalówki.

— Chcesz? Mogę ci to zrobić. Ot, gadaj co, a ja ci smarować będę. Dla mnie znowu to zabawka.

— A dobrze. Zjesz ze mną śniadanie potem.

— Nie. Szkoda czasu. Modelkę mam od drugiej.

— A ładna?

— Nie, ale ma charakter potrzebny. Ja bo nie lubię tych lalkowatych twarzy.

— *Kult* postępuje?

— Skończę do Nowego Roku. Myślałam, że wystawimy jednocześnie, aleś hultaj!

— Nie, ale zanedto szczęśliwy! — wyrwało mu się. Znalazła siłę uśmiechnąć się do niego z taką rzetelną radością i zadowoleniem, że on zapomniał o słowie danym baronowej.

— Czasami nie rozumiem, jak się tyle szczęścia mieścić może w jednej duszy — zaczął z odetchnieniem ulgi, że się może z kimś podzielić wrażeniami. — Znalazłem skarb i posiadam go: tak jak w bajce.

Ich habe gekusst zu trauter Stund

*Die junge Königin,
Getrunken hab'ich von ihrem Mund
Den seligen Trank der Minne,*

Zacytowała Magda, biorąc znowu paletę i pędzel.

— Nie mogę niczym się zająć, o niczym innym pomyśleć. Dość męki przymus towarzyski, a gdy zostaję w domu, to chyba, by ją przyjąć. Właśnie mi wtedy malowanie w myśli!

— Przychodzi tutaj? — zachnęła się Magda z ruchem, jakby odejść chciała.

— Co, i ciebie to oburza! Dziwne te ludzkie zasady! A ja w niej właśnie kocham, uwielbiam to niewyrachowane, zupełne oddanie się. Ona tu przychodzi do siebie,

— Ależ ja wcale się nie oburzyłam, tylko zlekłam się, że może właśnie przeszkodziłam wam dzisiaj.

— Nie, tego dnia, gdy być ma, nikogo lokaj nie przyjmuje. Zresztą — powiedziałbym ci sam. Co za bogactwo w duszy tej kobiety, ile delikatnych uczuć, głębokich myśli, jakie wykształcenie, a jak nieszczęśliwa, fałszywie osądzona! Opowiadała mi swe życie. Była ofiarą próżności ojca, tyranii i grubiaństwa męża; teraz cierpi tortury z powodu skąpstwa matki, a cały świat piwa na nią, choć nie jest wart jej jednego spojrzenia. Nazwano ją rozpustnicą, a ona jest czystą jak lza.

Magda pochyliła się, aby nie spostrzegł ironicznego uśmiechu. Ta mowa o czystości była tak śmieszną w zestawieniu z owymi wizytami w jego mieszkaniu, podczas których lokaj nikogo nie przyjmował.

— Świat często myli się w sądach, ale przecież cóż za plany macie na przyszłość? — spytała.

— Uczynię, co ona zechce. Jestem jej własnością. Ale

teraz ona się tak cieszy chwilą obecną! Mówi, że odpoczywa, że jej tak dobrze jak w śnie rozkosznym. Niech śni; ja jej wyzyskiwać nie będę.

— A matka, jak cię traktuje?

— Bardzo dobrze. Zresztą ta chodząca tabliczka mnożenia ani rozumie, ani zna córki. Nigdy się prawie nie widują poza godziną obiadu. Trzeba uwielbiać tę kobietę za jej cierpliwość i dobroć dla takiej jędzy.

— No, matek się sobie nie wybiera, a miłość dziecka dla rodzicielki nie jest znowu taką nadzwyczajną cnotą. Zresztą sam mówisz, że mają mało styczności.

— Dosyć, aby życie stało się piekłem. Pomyśl sobie: o każdą parę bucików mieć skandal; nie posiada centa dla siebie...

— Ano, jednak na Ostendę jej nie żałuje!

— Ale co dzień wypomina. Ja tego słuchać nie mogę. Wczoraj była scena o owies dla koni. Taki drobiazg, który jej robi tyle przyjemności i to ma być jej wydarte! Chciała już sprzedać; ledwiem wymodlił, by mi to pozwoliła załatwić. Nadzwyczaj jest drażliwa na punkcie prezentów. Nic literalnie przyjąć nie chce lub natychmiast nawzajem coś ofiarowuje. Mam od niej mnóstwo pamiątek. Ten kalendarz mi dała i to pióro, i szpilkę do krawata, i srebrną świnkę jako brelok.

Nie powiedział, co jej dał w zamian, ale Magda udawała, że wierzy, iż były to równie drobne pamiątki. Malowała pilnie słuchając.

— Patrz no, takeś myślał? — spytała, odstępując o krok.

— Dobrze, tylko tu więcej sjeny podłóż...

— A, leniu, dotknijże się sam! — zawołała, podając mu pędzel.

Usłuchał i zaczął malować. Ona przypatrywała się

robocie i zauważyła, że pomimo widocznego braku wprawy zachował jeszcze zmysł właściwy i pamięć. Powoli odeszła od stalug, otworzyła pianino i zaczęła jakąś łagodną melodię. Uśmiechnął się, nie przerywając.

— Zaśpiewaj *Piosenkę Fortunia* Tostiego. Znasz? Skinęła głową. Śpiewała nieuczenie, ale czysto — z pamięci zwykle, bo na studiowanie nut nie miała wcale czasu. On jej zaczął z cicha wtórować.

Utrzymała go tym przy stalugach godzinę. Zmęczył się i przestał wreszcie, ale zajął się swoim dziełem.

— To będzie niezłe — rzekł przypatrując się z zadowoleniem. — Dobrze, żeś przyszła i trochę mnie napędziła. A toż to będzie dla niej niespodzianka!

Zawsze, ona. Magda zmarszczyła nieznacznie brwi, ale jak zwykle wnet się przemogła.

— Jeśli chcesz, mogę przychodzić — rzekła serdecznie. — Słuchać cię będę, grać lub czytać przy robocie. We dwoje różnie się pracuje.

— Magda, ty jesteś idealnym kolegą. A wiesz, żem się jej dziśraz pierwszy sprzeniewierzył. Obiecałem solennie, że ci nigdy więcej się nie zwierzę. Na próżno, nie mogę się bez ciebie obejść. Zawsze się wygamam.

— A teraz wyznasz swoje przestępstwo i jutro znajdę drzwi zamknięte. Bywaj zdrów! Niewolnicy nie powinni mieć przyjaciół.

Śmiała się, a za gardło dławiała ją przykrość i upokorzenie.

— Nie, nie powiem! — odparł po chwili namysłu. — Bo gdy ciebie mi każe się wyrzec, przed kimże o swoim szczęściu pomówię? Ty jedna jej nie potępiasz, jesteś nam życzliwą. Ona cię źle sądzi i to mnie boli.

— A mnie wcale. Wiem nawet, że to ona mi przypięła

tego Oryza, ale i o to żalu nie czuję. Nie daruję jej jednej rzeczy: gdy ciebie unieszczęśliwi.

— Patrzcie, więc przecież chodzi ci o moje szczęście! — zaśmiał się.

— Chodzi mi przede wszystkim o to — wskazała obraz.

— Więc, ażeby ci dogodzić, co dzień godzinę będę smarował. Jak się zawezmę, wystawimy razem!...

— I owszem. No, do widzenia zatem. Za parę dni przekonam się, czyś słowny.

Za parę dni nie zastała go w domu, ale obraz trochę postąpił. Za następnej bytności znalazła drzwi zamknięte, wstrzymała się tydzień, potem znalazła farby, płótno opuszczone.

Rozpacz ją ogarnęła. Wzięła pędzel i malowała godzinę. Chciała się doczekać i zburzyć, ale nie przyszedł. Za czwartym razem zastała go. Leżał na otomanie, z rękami pod głową, zapatrzony w portret. Teraz dopiero zauważyła, że się zmienił. Miał gorączkowy ogień w oczach, rysy zmęczone. Jakby się zestarzał, a widocznie zmizerniał.

Dotknęła ręką jego skroni zaniepokojona.

— Co tobie? Słabyś?

— To ty! — odparł powoli i apatycznie i umilkł.

— Wiesz, że masz minę kretyna!

Powstał, podjął z kanapy parę na pół zwiędłych fiołków, westchnął głęboko.

Nagle się ożywił i uśmiechnął jasno.

— Była tu dzisiaj — szepnęła. — Chwaliła obraz; powiedziałem jej, że mi pomagasz, ale się nie rozgniewała, zacności! O! jakim szczęśliwy!

— A ja wracam od sióstr miłosierdzia. Będę im malowała stacje krzyżowe do kościoła. Jak tam u nich ślicznie i jasno! Nawet w te listopadowe dni nie jest

ponuro. No, cóż porabia *Salamandra*”?

— Nie wiem i wiedzieć nie chcę. Dajcie mi być szczęśliwym i o niczym poza nią nie myśleć. Nie wspominaj mi sztuki, farb, mojego przekłętego zawodu. Nienawidzę go, wzdrygam się na samą myśl malowania.

— A przecież ona chwaliła obraz!

— Chwaliła twoją robotę. Czy ty myślisz, że ja nie czuję swojej niemocy, zamarcia talentu? Nie będę już artystą — nie marz o tym; jeśli się przemogę do pracy, stworzę nędzę. Dusza moja gdzie indziej, myśl daleko, chęci i zapału ani odrobiny. Wypiszcie mnie z cechu i niech więcej mowy o tym nie będzie!

Mówił lekceważąco, niedbale i właśnie dlatego zdało się jej, że pokrywał cierpienie. Szał je teraz ćmił, nie dawał go odczuć w całej pełni, ale ona z bezmiernym smutkiem odczuła, że kobieta ta zabiła w nim już ducha, podruzgotała jego ideały, odebrała mu wiarę w iskrę Bożą talentu.

Teraz był jeszcze upojony triumfem miłości i posiadania, ale w duszy była szpara drobna, którą gorycz wsiąkać zaczęła i truć uczucie.

Spuściła głowę i milczała długą chwilę. Nie zdobyła się nawet na udaną niefrasobliwość, ale spojrzała nań poważnymi, smutnymi oczyma i rzekła z wolna:

— Więc żegnam cię. Masz rację: gdy wstręt czujesz, nie bierz pędzla! Ale cię nie żegnam jak umarłego... Ciężkoś chory tylko. Im prędzej kryzys nadejdzie, tym większa nadzieja wyzdrowienia. Bądź zdrow jak najprędzej; mimo wszystko ja wierzę w ciebie. Pamiętaj przecież, że nigdy sam, opuszczony i nieszczęśliwy, nie będziesz, póki ja żyję. Teraz nikogo nie potrzebujesz, potem może ciebie nikt — ale mnie znajdziesz zawsze jednostajną.

Podawała mu dłoń, którą on milcząco machinalnie uściśnął, i

wyszła.

Był to ponury dzień listopadowy. Śnieg padał. Szła zamyślona, nie zważając na wicher, który jej w twarz rzucał białe wielkie płaty. Znalazła się na Rynku, wprost Mariackiego kościoła i weszła do środka.

Było prawie pusto i zupełnie ciemno w świątyni. Gdzieś widać było zapóźnionych pobożnych; w powietrzu ulatywały resztki kadzideł po odbytych nieszporach.

Magda usunęła się w cień filaru: nie modliła się, ale w tej ciszy puściła wodze myślom. Miała wrażenie, że jest uwolniona ze służby i że jeszcze nie ma nowego zajęcia. Była to swoboda, której treścią była pustka i zniechęcenie do szukania czegoś nowego w życiu.

Widocznie nie umiała żyć i czuć ani zrozumieć natury Filipa. Cała jej ofiarność i zaparcie się siebie na nic się nie zdały. Była dla niego niczym, może nawet ciężarem... Tak, czas był wielki usunąć się zupełnie. Teraz była pewną, że go straciła na zawsze i że zguba jego jest nieuchronna. Nie miała bronii do walki z potęgą pięknej zalotnicy, skarb swój musiała jej zostawić na pastwę. Bezmierny żal wstrząsnął nią. Ukryła twarz w dłonie i ostatecznie żegnała się z marzeniem. Była jakby na pogrzebie swojego szczęścia i złotych złudzeń i czując się tutaj zupełnie samą i swobodną nie hamowała bólu. Mówiła sobie: "Gdy stąd wyjdę, powinnam już być mocną i hartowaną; jeszcze tę chwilę tylko mam dla siebie".

Mrok coraz gęstniał i tylko jak skra złota świeciła lampka przed ołtarzem; z kątów świątyni czasem wybiegało westchnienie ciężkie lub szelest różańcowych paciorków.

Ta wielka pusta nawa i to światełko jedno usposabiały

do ukojenia, ciszy. Mury te, zda się, przesiąkłe były bólem i prośbą. Powoli tajała w nich dusza. Magda ani spostrzegła, że mówi pacierz. Oczy jej przeszły na lampkę i ujrzały w jej blasku obrazek ze wspomnień włoskich.

Mnich stary oprowadzał ją po korytarzach mrocznych i objaśniał freski na ścianach na pół zatarte.

Postacie malowideł były prawie bez ciał, a twarze ich ginęły w ekstazie. Rzekła tedy do mnicha:

— Mistrz nie studiował anatomii i na żywych ludzi nie patrzył.

Zakonnik uśmiechnął się filuternie.

— E, *signorina*. A skądże! Młodzieńczyk był, mówi legenda klasztorna. W lat piętnaście furtę przestąpił, a w swojej celi widywał niebo. Co widział, to malował! Z ciała jest ciało, a z ducha duch!

A potem po namyśle dodał:

— Dwanaście lat mija, jak mi przeor polecił gościom freski pokazywać i tłumaczyć. Co dzień mam robotę. Więc chyba nie dość ludziom anatomii i żywych, kiedy tu idą to oglądać. E, to także nauka, tylko już tak malować nie potrafią! Tak, tak, *signorina*, waszym malarzom dają wieniec z lauru, a nasz dostał taką samą złotą obrączkę nad głową, jak ot tutaj ma święta Agnieszka! Zapamiętajcie: ciało tworzy ciało, a duch tworzy ducha!

Magda wstała i rażno podniosła głowę.

— To wszystko marność, gdy mi duch został i ideał. Do pracy, do myśli, do życia!

Gdy wychodziła z kościoła, ktoś dotknął jej ramienia. Obejrzała się i uśmiechnęła radośnie na widok Berwińskiej.

— Przecież pomyślałaś o mnie — rzekła.

— Myślałam często, ale przyjść mogę ledwie raz na miesiąc. Co to znaczy, żeś w kościele? Dziś u was dzień

przyjęcia...

— Skończyły się przyjęcia. Od dwóch tygodni nikt u nas nie bywa. Jestem pod interdyktem u kobiet — tych, co się szanują. Marynia zrazu płakała, teraz wymyśla każdemu.

— Za cóż to?

— Za Oryża. Ułożono między nami romans i postanowiono, że jeśli się nie pobierzemy, to na wieki odsądzoną jestem od czci, wykluczona z towarzystwa.

— Gdzież Oryż?

— Albo ja wiem? Od miesiąca przepadł bez wieści. Posądzam go o sentyment dla Boińskiej, pewnie siedzi u stryja w Buczaczu i do niej się dopytuje.

— To bardzo nieprzyjemnie. Cierpisz?

— Prawie nic. Szkoda mi tylko Malickich i przykro mi z powodu Maryni. Chodźmy.

Idąc ku domowi mówiła już wesoło:

— Uciechę mam z Sylwestra. Zrazu miał minę dyskretnego pocieszyciela, teraz wygląda jak szpieg i pokątny doradca. Jednak co tydzień zjawia się i bada grunt, podsuwa dwuznaczne przedmioty rozmowy, schnie z żądzwy wydobywania nowinki i ploteczki. Jestem pewna, iż myśli, że Oryż, gdzieś tu ukryty, spotyka się ze mną po kryjomu.

— Ależ to absurd! Czy pofiksowali wszyscy!...

— Naprawdę, jam trochę winna! Gdy baronowa z Filipem ukuli tę kombinację, tak mnie to ubawiło, że potakiwała. Oburzyło to społeczeństwo jako bezczelność i lekceważenie opinii, no i chryja się stała straszna. Chciałabym widzieć minę Oryża, gdyby o tym usłyszał. A to by mi nagarnął impertynencyj!

Spojrzała w górę ku oknom swojego mieszkania.

Znalazły w saloniku Malickich i Sylwestra. Magda serdecznie powitała doktorową i zaraz się wytłumaczyła po

swojemu, szczerze, z opóźnienia.

— Nie spodziewałam się pani, więc się nie spieszyłam z powrotem. Myślałam, że pani wie o ostracyzmie, który mnie dotknął.

— A jakże, wiem! — odparła doktorowa obojętnie — ale chłopak mój przechodził odrę, więc nie mogłam cię odwiedzić.

Doktor jak sęp rzucił się na Berwińską. Nie witał, nie pytał, tylko zaczął krzyczeć:

— Czy pani ma sumienie hodować taką anemię! Żelaza, żelaza, wina, morskich kąpiel! To zgroza, co wy dokazujecie.

A Sylwester zbliżył się do Magdy i spytał z uśmiechem starego satyra:

— Co słyhać z *Salamandrą*? Ludzie mówią, że pani się nią pilnie opiekuje...

— Zrezygnowałam dzisiaj z opieki, bo Filip stanowczo malować nie chce. A szkoda, obraz zapowiadał się bardzo świetnie.

— Nie każdy zdolny jest kochać i pracować zarazem. Baronowa jest wyłączną, nie znosi nikogo i nic wobec siebie. Tylko gusta jej bywają krótkotrwałe. Słyszałem już o następcy pana Filipa.

— Ejże, tyle jest plotek, że nie uwierzę, aż fakt zobaczę.

Miłość Filipa warta większej nagrody niż fantazji. Może ona ją oceni.

— Pani jej broni? Nie warto!...

— Zawsze warto szukać dobrego i nie sądzić bezwzględnie. Mnie tym bardziej nie godzi się potępiać baronowej, więc mów pan o czymś innym.

— Trudno, bo całe miasto mówi tylko o tej parze.

— A to podziwiam pańską cierpliwość, bo mnie by to

znudziło po kwadransie.

— Pani ma własny temat! — uśmiechnął się z pozorną dobroduszością.

— Tak i o wiele bogatszy — odparła poważnie. Zwróciła się do doktorowej i zaczęły rozmawiać o chorobie malca. Sylwester, zbity z tonu, podszedł do Malickiego, który spiorunowawszy Berwińską burczał teraz na majorową, że nie pilnuje dziewcząt w szkole, aby miały szczepioną ospę.

— To powinno być załatwione przed pacierzem i alfabetem. A przy tym co tydzień wanna. Ja oto składam dwadzieścia reńskich: niech ich pani użyje na kąpiel. Dziecko syte, czyste i zajęte w miarę pracą daleko prędzej pojmie katechizm. Przekona się pani. Niechlujstwo jest pierwszym krokiem do złego. Jak sobie chcecie, nazwijcie mnie maniakiem, ale zaręczam, że w niższej klasie takż wpływ na cnotę ma mydło jak w wyższej honor i zasady.

Zaperzył się, gdy Magda się roześmiała.

— Was to bawi, a to jest zupełnie poważne.

— Ależ ja wierzę, doktorze — broniła się. — Zaśmiałam się myśląc, jakby to wygodnie było, żeby dla wyższej klasy istniały sklepiki z honorem i zasadami.

— Sklepiki? Bagatela! Na nasze choroby i brudy trzeba by wskrzesić Herkulesa. My — to Augiaszowa stajnia. Słuchaj no, Sylwester, wiesz, że ma być zjazd lekarski i owacje dla Czechów?

— A cóż! Wcale dobra myśl. Kiedyż to?

— Latem podobno. U nas mają pasję do szopek, ale ta mi się szczególnie podoba.

— Dlaczego? Czechy są z nas, Słowian, najrozumniejsi, mogą nam być przykładem. Dłoń bratnią nam podają. Należy ich uczcić.

— Czujcie zatem. Ja tam nie myślę. Doktor Czech, czy ja, tak samo zarżnie człowieka, jeśli się Bóg za nim nie ujmie. Gadać będą, jeść, pić, całować się, pisać brednie po gazetach, a ludzkość jak była chora, tak zostanie.

— Mój drogi — wtrąciła żona. — Ty całe życie burczysz i krytykujesz, a pewnie w zjeździe uczestniczyć będziesz.

— Bo muszę! Człowiek nabierze na siebie różnych ciężarów i wmówią w niego potem, że to obowiązki.

— Niech to pana pocieszy, że tak jest z każdym — rzekła Berwińska.

— Bajesz! — zaśmiał się Sylwester. — Obiorą cię prezesem, palniesz mówkę, wyściskacie się z Czechami. Kapitalna okazja. Ja bym na ten czas zapisał się do waszego cechu. Ale to jeszcze dalekie rzeczy. Tymczasem mamy komitet do urządzania bezpłatnych śniadań i nocnych przytułków na zimę. Ma być świetny bazar na ten cel przed świętami. Panie mają sprzedawać. Bufet, muzyka, koncert! Przygotuj się, że cię skarotują do nitki.

— Mnie? Czy ja wariat tam chodzić! To jest uprawniony rozbój na gładkiej drodze. Mam nadzieję, że pani, panno Magdo, nie będzie wśród tych dam, które w tej roli są wstrętne.

Osiecka poczerwieniała z przykrości wobec milczenia Sylwestra, ale Magda odparła wesoło:

— Nie. Bądź pan spokojny. Tam będą tylko damy szanowane i pełne godności. Mnie już wykluczono z tego czcigodnego grona.

— A, prawda. Słyszałem, że już teraz gorszą się, czemu pani nie idzie za Oryża. Szczególna pretensja! Powiadam: onegdaj swataliście ją z Osieckim! Coście się tak raptem jej losem zajęli, albo wam brak własnych spraw?

— Ma pan rację! — zawołała Osiecka. — Czego oni się na nas uwzięli? Ten nieszczęsny Oryż dwa lata był u nas prawie domownikiem i nikt na to nie zwracał uwagi. Teraz, gdy się wyniósł, wytworzono o nas bajkę miejską.

— Nie byłoby nic dziwnego, żeby się w pannie Magdzie zakochał i po pijanemu chwalił się z jej uprzejmości. Stąd plotka — rzekł Sylwester.

— O, co to, to nie! — oburzyła się Magda. — Oryż był mi rzetelnym kolegą, a on nie zwykł nawet prawdą się przechwalać, tym bardziej zmyślane historie prawić. Ludzie nie mieli na razie innej nowinki, ktoś im tę podsunął i poszła w kurs, rosnąc do olbrzymich rozmiarów. Ludzie i tak byli dla mnie wyjątkowo łaskawi. Teraz sobie to splecają. Cóż robić! — minie i to!

— Lubię panią za to! — zawołał doktor. — Mówiłem dziś żonie: — Ona jest tak zdrowa i zajęta, że pewnie mniej się tym martwi od ciebie.

— Tak, ale ślad w życiu zostanie — rzekła Berwińska. — Smutne to, gdy się ludzi już lekceważy.

Sylwester wstał i zaczął się żegnać. Nikt go nie zatrzymywał, a gdy wyszedł, Osiecka rzekła:

— I ten już więcej nie przyjdzie.

— Bardzo dobrze — zaśmiał się doktor. — Obmowa i plotka to wialnia i sortownik przyjaciół. Zostanie się mało, ale rzetelnych. A teraz, gdy ten poszedł, powiem wam nowinę. Onegdaj widziałem w mieście Faustangera. Szedł otulony w płaszcz, ałem go poznał po utykaniu na lewą nogę. Była ona w moich doktorskich rączkach po pojedynku i pamiętam tę kurację. Otóż zdziwiło mnie, skąd się tu wziął nagle. Z tego się wywiąże komplikacja, zobaczycie. Należałoby ostrzec pana Filipa. Rotmistrz, gdy sobie pałkę zaleje, bywa straszny.

— Ja się do tego nie wtrącam! — zawołała Osiecka. — Błazen nas się wyrzekł, Magdę oszkalował, progu mego więcej nie przestąpi ani też chcę wiedzieć o jego romansach i awanturkach. Nawarzył piwa, niech pije.

Berwińska spojrzała na Magdę. Miała twarz zupełnie spokojną. Pomyślała więc, że Filip musiał ją utracić ostatecznie.

VI

Gdy ksiądz Oryż wrócił z Krakowa, zastał synowca rozlokowanego na probostwie, które wskutek tego wyglądało jak knajpa. Gdyby nie wpływ i opinia Magdy, nastąpiłoby zapewne zaraz zerwanie dyplomatycznych stosunków; ale ksiądz naukę zapamiętał, więc wyrzucił tylko synowca ze swojej sypialni i pozwolił mu resztę plebanii zadymić złym tytoniem, rysować po ścianach i zabłacać podłogi.

Malarz przez parę dni umyślnie czynił to z całą ostentacją, by wywołać burzę; ale widząc, że stryj jakby nie widział go, stracił gust w dokuczaniu. Przeniósł swoje penaty do kuchni, gdzie uczył kucharkę sprośnych piosenek, ale ta, stara i przygłucha, zносиła to także filozoficznie, więc i tam się Oryż prędko znudził. Zwiedził miasteczko, pochwycił kilka typów do swej teki i doczekał uroczystego święta. Wtedy, podczas nabożeństwa, przedrzeźniał stryja na ambonie pewny, że przecież wywoła scenę; ale i to zniósł proboszcz. Oryż był tak zdumiony nagłą zmianą, że postanowił spróbować ostatniej sztuki, a potem uciec stąd i nie wrócić nigdy.

Wieczorem, gdy ksiądz brewiarz odmawiał, przyszedł do sypialni, położył się na łóżku i zaczął gwizdać operetkowe kuplety.

Ksiądz bez gniewu wyszedł z pokoju i w jadalni modlitwy dokończył. Ledwie książkę odłożył, Oryż rzekł:

— Wie stryj co? Ja bym chciał mieć sto reńskich.

— Czemu nie? To okragła sumka!

— To niech mi je stryj da! Domontówna stryjowi

sfuszeruje jedną kaplicę, a ja do drugiej naprzeciw zrobię Pokusy św. Antoniego. Chce stryj szkic zobaczyć?

— Wierzę ci na słowo, że jest ściśle kościelny. Toć przecież twój rodzaj malarstwo religijne, ale w jednym roku nie będę dwóch kaplic odnawiał. Na co ci tyle pieniędzy?

— Chcę się żenić.

— Dam ci tysiąc reńskich, jeśli się ożenisz z Domontówną.

— Phi! — gwizdnął Oryż. — A to stryjowi zadała! Wymaluję ją stryjowi między pokusami św. Antoniego. Ale dla siebie tom wybrał wdowę w Tarnopolu, która ma trafikę.

— No to ci nie dam i stu centów, bo to pewnie łgarstwo. Żebyś dwa lata widywał co dzień Domontównę i w niej się nie zakochał, to niemożliwe.

— A cóż to kobieta — knajpa, żebym ją pokochał i przywyknął? Ta w Tarnopolu da mi rabat na cygarach, a tamta co?

— Jesteś infamis. Miała też kogo panna Magda tak bronić i chwalić!

— Mnie? Ona? Drwiła sobie ze stryja!

— Wcale nie. Możesz spytać Okęckiej.

— Ja dewotek o księży nie pytam. No, ale co tam Domontówna. Da mi stryj sto reńskich?

Tu ksiądz wybuchnął.

— Figę ci dam! Mało jest ubogich, żebym ich grosz oddawał takim szubrawcom bez czci i wiary. Dość, że cię cierpię pod moim dachem.

— Wspierając tak zwanych ubogich, wspieracie próżniaków, pijaków i oszustów. Wasza dobroczynność to hodowla tej plagi społecznej. Ja się obejdę bez stryja

pieniędzy. Pożycz mi zakrystian.

To rzekłszy, wyszedł z plebanii.

Proboszcz bezsennie przeleżał do rana, układając, jak zwymyśla zakrystiana. Jakoż ledwie wstał, posłał po niego i napadł bez żadnego wstępu:

— Jeśli myślisz, że zobaczysz ode mnie swoje sto reńskich, coś je dał memu synowcowi, to się grubo mylisz. I to będzie słuszna kara za twój podstęp. Na odnowienie ołtarza — to nie masz centa, a pożyczać błaznom to masz?

— Ależ, proszę jegomości... — przerwał zakrystian.

— Milcz, jesteś faryzeusz i sknera!

— Matko Boska! — wybuchnął nieborak. — Ależ ja, jako żywo, nie pożyczałem panu Andrzejowi i centa. Nie widziałem go od tygodnia, nie mówił mi nigdy o pożyczce. Co się jegomości dzieje? Ja mam pięcioro dzieci, a nie pieniądze.

Proboszcz skamieniał.

Zwrócił się i zawstydzony poszedł do kościoła.

Potem bezmierny gniew go ogarnął.

— Ten chłystek! Odpłacił mi za delikatność! Zrobiłem sobie, słuchając rad panny Magdy! Ja jej to napiszę! Niech pozna, co to za ptaszek! No, cybuch mu na grzbiecie połamię, jak się zjawi!

Ale Oryż nie kwapił się z powrotem. Trochę pieszo, trochę gratis na furach dotarł do Tarnopola. Tam miał znajomego urzędnika, więc u niego się ulokował. Włóczęc się po mieście, dowiedział się, w której restauracji stołuje się rotmistrz Faustanger i obrał tamże swoje pomieszczenie.

Rotmistrz był odludkiem. Nie lubił ogólnej sali i obiadował zwykle późno w ustronnym gabinecie. Tam też czytywał dzienniki i przesiadywał długo nad butelką wina,

pałac cygara i w ponurym rozmyślaniu gwizdząc przez zęby.

Pierwszy raz, gdy w swym kącie zastał Oryza, chciał się cofnąć i mruknął do lokaja, że chce być sam. Ale służący wytłumaczył mu, że wszędzie pełno i że ten pan także lubi milczeć, czytać, pić i palić.

Faustanger, burcząc jak brytan, wszedł i tonem wcale nieprzyjaznym rzucił zwykle pozdrowienie:

— *Servus!*

— *Servus!* — odburknął podobnie Oryż.

Pierwszego dnia nie rzekli nic więcej, na drugi — rotmistrz spojrzął na tekę, w której towarzysz coś rysował w przerwie obiadu i zagadnął:

— Pan artysta?

— Uhm! — mruknął Oryż.

— Może pan rysuje karykatury?

— Właśnie!

— Pokaż pan!

Oryż podsunął mu tekę.

— *Post Blitz!* A toć moja teściowa! — zawołał Faustanger.

— Bardzo mi przyjemnie, jeśli to panu przyjemnie. Mogę to panu ofiarować na pamiątkę.

— Skąd pan tę jędzę zna?

— Ano, co dzień ją spotykam na Rynku w Krakowie.

Na papierze radczyni była jak żywa. W pelerynce, z torbeczką w ręku, grzebała w rynsztoku, w którym wraz z pomyjami płynęły brudne papiery.

Faustanger się rozchmurzył. Patrzył ze złośliwą radością na rysunek.

— To pan z Krakowa — rzekł. — Ano, to pan i moja niby-żone zna. Niech mi pan tę wyrysuje.

— Z Osieckim czy bez?

— Co to jest Osiecki?

— A to jej ostatni pinczer faworyt.

— Daj mi go pan! — burknął Faustanger.

Oryż prędko wyrysował baronową ze szpicrutą, przez którą skakał pinczer z twarzą Filipa. Rotmistrz przez stół śledził robotę, ale już się nie śmiał. Twarz jego dzika, energiczna, o orlim profilu nabierała twardych linii.

— To ci głupcy! U mnie to ona skakałaby przez szpicrutę! — warknął.

— Wierzę, i warto! — odparł Oryż, biorąc się do pieczenia.

Faustanger sapał chwilę, potem zadzwonił i kazał podać wina.

Ale rozwiązał mu się język i podobał towarzysz.

— Te baby bały się mego ducha — rzekł, rozpierając się na stole i zapalając cygareto. — Wtedy było cicho. Ale mi to zbrzydło. Gdybym był bogaty — ba — ale tak! Bałem się, że zabiję jędzę, i rzuciłem do diaska cały kram. Rozdeptać smoka, to warto, ale ropuchę, pfuj! — i splunął. Pił wolno i dziko mu błyszczało w oczach.

Zaprosił Oryża do węgryzna i spytał:

— Więc ten Osiecki to ostatni? Kto on?

— Malarz.

— To ją pewno nudzi. Cha, cha, myślę czasem, jaka by to była komedia, gdybym się zjawił.

— Ja bym to chciał widzieć! — zawtórował śmiechem Oryż.

— Zaproszę pana na widowisko z teką. Ano, przyjdzie do tego kiedyś. Nasze rachunki nie skończone.

Zamyślił się. Oryż, który lubił czytać w ludzkich twarzach, wyczytał, że w duszy jego obok zemsty, której

nie tań, była i namiętność ukryta, i zazdrość, i dzika żądza, hamowana do czasu przez dumę upokorzonego magnata.

Pomyślał też z mściwą radością, że gdy ten swój odwet weźmie, to będzie dla baronowej dzień pokuty za Magdę.

Odtąd co dzień rozmawiali przy obiedzie, a potem grywali w taroka i sączyli węgrzyna. Po paru tygodniach Faustanger nie miał już tajemnic dla Oryża, a ten powoli rozdmuchiwał w nim namiętność do żony.

Gdy malarz z owych pogawędek wracał do swego przyjaciela urzędnika, pomimo ilości wypitego wina był zawsze trzeźwy. Gwizdał i śpiewał kujawiaki i śmiał się drwiąco. Gdy się do snu ułożył, rozmyślał:

“Jedni mówią — Oryż hultaj, drudzy — szubrawiec; ale Oryż wielki głupiec, to wiem ja sam tylko. Żeby tu nie judził tego wściekłego żołdaka, toby Osiecki lata wisiał przy tej babie, a dziewczyna cierpiałaby tyleż. Ale ja to przyśpieszę. Ten narwany Filip z desperacji wróci do Magdy; dziewczyna dostanie swe szczęście: no, i wszystko będzie w porządku... A Oryż co wtedy?... — pytał sam siebie szyderczo. — Oryż wróci do knajpy i praczki! To ci użyje za te dwa lata! Uh, Bachus z Afrodytą na rękach do szpitala go zaniosą! Będzie ananasowa frajda!”

I śmiał się cicho do samego siebie.

Doczekał się w ten sposób Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Przez ten czas Faustanger był w Krakowie, ale zaraz po powrocie wziął urlop i wyjechał do chorego brata do San Remo.

Nawet się Oryż nie dowiedział, jak go przyjęła teściowa i żona. Gdy zabrakło rotmistrza, Oryż zaczął przemyśliwać, jak by do Krakowa się dostać, bo fundusz jego składał się z teki, ołówka i mizernej garderoby. Obejrzał się tedy za pracą i cały miesiąc pilnie malował szyldy i prawie nic nie

jadł, zanim uzbierał tyle, by móc opłacić kolej.

W tym czasie wyczytał w gazecie, że na wystawie w Krakowie akazały się dwa nowe płótna: *Salamandra* Osieckiego i *Kult pamięci* Domontówny. *Salamandrę* chwalono bez entuzjazmu, dla Domontówny krytyka była zjadliwa. Zarzucano widoczny pośpiech w kompozycji, niedbałe wykonanie, lekceważenie publiczności wskutek łatwo zdobytej sławy; prorokowano zanik talentu, kończono nadzieją opamiętania, otrzeźwienia po upojeniu triumfu i rzetelnej pracy w przyszłości.

Oryż gazetę zmiął i splunął.

— Z Kapitelu jeden krok do Tarpejskiej Skąły — zamruczał. — Nic ciernistszego nad laury! No, teraz ciekawym, co ona zrobi?...

Od tego dnia gorączkowo wyrwał się do powrotu. Czasami kłął samego siebie i swoją nędzę. Potem przychodziła reakcja.

— Tyłem tam potrzebny, co tu! Pomóc nie mogę, pocieszać nie będę, a do niej sięgać nie chcę. Po co właściwie tam się włokę? Piwo tam takie jak i tutaj, a przynajmniej u Adolfa komisarz mi nie grozi. Jak żyję, nigdy tak długo nie był spokojny.

Jednakże liczył skrzętnie centy i ledwie uzbierał na bilet trzeciej klasy — pojechał.

Ucieszył go widok starych znajomych murów.

Pod wieczór stanął na miejscu i gwizdząc wesoło poszedł pieszo z dworca. Mróz był tęgi, ale jemu było ciepło i wesoło. Floriańską Bramę minął i przechodząc przed domem Magdy spojrzął w górę. Okna były oświetlone. Sekundę chwyciła go wielka chęć wstąpić, zobaczyć ją; ale myśl tę odegnał jak sromotną pokusę i ruszył dalej w stronę Rynku. Obejrzał kościół Mariacki,

Sukiennice, spojrzął w okna baronowej. Słabo się świeciło w jej buduarze. Pomyślał, że pewnie Filip tam jest, i nie wiedząc, gdzie się podziać, co robić — opanowany nagle uczuciem opuszczenia i pustki, poszedł już wolniej — ku knajpie.

Nazajutrz rano jeden z pierwszych był na wystawie przed nowym obrazem Magdy. Ustawiono go obok *Salamandry*. Oryż szukał błędów, o których mówiła krytyka, ale ich nie znalazł. Ucieszyło go to i ucieszyła kartka z napisem “sprzedany”, zatknięta za ramię. Natomiast *Salamandra* była twarda i chybiona, płaska i zimna.

Oryż stał i patrzył, gdy ktoś go trącił w ramię. Był to Fink.

— To ty? Gdzieś ginął?

— Byłem u rodziny.

— Co? Ty masz rodzinę?

— Cóż to? Myślałeś dotychczas, żeś aerolit?

— Szukałem cię jak szpilki w Krakowie. Potrzebny mi byłeś do gwiazdkowych wydawnictw. Miałbyś moc pieniędzy.

— Udław się sam nimi! Nie ma głupich! Znam ja twoją moc pieniędzy.

— Jednakże, jeśli zechcesz, dam ci robotę.

— Bryndza! Na Rynku rysować nie będę, a z budy mnie gospodarz wysypał.

— No, to mniejsza! Masz przecież pracownię Domontówny — uśmiechnął się złośliwie.

— Może mi jeszcze ofiarujesz pracownię w katedrze na Wawelu?

— No, nie. Trochę bliżej jesteś z Domontówną niż z Jagiellonami.

— Tak jak ty o wiele bliżej jesteś z Shylockiem niż z Salomonem.

Fink poczuł, że z językiem Oryża trudno stawać do konkursu, więc zmienił rozmowę.

— Cóż, Osiecki ci się podoba?

— Ano, żałuję, że nie mam fałszywych asygnat: zaraz bym to kupił i spalił. A któż *Kult* nabył?

— Jakiś zakochany hrabia dla narzeczonej. Ta twoja Domontówna ma chyba żydowską krew w sobie. Pieniądze do niej lgną.

— A ty byś chciał, żeby po twojej krytyce ludzie przyznali ci słuszość? To jest dobra robota, a Domontówna nie Adamski.

— Ba, ty to wiesz! — uśmiechnął się zjadliwie Fink. — No, przecież masz wstęp do mnie, gdy zechcesz roboty.

— O, tego się nie doczekasz, żebym ja roboty zapragnął! Zresztą mam teraz poważne zamówienie. Lada dzień wyjeżdżam na Morawy.

— Po co?

— Rotmistrz Faustanger powierzył mi odnowienie fresków w swoim zamku.

— To brat jego klapnął? Fiu! To i Osiecki lada dzień klapnie u baronowej.

— I owszem. Może przestanie pacykować takie ohydy — burknął Oryż, wskazując na *Salamandrę*.

Odwrócił się i nie żegnając Finka odszedł.

Pół dnia krążył około mieszkania Magdy, zanim się ośmielił wejść do szkoły Osieckiej. Dwa tuziny dzieci pisało, a majorowa dyktując chodziła wśród nich, poprawiając zeszyty i moralizując bardzo wprawnie.

Na jego widok przez sekundę jakby się przeraziła i zawahała, lecz wnet podała rękę i powitała uprzejmie.

Ale tę sekundę spostrzegł Oryż i to go zmroziło, wzbudziło podejrziwość.

Spytał burkliwie o zdrowie, o powodzenie i zaraz wyszedł. Majorowa była pewną, że go znajdzie u Magdy.

Ale za powrotem zastała w pracowni siostrę samą, zatopioną w czytaniu.

— Cóż Oryż? Poszedł?

— Oryż? Wcale go nie było.

— Wariat! Zjawił się dziś w szkole, przywitał i po minucie ulotnił. No, ale kiedy u ciebie nie był, to i owszem. Nie mogę na niego patrzeć po dawnemu.

— To jest szczególnie logiczna niełaska! A ja przeciwnie, cieszę się, że wrócił. Przed godziną był Filip.

— Po co? Trzeba było go nie przyjmować!

— Nawet mi to na myśl nie przyszło. Zresztą on bardzo nieszczęśliwy i nie ja go w złej chwili opuszczę.

— A któż mu winien? Posiada, czego pragnął.

— Nie, on tego nie pragnął, co go spotka lada dzień.

— Co? Że go baronowa porzuci? Gdyby mnie był się spytał, tobym mu o tym powiedziała jeszcze jesienią. Daj spokój, nie masz czego się użalać. Jego ojciec podobny żywot pędził. Coraz nowe amory i skandale, po każdym chciał się strzelać, a umarł zupełnie pospolicie, na zapalenie płuc. Żonę zadręczył, brata zagryzł, a sam był zdrów i wesół aż do śmierci. To jest dziedziczne.

— Co? Śmierć? — zaśmiała się Magda.

— No, niezawodnie, ale ich szały i zapalność mnie już tylko złością. Taki błazen daje się oszukiwać najbezczelniej, afiszuje się swym grzechem bezwstydnie, fundusz topi w błocie, obgaduje nas, zgorzenie czyni całemu miastu — i ty się nad nim litujesz! Cóż znowu — kochasz się w nim czy co?

Spojrzała badawczo w oczy siostry, która wytrzymała wzrok spokojnie i odparła:

— Może. Tego mi nikt nie zabroni.

— Ty? Kochasz Filipa? Wielkie nieba! Et, bredzisz — zakończyła po namyśle.

Machnęła ręką i wyszła do kuchni, by się dowiedzieć o obiad. Magda poszła do pracowni i obejrzała się wokoło.

— Zacznę coś robić... Widocznie nie znoszę beczynności. Tracę równowagę.

.....
.....

Filip tymczasem szedł przed siebie, bez celu. Miał wrażenie, że w duszy mu coś pękło i tą szparką wciskał się chłód i wicher, który mu gmatwał myśli, mącił uczucia.

Coś się psuło w jego szczęściu; czuł, że się zsuwa ze szczytu na jakąś pochyłość, na której utrzymać się nie ma mocy. Nie chciał nawet badać ni myśleć o tym, nie chciał otwarcie się przyznać przed samym sobą. Ze strachem śmierci i zguby trzymał się już wspomnień przeszłości i szczęścia.

Siłę w nich czerpał i wiarę. A przecież przez szczelinę chłód ciągle się wciskał i Filip ze zgrozą chwilami czuł, że tam, u baronowej, coś przed nim ukrywają. Ona jeszcze pozornie była jednostajną; ale już matka traktowała go inaczej, oziębłej, z pewnym lekceważeniem. Onegdaj po raz pierwszy nie przyjęto go o zwykłej godzinie; dziś otrzymał bilecik, że baronowa na ślizgawce nie będzie, gdyż czuje się niezdrowa. Teraz także po raz pierwszy uczuwał wątpliwości i lęk — pójść do niej czy nie?

Poszedł tedy do Magdy.

Zastał ją nad książką. Zdziwiła się na razie; przestała się go spodziewać.

— To ty! *Ave!* — rzekła, jakby z żalem odkładając książkę.

— Przeszkadzam ci? — rzekł urażony obojętnym tonem.

— Co czytasz?

— To Feliksa Dahna *Odins Trost*.

— Nigdzie ciebie spotkać nie można. Czy nie myślisz mniszką zostać?

— Żartujesz, a jaki to by raj był! W takim włoskim cichym klasztorze osiąść, patrzeć na góry i słońce, na laury i oliwki, na świat bez ludzi! Może bym wtedy potrafiła malować takich świętych jak ci na tych freskach, co nam je ów mnich pokazywał, pamiętasz? “Ciało tworzy ciało, a duch ducha. *Ecco signorina!*”

I uśmiechając się, naśladowała ton fratra.

— Pamiętam. Stary filut, który każdemu w ręce zazierał, czy nie ma tabaki!... Cóż tedy porabiasz tak siedząc w domu? Studiujesz różne zakonne reguły?

— Puść to w kurs jako epilog zdrady Oryża. Wiesz co, Filip, tyś się urodził na reportera.

— Ja wcale Oryża nie wymyśliłem. Słowo ci daję! Niesłuszny masz żal do mnie. — Żywo zaprzeczył.

Potrząsnęła głową.

— Ależ ja do ciebie cienia żalu nie mam! Dobrze mi bardzo bez ludzi. Nigdy tyle nie skorzystała, co tymi czasy; i dni biegną jak myśl. Dużom czytała, szkicowała; trochę grywam Maryni; raniutko, gdy wy jeszcze śpicie, chodzę na spacer; dysputujemy z Malickim, mam Berwińską i doprawdy nie uważam, aby mi kogo brakowało. Kult poszedł, mam wakacje — wesoło mi! Za tydzień zacznę siostrzyczkom malować Stacje i bardzo się

cieszę tą robotą.

Patrzył na nią, gdy to mówiła, i z zazdrością czuł, że wszystko było prawdą. Uczciwe jej, rozumne oczy spoglądały jasno i swobodnie, pogoda i siła była na czole, usta uśmiechały się, a cała postać była harmonią swobody, woli i młodzieńczego wdzięku.

— Zazdroszczę ci! — z przekąsem rzekł. — W tym wieku uchować niefrasobliwość i dziecinne uciechy to osobliwość.

— Mój staruszk, czy ci potrzeba plastra, czy rumianku? Może pedogra dokucza? — odparła żartobliwie.

Ruszył ramionami chmurny.

— Żałuję, że z tobą dziś nie można pomówić poważnie. Nie mam usposobienia do żartów.

— Niewolnicy są zawsze, jeśli nie religijnie, to dramatycznie usposobieni. Zapomniałam, że:

Niewola sęczy jad.

Co rozkłada duchów skład.

Przepraszam cię, dotąd byłeś tak dumny z jarzma. Czy zaczynasz je targać, żeś je poczuł i sposepniał?

— Żegnam cię. Uważam, że jednakże niełaska tłumu podziałała na ciebie. Wojujesz sarkazmem.

Brał za kapelusz, ale go powstrzymała.

— Filip, dajże pokój! Nie bierz za złe żartu. Wiesz przecież, że ci zawsze szczerze życzliwa. Ot, usiądź, zapal papierosa i pogawędź swobodnie. Co ci się za krzywda stała, bracie?

Udobruchany usłuchał wezwania. Chwilę milczał patrząc w ziemię, wreszcie rzekł:

— Wiesz, zanadto byłem szczęśliwy; widocznie w

upojeniu nie czułem długi czas nawet życia. Teraz jakbym się obudził: i strach mam przed przyszłością, i żal za snem.

— No, to naturalne. W ekstazie nie sposób życia przeżyć. Los daje i daje: złe, dobre, szczęście, niedolę, łzy, uśmiechy, i dalej się o to nie troszczy. Ale ma urzędnika, który te dary spisuje i ze ścisłością starego rutynisty zjawia się do ciebie o pokwitowanie z odbioru i o należny mu podatek. Urzędnik nazywa się: doczesność. Ten ci to do drzwi twych zakolatał. Cóż chcesz? Człowiekiem jesteś, on twoim tutaj rządcą. Żeś nierad, to też naturalne. Nikt jeszcze od początku świata nie był rad i wdzięczny — poborcy.

— Co teraz będzie? — spytał zniechęconym głosem.

— Teraz powinienes szczęście swoje sprowadzić na ziemię i uregulować wedle społecznych wymagań. Czyś z nią mówił o przyszłości?

— Mieliśmy z wiosną wyjechać za granicę.

— I tam co? Podać o rozwód?

— Zapewne — jeśli ten pozwoli. Zależymy od fantazji pijaka i brutala, przy tym bankruta. Urządzi szantaż na wielką skalę.

— Więc proponowała mu już rozwód?

— Tak, pisała. Odpowiedział, że mu się wcale nie śpieszy. Magda pomyślała, że i baronowej widocznie także niepilno, ale rzekła:

— Ano, to niechże wymaga. Bądź co bądź, on tu zostawił opinię honorowego człowieka.

— To zwierzę, zwykle niepoczytalne z racji pijaństwa. Radczyni lęka się go jak upiora i ona to strachem zaraża córkę. One, gdy o nim mówią, to jak o ludożercy.

— To dziwna, że inni wcale źle się o nim nie wyrażają. Malicki twierdzi, że to człowiek wprawdzie szorstki, ale

tylko w obrębie koszar.

— Tak i we własnym domu. On ją bił; czy możesz to sobie wystawić?

— Nie, nie mogę i nie chce mi się w to wierzyć. Podobnych stosunków nie rozumiem, ale myślę, że gdyby mnie to spotkało, tobym o tym nikomu nie opowiadała.

— Ona wszystko powie najgorsze o — sobie. Ja za tę szczerłość i prawość ją ubóstwiam. Do mnie jednego należą jej cierpienia i nieszczęścia. Droższe mi to zaufanie nad wszystko!

— Wierzę, i dla mnie to byłoby bez ceny. Ale, wracając do próby życia, nie przedłużaj takiego stosunku. Możesz jej dać pozycję, dobrobyt, nazwisko uczciwe. To twój obowiązek.

— Dziś o tym powiem! — odparł raźniej.

Ładna jego, trochę zmęczona twarz ożywiła się nieco i z uśmiechem dodał:

— Wiesz co? Ja bym się chciał ożenić z nią i z tobą. Miałbym szczęście i spokój.

— O, wątpię! Powiadają pesymiści, że i jedna żona dokuczy — odparła. — Więc ci radzę nie turczyć się, aż po próbie z baronową...

— Przyjdź jutro na ślizgawkę, to ci opowiem rezultat dzisiejszej rozmowy. Tu się boję przychodzić. Stryjenka musi być wściekła.

— Ej nie! Już gniew minął. Nie lubię wprowadzić ślizgawki w tłumie, ale żeby ci dać dowód mych uczuć — przyjdę.

Filip wyszedł, ale prędzej niż dawniej opuściła go sztuczna radość i otucha. Nie doszedł do Rynku nawet i zawrócił na Planty.

Teraz szedł, bijąc się ze złymi myślami. Mieszkanie

swoje minął, gdy spotkał Sylwestra. Stary elegant używał też spaceru przed obiadem i czatował na znajomych.

Filip ucieszył się rad, że się rozerwie. Ruszyli dalej razem.

— Karnawał niepomyślny — kiwnął głową Sylwester.
— Tyle zdartych pantofli i rękawiczek, tyle młodzieży — i tylko cztery pary! To wstyd dla was, młodzi panowie.

— O, jam żadnych zamiarów nie miał. Zupełnie bezinteresownie obtańcowuję panny.

— Dareccy liczyli na ciebie. Filip ruszył ramionami.

— Widocznie są ślepi i głusi.

— Myślisz o baronowej? No wiesz, to jest epidemiczna choroba. Każdy to przeszedł, odsłużył tam swoje; więc ludzie wreszcie przywykli i tolerują to jako złe konieczne. To by ci nie przeszkodziło ożenić się bardzo porządnie. Poszłaby za ciebie Darecka i Janikowska, a sądzę, że i Powalska nie byłaby od tego. Chcesz? Mogę cię wyswatać.

— Obejdzie się. Mam już wybraną i jestem narzeczonym.

— To sekret? — ciekawie spytał stary.

— Czy pan udaje, że nie rozumie? — niecierpliwie burknął Filip. — Jestem narzeczonym baronowej.

Tu Sylwester na niego popatrzył, a potem zaczął się śmiać, aż mu łzami zasłyły oczy.

Osiecki się obraził i wybuchnął:

— Radzę panu przestać i wytłumaczyć się, co pan w tym znajduje tak zabawnego!

— Dwunasty, słowo daję, dwunasty! — zawołał stary, ocierając oczy fularem. — Daruj, mój drogi, ale to wreszcie hipochondryka by rozśmieszyło. Jedynastu przed tobą mówiło mi to samo!

— Mogę zaręczyć, że po mnie już nikt nie powie!

— A wierzę, wierzę, bo ona już wraca do męża.

Teraz z kolei Filip się drwiąco roześmiał.

— Bywają nowiny prawdopodobniejsze. Ta się panu nie udała. Mogę zaręczyć, że to się nigdy nie stanie — dodał tonem pewnym siebie.

Sylwester się zaperzył.

— A ja ręczę, że to się stanie. Faustanger już raz był, a pan o tym nie wiedział, proszę więc spytać o to baronowej. Był, teraz siedzi w San Remo nad konającym bratem, koresponduje z żoną, odnawia swój pałac na Morawach — no i lada dzień okaże się, że narzeczony pięknej pani — to żaden etat. Panu to przykre, nie wątpię, i mnie było w swoim czasie niemiłe! Ano, z mężem nie ma żartów, prawa jego najstarsze. Musimy ustąpić.

Słuchając Filip drwiąco się uśmiechał, ale odpowiedzieć nic nie zdołał. Dławiło go coś w gardle, przesłaniało oczy.

Szczyściem Sylwester odpowiedzi nie czekał i prawił dalej:

— Tę wiadomość dziś Oryż przywiózł. Posądzaliśmy go o różne ukryte sztuczki, a on siedział u rodziny na Podolu i tam się poznał z Faustangerem. Ma mu odnawiać freski w zamku i strasznie wskutek tego zhardział. Jak mi nie wierzysz, to go się zapytaj, a tymczasem chodź, przetrącimy co u Hawelki.

— Ba, żebym czas miał! Obiecałem się na tę godzinę do Malickiego — odparł Filip, przemóglszy pierwsze wrażenie.

Pożegnał starego plotkarza i zawrócił do domu. Potrzebował spokoju, aby ochłonać, przyjść do równowagi. Padł na kanapę w sypialni i wpatrzył się w portret.

— Jeśli kłamiesz, bądź przekłeta! Zabijesz mnie — zamruczał gwałtownie.

Wtem spostrzegł na płótnie drobny szczegół, który dotychczas uchodził jego uwagi. U samego spodu, wśród kwiatów, leżała prawie ukryta gałązka z jagodą *belladonny*. Wzdrygnął się, przypomniał sobie przezwisko dane przez Magdę. Że to ujrzał w tej chwili, zdało mu się fatalną wróżbą. Ogarnął go strach, zgroza, przecucie nieszczęścia. Zanim stanął do walki, zanim miał pewność, już się czuł pobitym.

— Nie wytrzymam, pójdę do niej. Powiem wszystko, niech mnie broni przed samym sobą — zawołał, zrywając się.

I poszedł. Po drodze spotkał Oryza.

Szedł w mróz odziany w kusą i lekką kurtkę, bez kaloszy i rękawiczek, z rękoma w kieszeniach i miną milionera. Gwizdał i śpiewał na przemian.

Gdy się mijali, Filipowi się zdało, że ten się drwiąco uśmiecha, więc go zaczął podobniez:

— Pan się widocznie do Włoch wybiera? Oryz ramionami wzruszył.

— Nie wziąłem żadnego spadku, więc nie mam po kim donaszać zimowej garderoby — odciął i zaraz złożył znów usta do gwizdania i poszedł dalej.

— Antypatyczna kreatura — mruknął Filip.

Od pierwszego wejrzenia czuł niechęć do tego człowieka, prawie wstręt. Bywają takie przecucia, że ten właśnie będzie wrogiem, rywalem lub narzędziem złego losu.

U drzwi baronowej długą chwilę Filip zbierał zmysły, zanim zadzwonił, potem z szalonym biciem serca liczył sekundy.

Było to jego zwykłe wejście do osobistych apartamentów pięknej pani. Służąca, opłacana po

królewsku, знаła jego sposób dzwonienia i zwykle otwierała natychmiast. Teraz dość długo nikt się nie zjawiał. On przechodził tortury, już chciał odejść, gdy wreszcie usłyszał kroki i odsuwanie zatrasku.

Subretka wytknęła swoją impertynencką twarz i rzekła szeptem:

— Starsza pani była u pani baronowej i tak się spierały, że nie śmiałam otworzyć. Dobrze, że pan przyszedł, a toby się zażarły!

— A pana nie było? — spytał jako o rzecz możliwą.

— Nie. Od tego czasu nie był, ino list przysłał. To o ten list tak się panie spierały — szepnęła i uciekła, bojąc się podejrzeń.

Filip wszedł do buduaru, gdzie było zupełnie ciemno; tylko na żelaznym kominku palił się ogień oświetlając leżącą na kanapie baronową. Radczyni umknęła, zostawiając jako ślad po sobie pelerynkę i książkę kucharską.

— Ach, to ty! — rzekła baronowa leniwym, apatycznym tonem, przeciągając się ruchem kocim i nie podnosząc oczu od ognia.

Nic nie odpowiedział, usiadł naprzeciw w fotelu i wsparł łokcie na kolanach, a głowę na rękach.

Zdziwiło ją milczenie, więc spojrzała na niego.

— Wracasz ze ślizgawki? Ja dziś byłam tak rozstrojona i rozdrażniona, że z domu nie wychodziłam.

— Któż cię rozgniewał, mąż? — spytał głucho.

— Matka, naturalnie! — odparła, nie zdradzając niczym, że ją przeraziło jego pytanie.

— Cóż to nowego?

— Ja proszę, błagam, żeby stąd wyjechać. Ten Kraków tak mi obmierzył, że wytrzymać dłużej nie mogę z nudów, a

ona mi przyrzeka wyjazd w maju.

Raziło go każde słowo, gorycz napępiała mu duszę i bunt się wzmagał.

— Czy ci tak pilno do San Remo pochwycić ordynata Faustangera i zobaczyć męża? — bryznął zjadliwym tonem.

Baronowej zamigotały oczy. Nie znosiła tego tonu, budził w niej złość i opór.

— Być może — odparła.

— W takim razie zbyteczna ci matki opieka i pieniądze. Mąż ją zastąpi...

— Zapewne — mruknęła, zacinając się coraz gorzej.

On głowę oburącz ścisnął i hamował jęk, który go dławił. Po długiej przerwie rzekł:

— Więc ja mogę już odejść?

— Jeśli podobnie zaczynasz — tak! Nie znoszę obraźliwości i docinków.

— A ja nie znoszę oszukaństwa.

— Jeszczem cię nie oszukiwała; może zacznę, gdy mnie będziesz traktował scenami zazdrości bez powodu.

— Oszukiwałaś, bo Faustangera przyjmujesz pomimo mej wiedzy i tajemnie.

— To się mylisz. Jestem u siebie i mogę przyjąć, kogo mi się podoba, bez prośby o pozwolenie od ciebie. Jestem wolna i pełnoletnia.

— Nie jesteś wolna, jak i ja wolny nie jestem. Cóż byś powiedziała, gdybym ja się ożenił?

— Powiedziałabym, że korzystasz ze swego prawa. Nie wymagałam od ciebie ani przysięg, ani zobowiązań. Miłość póty obowiązuje, póki trwa, potem — to kajdany i pusta forma. Byłby bardzo nierozsądnym, kto by się łączył na życie przez szal.

Podniósł głowę i patrzył na nią oczyma pełnymi zgrozy. Wrażenie odebrało mu mowę.

Potem się roześmiał dziko:

— Cha, cha, cha! Więc ty mi może radzisz się żenić! Dostaję dymisję w stopniu kochanka. Zapewne, Faustanger, ordynat, wart zgody! Ano, to przynajmniej szczerze. Szkoda, żeś mi nie dała na wstępie programu takiej gry. Stawki byłyby może równe i przegrana niebolesna.

— A kiedyż ja ci obiecywałam więcej, niż dałam? Oszalałeś czyś pijany? Było mi z tobą dobrze, płaciłam ci za to. Rachunki nasze wyrównane. Teraz zastanów się i bądź rozsądny. Faustanger na rozwód się nie zgadza. Jestem na łasce matki i mam tego dosyć. Nie mogę żyć w ciągłej walce o grosz w niewoli. Muszę życie uczynić możliwszym! To jest zupełnie zrozumiałe i jeśli mi nie przyznasz racji, to tylko dowód, żeś wielki samolub. Ja ci nigdy nie krępowałam swobody, bądź sprawiedliwym!

Wstał i słowa nie mówiąc, ku drzwiom się skierował. Coś na kształt ulgi mignęło w oczach baronowej, ale przemogła się i zawołała:

— Filipie, pamiętaj, żeś się zbuntował pierwszy.

— Bądź spokojna, formy zachowałam — odparł twardo i wyszedł.

Baronowa poczekała, aż się drzwi od schodów za nim zamknęły; wtedy sięgnęła pod poduszkę kanapy i wydobyła zmiętą kartkę. Przy świetle ogniska odczytała ją raz jeszcze:

“Pamiętaj, żeby mi gachów nie było od chwili, gdy te słowa odbierzesz, bo jeśli się ośmielisz ich utrzymywać, to ich i ciebie kijem ogrzmocę na środku Rynku, a potem

zamknę cię na całoroczne rekolekcje w baszcie. Ludwik dogorywa, szkoda go, bo więcej wart niż wy wszyscy. Bądź zdrowa i rachuj się ze mną.

Albert?

Baronowa uśmiechnęła się.

— Ten czuje swoją siłę i mówi jak pan — szepnęła. — Z takim warto walczyć i zdobyć albo ulec — dodała wzdrygając się rozkosznie.

A Filip nad ranem wrócił do domu i padł ubrany na posłanie. Zasnął zaraz i spał długo.

Obudził się o zmroku, dźwignął się i siadł, zbierając zmysły. Rozmyślał godzinę, potem wstał i poszedł do Magdy.

Służąca przyjęła go w sieni oznajmieniem, że panie poszły “na tańce” do państwa Malickich; więc wrócił do domu i przypomniawszy sobie, że i on miał na ten wieczór zaproszenie, przebrał się i pojechał.

Nie był to bal, ale trochę zabawy w kółku ścisłych znajomych. Doktor, gdy go zobaczył, bez ceremonii wziął za puls i zajrzał w oczy.

— Dobrze, żeś przyszedł. To był instynkt zachowawczy. Tańcz i flirtuj co niemiara, pij limoniadę, poty cię uratują.

Potem poufnie do ucha:

— Nie rzucaj pereł przed wieprze i nie kochaj się w mężatce, kiedy jest dziewczyna! No, ale za młodu to przechodzi bezkarnie. Będiesz zdrow, byle nie było recydywy.

Filip się roześmiał.

— Profesor nie może żyć bez diagnozy.

— Nałóg, mój drogi, i wprawa. Robię, co mogę, byle mieć pacjentów.

Weszli do salonu. Zaraz na wstępie zobaczył Filip Magdę tańczącą ze Stachem Malickim.

Spojrzeli na siebie: dojrzał w jej oczach niespokojne pytanie. Po chwili, gdy usiadła, zbliżył się do niej i rzekł:

— Jestem wolny!...

— Biedaku! — szepnęła z serdecznym współczuciem. Przesunął ręką po oczach i dodał:

— Nie cierpię nawet — tak pogardzam!

— Cóż to było?

— Jutro ci powiem. Dziś chcę się trochę opamiętać, zapomnieć, odurzyć. Doktor mi radzi tańce. Chodź, nie walcowałem nigdy z tobą i oprócz ciebie wstręt mam do wszystkich kobiet.

Okrążyli tańcząc parę razy salon i Filip rzekł:

— Dobrze tańczysz, tylko nie czuć ciebie w objęciu. Patrz, widzisz, jak się nam Sylwester przygląda. Muszę mu powiedzieć, że się żenię z tobą.

Powiedział to bezmyślnie prawie. Miał złą ochotę ludziom teraz kłamać, udawać, oszukiwać, byle nie dać im na pastwę swego bólu.

— Ludzie jak strusie łykają najniestrawniejsze baśni — odparła obojętnie Magda.

Myślała w tej chwili, czy jego spokój jest objawem płytkości duszy, czy siły w panowaniu nad sobą, czy obumarciem wszelkiego czucia wskutek cierpienia?

Jak zwykle żałowała, że nie ma Berwińskiej, by z nią o tym pomówić.

Filip zaś zbliżył się do Sylwestra.

— Cóż, dobrana z nas będzie para? — rzekł z uśmiechem.

— Więc tak? — zawołał stary. — Byłem pewny, że to się tym skończy. *On revient toujours...* Winszuję!

— I zazdroszczę — dodał Filip. — W czasie moich wędrówek słyszałem, że pan tam często wstępował.

— O! bezinteresownie! Miłość dla sztuki, nic więcej. Mam dla panny Magdy ojcowską życzliwość.

— Chcę wierzyć — szyderczo uśmiechnął się Filip. — Tymczasem daj mi pan też dowód życzliwości i nie rozgłaszaj naszej tajemnicy.

— Jak w studnię! — zawołał Sylwester, kładąc rękę na sercu i pochylając głowę.

Filip był pewien, że jutro będzie o tym wiedziało pół Krakowa.

I nie mylił się. W dwa dni potem gazeta Finka podała *Z notatek karnawału*:

“Dochodzą nas wieści, że w sferze artystycznej kojarzy się małżeństwo utalentowanego malarza, pana Filipa Osieckiego, z naszą sympatyczną artystką, panną Magdaleną Domontówną”.

W redakcji dnia tego tylko o tym była mowa.

Panowie komentowali nowinę wśród conceptów i zjadliwych dwuznaczników. Niekiedy spod oka spoglądali ku oknu, gdzie przy stole Oryż rysował ani słowem nie mieszając się do rozmowy.

Od dwóch dni pracował pilnie, przychodził ze słońcem, odchodził o północy, do nikogo się nie odzywał, nie palił, nie schodził na obiad. Musiała go bieda tego przycisnąć, gdy wziął się do znieawidzonej roboty; ale też praca ta była spełniana z najgorszym humorem. Nikt nie miał odwagi zaczepić go. Nawet wszechwładny Fink chodził na palcach i ledwie po jego odejściu oglądał gotowe rysunki.

— Jakie to bydlę ma zacięcie! — cmoknął zacierając

ręce. — Jakie to szczęście, że to jeszcze nie rozumie swej wartości, a toż by go zaraz porwała zagranica!

I strzegł się go pochwalić nawet zaocznie, żeby uwagi ogółu nań nie zwrócić.

Gdy mówiono o Magdzie i jej zaręczynach, Oryż jakby nie słyszał. Brzydka jego, śniada twarz, do której wrósł cynizm i lekceważenie, nie zmieniała się w niczym. Pochylony nad kartonem, z brwią ściągniętą i skupioną uwagą w oczach, gonił w pamięci obrazek, który rzucał na papier. Tak był zajęty i zły, że nawet nie gwizdał oberków.

Po południu, gdy gazeta obiegła miasto, do redakcji wpadł Stach Malicki jak zwykle roztargniony i nieuważny.

— Ej, prawda to, że Osiecki bierze Domontównę? — zawołał do Finka, rzucając kapelusz i laskę na stół Oryża i siadając na rogu.

— Ostrożnie! — zawołał przerażony redaktor.

— Ach, wlażem na Oryża! Patrzcie, to ty coś robisz? Pokaż no, a, to album krakowskie. Daj, obejrzę.

— Daj siebie sam do obejrzenia w menażerii, małpo — burknął Oryż, który nie cierpiał, gdy mu zagładano w rysunek, póki go miał pod ręką.

— Ty, słuchaj! Bądź no ostrożniejszym w epitetach, bo trafisz na kogoś, co nie będzie wiedział, żeś zwierz, i wyzwie cię.

— Jestem zanadto źle urodzony, żebym się bał szlacheckich idiotyzmów! Pójdiesz mi precz ze stołu? Czy chcesz wylecieć oknem?

Malicki usunął się ramionami ruszając.

— To ci tak dojechało to małżeństwo widocznie — rzucił jak strzałę Parta.

Fink usunął się, pewien skandalu, bo Oryż się obejrzał i żółte jego oczy pozieleniały ze złości. Popatrzał na

Malickiego i rzekł:

— Małżeństwa dojeżdżają może tobie. A że się Osiecki pobierze z Domontówną, to wiedziałem o wiele dawniej niż wszyscy.

— Może być, boś się w niej kochał. Aha, toś dostał czarną polewkę na ostatni obiad?

— Może ty sobie wyobrażasz, żeś komu potrzebny i miły, to się kochaj i oświadczaj. Ja wiem, com wart, i nikogo sobą nie częstuję.

— Patrzcie, a to ci pokorny i skromny!

— Wcale nie! Takie samo jestem bydlę jak i ty; tylko ty przybierasz formy człowieka, a ja sobie tej fatygi nie zadaję. Usuń się ze światła i odczep się ode mnie. Mam robotę, psia dola!

I zabrał się znów do rysunku.

Do zmroku ust więcej nie otworzył. Gdy ściemniało, odłożył ołówek i chwilę rozmyślał, patrząc chmurno przed siebie. Potem wstał żywo, wziął kapelusz i szalik, który stanowił sam jeden zimową garderobę.

— Pan każe podać już światło? — spytał go sługa redakcyjny.

— Jutro — burknął, przechodząc do gabinetu Finka.

— Daj mi pan dziesięć reńskich — rzekł. Fink zawahał się chwilę.

— Ale przyjdiesz jutro? Słowo?

— Słowa nigdy nie daję, ale złodziejem nie jestem. Jak nie przyjdę, to każę się przywieźć!

— Oryż, opamiętaj się, jeszcze tydzień! Proszę cię! Album zapowiedziałem na maj. Drzeworytnia przygotowana. Nie rób mi zawodu. Zaklinam cię na wszystkie świętości!

— Nie głupim mieć świętości na twoje zaklęcia. Dostyc

gadania. Dajesz dziesięć reńskich czy nie?

— Daję. Ty wiesz, że mam słabość do ciebie i zaufanie; ale może byś tu kazał przynieść kolację, może ze mną zjesz?

Dawał banknot, ale mu ręce drżały. Oryż pieniądze zmiął jak brudną szmatkę, wetknął do kieszeni i wyszedł. Fink wybiegł na schody.

— Słuchaj, ja wiem, że jutro wrócisz, ale tak na wypadek... gdzie cię można znaleźć?

— Na Wawelu, gdzieś mi obiecywał pracownię! — ozwał się ze śmiechem Oryż.

— Ucieknie! Jak Bóg miły, nie wróci, dopóki nie straci ostatniego centa! Po co ja mu dałem!

Żał był poniewczasie. Oryż już szedł na ulicę, już kupił cygaro, już szedł do knajpy. W brudnej, okopconej salce miał swoje miejsce w kącie i dawną znajomość z usługującą dziewczyną. Miał u niej kredyt i łaski, ratowała go nieraz od głodu, żywiła dla niego wielki, cichy sentyment. Pochodzili z jednej okolicy i ona nigdy do miasta nie mogła nawyknąć; brzydka była jak on i jak on poniewierana. Gdy wszedł, koleżanki chichocząc wypchnęły ją na salę: był to przedmiot drwin zwykły. Dziewczyna przyjmowała to spokojnie, z pewną nawet dumą. Stała przed Oryżem stolik, a gdy usiadł i milczał, oczu nie podnosząc, spytała:

— Dać panu kapusty czy flaków? Drgnął, jakby się przebudził.

— Nie będę nic jadł. Daj mi mocnego piwa. Gdy podała kufel, wyjął banknot z kieszeni i rzekł:

— Masz tu dziesięć reńskich. Prowadź rachunek sama. Będę pił i pił. Tu się pośpię. Rano, jeśli nie pójdę, to mnie każ dorozką odwieźć do redakcji pana Finka. Zapamiętasz?

— Jak pacierz — potwierdziła z całym przejęciem.

— No, to dolewaj bez komendy. Nie chce mi się gadać.

Dziewczyna spełniła rozkaz dosłownie. Kufel nie był minuty pusty. Oryż łokciami na stole się wsparł, ani spojrzął w stronę. Pił, wzdrygał się ze wstrętem i znowu pił.

W głowie jego było jednak zupełnie trzeźwo i to doprowadzało go do wściekłości. Chciał być pijanym, a nie mógł. Chciał myśleć — a tylko cierpieć. Nie starał się rezonować ani opamiętywać: chciał nie czuć i koniec.

Z początku, po przymusie całodziennym, był jak martwy. Bolały go nawet członki, w głowie bezładnie tłoczyły się wrażenia.

Potem zaciął nagle zęby i nieco zbielał, i przez oczy mignął mu rozdzierający duszę żal.

Nie próbował już sztydzić z siebie ani się okłamywać, jak człowiek śmiertelnie chory nie łudził się nadzieją. Śmierć szła po niego: więc patrzył jej w oczy, dziwił się, że żałuje nawet takiego życia, nawet takiej doli. Więc śmierć przecież jest czymś bardzo złym i strasznym, gdy go tak bolało. On się nigdy niczego nie spodziewał, nie żądał, o niczym nie marzył, a teraz nagle chwyciła go żałość okrutna i bezmierny smutek. Dlaczego? Tak niedawno pracował nad tym, by takie rozwiązanie sprowadzić...

Podniósł głowę i spostrzegł dziewczynę czatującą na pusty kufel.

— Macie dzisiejszą gazetę? — spytał.

Podawała natychmiast. Odszukał notatki z karnawału i wlepił oczy w parę linii: “Filip Osiecki i Magdalena Domontówna”.

Dwa nazwiska, dwa imiona, dwoje rąk w uścisku, dwie głowy pochylone ku sobie, dwoje ust w pocałunku i dwie

ślubne obrączki.

Oczy Oryża mgłą zaszyły, pały mu powieki i czuł, jak ból skręcał go i miażdżył.

Machinalnie wyszeptał:

— Z mojej świątyni relikwie ten sobie bierze za sprzęt domowy czy na zabawkę. Wolno mi cierpieć przecież, a ze świątyni co zrobić? Koszary, piwiarnie czy tancsałę? Wszystko jedno!

— — Wypróżnił kufel, głowę na rękach oparł i powtórzył z uczuciem, jakby nóż w ranie obracał:

— Mnie wolno cierpieć przecież.

I cierpiał. Powoli, jak wstążka, te dwa lata cnoty i statku przesuwwały mu się przed oczyma. Dzień po dniu je pamiętał z najdrobniejszymi szczegółami. Nikt jej nie znał tak jak on: znał jej pogodę i czystość, jej jasność i siłę, i bogactwo myśli, i uczuć delikatność.

Dwa lata i tyleż życia! Przedtem był zwierzem, teraz będzie umarłym, może znów bydłciem, jeśli przeżyje. Dwa lata. Chciał się jej za dobre odplacić, ułatwić jej szczęście. Może ona, tak jak on teraz, cierpiała, gdy ten bałamucił się z baronową, i jej kochanie gorzkie było i łzawe. Teraz będzie szczęśliwa.

Znowu wypił kufel i krzyknął na dziewczynę:

— Co ty mi za lurę dajesz? Mówiłem, że chcę mocnego! Daj wina!

Przyniosła mu butelkę i lampkę. Pił dalej...

Wreszcie zaczął tracić trzeźwość. Rojenie napępniało mu głowę, nabierał uczucia nietożsamości.

Zdało mu się, że nie jest biednym artystą bez sławy, chleba i dachu, ale młodym chłopakiem o gładkiej twarzy, do którego się fortuna uśmiecha. Kocha go Magda i on ją ubóstwia, a świat cały przychylnie na nich patrzy jak na

dwoje szczęśliwych i pięknych, i dobrych. Zdawało mu się, że spacerują gdzieś w górach wczesną wiosną, tarniny kwitną i skowronki śpiewają i idą tak pod rękę, i czasem spotykają się rozkochanymi oczyma, bez słowa, wiedząc, co myślą. Ona go prosi, aby jej zaśpiewał, więc on zaczyna...

Wtem się ocknął i aż się przeraził, i obejrzał wokoło.

Śpiewał naprawdę, ale wcale nie wesołą piosenkę szczęścia, jeno smutną ludową dumkę:

*Przyszedł Wojtek do tatusiów i wziął
dziewczynę,
A ja bez niej nieszczęśliwy chyba już zginę.
Matulu! chyba już zginę!*

W sali nie było już nikogo — nikt na niego nie zwracał uwagi, ale on się oburzył sam na siebie za takie głupie marzenie i zamruczał:

— Bestio, kto ci pozwolił! Cierpieć wolno — ale nie marzyć jak student. Ty, słyszysz, ostrożnie, bo cię w takim błocie za karę utopię, że ci się odechce śpiewów i spacerów na zawsze!

I tak z sobą się rozmówiwszy, chwilę był mocniejszym, ale wnet go znowu opadła tęsknota.

— Żeby ją zobaczyć, choć światło w oknie, choć przechodzącą na ulicy, choć głos posłyszeć.

Więc znów zakrzyknął:

— Jeszcze się odzywasz! Będiesz milczał! Mało ci pijaństwa, chcesz może rozpusty? Chcesz?

Wzrok miał dziki i dyszał, wściekły już na siebie za słabość. Marzenie umilkło. Z dna dobywały się złe instynkty i ogarniały go wraz z oparami trunku. Już szydził

z siebie:

— Zakochał się pies w księżycu i wyje! To ci osobliwość! Jest nad czym rozmyślać! Księżyc nie dla psa! Nie wiedziałeś o tym? to szkoda. Ale zresztą każdy to wie. Pies zostanie psem. Znajdzie kość, czasem flaki i nocleg w śmieciu. To jego los i życie. Jak zdechnie, to go sprzątną, by nie zapowietrzała ulicy... Cała historia!

Wyprostował się, a że mu głowa ciężyla, więc ją oparł o ścianę i patrząc mgławo przed siebie zaśpiewał ochryplym głosem:

*Za Maćkowym, za przelazkiem
Zmawiata się Basia z Jaśkiem,
Matula to zobaczyli,
Baśkę kijem wystudzili!*

A potem już Oryż nie pamiętał, co się z nim działo. Ocknął się, bo go ktoś trząśł za ramię. Była to usługująca dziewczyna, a on na pół leżał na stole.

— Panie, panie! Czy pan sam pójdzie, czy zawołać fiakra? — pytała sumiennie.

Zerwał się, prędko opamiętał.

— Pójdę. Daj mi kieliszek wódki!

Wypił i poszedł. Mróz był silny, a jego z niewczasu, głodu i przepicia wstrząsały dreszcze. Najchętniej poszedłby zaraz do Wisły i utopił się, tak mu nieznośnie było moralnie i fizycznie, ale wnet i na spełnienie tego zamiaru nie mógł dobrać z siebie dość woli.

— Na to zawsze będzie czas! Muszę tę psią robotę skończyć, wzięłem pieniądze. Muszę — zamruczał desperacko, z trudem wchodząc na schody.

.....
.....
Osiecka z gazetą w ręku wpadła do Magdy.

— Słyszałaś? To bezczelność. Drukują bez ceremonii, że Filip z tobą się żeni — zawołała.

Magda przeczytała i ruszyła ramionami.

— Filip żartem to powiedział Sylwestrowi onegdaj na wieczorze u Malickich, a ten, naturalnie, roztrąbił po mieście.

— Ładne żarty! Jak możesz na to pozwalać? Toż cię kompromituje!

— Dajże pokój! Kto zważa na gazeciarskie baję! Zapełniają byle czym szpalty, a ci, którzy byle co czytają, połkną i to bez wrażenia. Posłuchaj lepiej, jak tu ślicznie Loki opisany, gdy leżąc na głazach, wśród rzeki, przysłuchuje się naradzie bogów. Pyszny obraz.

— Masz źle w głowie i basta! — mruknęła Osiecka wychodząc oburzona.

Tak tę wiadomość, która tyle zajmowała miasto, przyjęła główna osoba.

Magda rozkoszowała się dalej Dahnem, potem poszła na spacer, a wieczorem przygotowała płótno na pierwszą *Stację* dla siostrzyczek.

Nazajutrz po rannej mszy zabrała się do dzieła z wielką ochotą i zajęciem.

Przy robocie zastała ją Berwińska. Tę też sprowadziła do niej, w roboczy dzień, gazeciarska wzmianka.

— Prawda to? — spytała niespokojnie.

— Skąd? Że też ty możesz nawet pytać!

— Dlaczego? Wszystko bywa!

— No, nie. To już zanadto nieprawdopodobne. Z

baronową zerwał tymi dniami. Biedny cierpi jak potępieniec, a jego żenią.

— Zerwał? Dlaczego?

— Nie wiem. Obiecał przyjść do mnie z opowieścią, ale oto dwa dni go nie widać. No, niesłodkie mu te dni! Serdecznie mi go żal. Dawał złoto, brał liczmany. To boli nieznośnie.

Berwińska myślała coś długą chwilę, wreszcie spytała:

— Nie widziałas Oryża?

— Nie raczył się przypomnieć.

— Biedak! — zamruczała Berwińska.

— Co się tak nad nim litujesz?

— Ano, czy myślisz, że tylko twój Filip wart litości i współczucia? Mnie bardziej Oryża szkoda, bo ten więcej wart. Spotkałam go dziś bardzo rano, szedł do redakcji i był pijany czy może już chory.

— Gniewam się na niego za te fantazje. Wie przecież, że go lubię — mógłby przyjść.

Berwińska ruszyła ramionami. Była między nimi wielka różnica. Magda była zawsze kochana, miała rodzinę, szczęście w życiu, swobodę i spokój. Nie umiała odczuć wydziedziczonych, nieśmiałych i poniewieranych. Dla Berwińskiej Oryż był druhem i bratem.

— Więc stanowczo nie będziesz żoną Osieckiego? — spytała, patrząc bystro na artystkę.

Magda przestała malować, podumała chwilę i odparła powoli:

— Wiesz, że go kocham i że sobie przysięgła nigdy go nie odstąpić. Wiesz także, że on teraz będzie bardzo nieszczęśliwym; ale ja nie wierzę, bym go nawet ofiarą swego życia uratować mogła. Więc ofiary takiej nie chcę — i on o tym nie myśli.

Odpowiedź nie podobała się Berwińskiej. Nie powiedziała jednak nic i chwilę jeszcze zabawiwszy, pożegnała przyjaciółkę.

Magda malowała do zmroku. Wieczorem Osiecka miała minę kota, który obchodzi wkóło miskę z gorącym mlekiem, ale przecież kwestii nie wszczyniała. Nazajutrz jednak znajomi zaczęli zaczepiać Magdę pytaniami i życzeniami; kto tylko spotkał, miał okolicznościowy uśmiech, i słowo. Osiecka pytano o dzień ślubu.

Zacną matronę wyprowadziło to z cierpliwości. Napadła na siostrę tak ostro, że artystka wzięła arkusz papieru i napisała do Filipa:

“Proszę cię, żebyś zaraz po odebraniu niniejszego listu udał się do Sylwestra i powiedział mu, że się żenisz z kim sobie chcesz, byle nie ze mną. Rola twojej narzeczonej może być bardzo zaszczytną, ale nie sprawia mi żadnej przyjemności, a naraża mnie na zakłócenie domowego spokoju”.

Na list nie było odpowiedzi, ale i nie było odwołania w gazecie, więc zły humor Osieckiej wzbierał jak burzliwe morze — i na najgorszą chwilę wpadł Filip pewnego popołudnia, gdy właśnie jej zastać w domu się nie spodziewał.

Tymczasem ona sama otworzyła drzwi i na jego widok uczuła, że jak nie zrobi sceny, to ją krew zaleje.

— Czego tu! — krzyknęła, nie spuszczać kłamki.

— Ja do Magdy! — odparł spokojnie, ale stanowczo.

— Marsz do redakcji przede wszystkim, żeby mi ten paszkwil odwołano.

— Przepraszam, stryjenko, cóż to za paszkwil? Nie

jestem zbrodniarzem ani fałszerzem, ani nie popełniam bigamii. Wolno mi żenić się jak każdemu innemu.

— Nie wolno, ja ci powiadam! Nie jesteś wart żadnej uczciwej dziewczyny. Masz tu lustro, może się przejrzysz! Wyglądasz od razu jak zbrodzień i fałszerz, i bigam! Magda nie ma czasu i ochoty gadać z takim urwisem!

— Jak mi to sama powie, wtedy odejdę. Tymczasem mam do niej interes i widzieć się muszę. A stryjenka niech mi nie wymyśla. Jestem niezdrów i bardzo słaby, krzyk słyszę jak szum wody w uszach topielca — i tyleż skutku. Proszę mnie puścić do Magdy, muszę z nią pomówić.

Podniósł oczy po raz pierwszy i musiało być coś bardzo wymownego w tym spojrzeniu, bo Osiecka odstąpiła ode drzwi i rzekła innym tonem:

— Ano, to idź zresztą, ale odwołać musisz. Ja cię dopilnuję, bądź pewny!

Filip jak automat zdjął futro i poszedł przez salon do pracowni. Majorowa chwilę się wahała, czy iść za nim, ale się rozmyśliła i mruknęła wracając do swego pokoju:

— Da sobie sama radę!

Magda słyszała gwar w sieni i poznała głos Filipa. Bywają te szczególne przeczucia jakby sygnały niebezpieczeństwa. Serce jej zaczęło bić i nieokreślony niepokój ogarnął duszę. Chciała odzyskać panowanie nad sobą i czytała dalej; gdy wszedł, nie podniosła oczu, czekając powitania. Ale on ani witał, ani odzywał się: przyszedł do kanapki i u jej nóg usiadł z głębokim westchnieniem.

— Co ci? — spytała bezwiednie kładąc dłoń na głowie.

— O, Psyche, ulituj się nad moją duszą! — jęknął patrząc na nią mgławo. — Jestem tak bezbrzeżnie nieszczęśliwy — tak sam, tak biedny! Życ nie mogę, nie

chęć. Nie daj mi śmierci sobie uczynić. Broń mnie przed samym sobą!

— Biedaku mój, rozumiem, jak ci źle. Cóż, wszystko stracone?

— Wszystko. Podeptała mnie jak zielsko, a jam ją tak kochał! Teraz wśród tych zgliszcz pożar we mnie dogasa, strawiwszy do cna. Chciałem zrobić koniec, ale ciebie wspomniał i przyszedłem błagać ratunku. Weź mnie, niech mam obronę i choć jedną duszę zycziwą, swoją.

— Masz, bracie, nigdy cię nie odstąpiła. Cóż chcesz, abym ci uczyniła?

— Bądź moją. Ja muszę tę myśl, to uczucie mieć w sobie, ja muszę dla kogoś żyć — to przetrwam; kogoś kochać — to rozpacz odpędzę, ja chcę dla kogoś pracować, mieć obowiązki, opiekę, własność i skarb! Magdo, kochałaś mnie niegdyś — bądź moją!

Magda wzdrygnęła się jak przed zmorą, ale opanowawszy się odparła:

— Filipie, czyś w obłędzie? Kochasz tamtą i kochać będziesz. To złuda; ja ci dziś ratunkiem ani ochroną być nie mogę. Żądasz ofiary wielkiej i bezskutecznej.

— Nie, ja wiem, co we mnie jest. Ze wszystkich wiar i ideałów tyś jedna została. Ulituj się nade mną. Ty mnie nauczysz na nowo czuć i pracować, i żyć. Ja proszę miłosierdzia. Gdy mnie odtrącisz, wiem, że zginę. Wiesz? To, co mnie tu do ciebie przywiodło, to instynkt zachowawczy. Ja nie kłamię ani szaleję. Łamałem się z sobą wiele godzin, całe dnie, przyszedłem zdecydowany — od ciebie pójdę albo na cmentarz, albo do kościoła.

Magda już odzyskała przytomność.

— Ode mnie pójdziesz do swego mieszkania, opamiętasz się, spokojnie rozmyślisz i mnie dasz czas do

namysłu. Za trzy dni, jeśli zamiaru nie zmienisz, wróc tu, posłyszysz moją radę i decyzję. A teraz dosyć o tym, wyjdź spod tego zaklęcia, zmusz siebie zająć się czym innym. Cóż znowu! Nie jesteś dzieckiem, życie tak każdego doświadcza i łamie, a przecie ludzie z tego wychodzą. Może ona do ciebie wróci!...

— Nie mów mi o niej, bo plwać będę! Dzięki Bogu, umarła dla mnie zupełnie.

— Zaczekasz z pogrzebem, żeby nie pochować w letargu — zaśmiała się, ale był to śmiech sztuczny i bolał ją. Dłoń jej spoczywała na jego głowie, a on do kolan jej się tulił jak dziecko wylękłe i nieszczęśliwe.

Bezwiednie włos jego złoty przyglądziła z pieśczołą i spojrziała na tę głowę, którą całe życie uważała za swoją. Była w jej uczuciu tkliwość matki i siostry; żadnej żądz, tylko żądza ofiary.

A Filip w tej chwili doznawał wielkiego ukojenia i otuchy. Przyszedł i mówił pod wrażeniem bólu, z chęcią zemsty; teraz dopiero sam odczuł, że krok ten był dobrym i że od niej jednej przyjdzie mu ratunek.

Opadła go chęć, by zaraz otrzymać słowo i tę dłoń tak silną i dobrą, by wyjść stąd z pewnością nowego życia i obowiązku.

— Powiedz dziś zaraz! — jął prosić. — Niech stąd odejdę już twoim.

— Nie, to niepodobna. Muszę się z siłami obrachować, rozmyślić, może wiele rzeczy pożegnać. Idź w spokoju; myślę, że ty sam nawet nie potrafisz tak dbać o siebie, jak ja dbam o ciebie. Zaufaj mi!

Podniósł się z zalem. Miał tę wrażliwą naturę, że już dręczyła go trzydniowa niepewność. Już miał złudzenie, że ją kocha.

Przeprowadziła go do sieni i rzekła serdecznie:

— Jeśli ci ciężko będzie samemu, przyjdź wieczorem.

— Stryjny się boję — rzekł z uśmiechem.

— Nie bój się; nic ci nie powie przykrego.

Podala mu rękę, którą do ust podniósł i wyszedł, raz jeszcze ogarnawszy ją proszącym spojrzeniem.

Wróciła do pracowni i zebrała farby. Robić nic nie mogła, musiała skupić uwagę raz pierwszy na swój los.

Ale zaledwie upłynęło pięć minut, ukazała się Osiecka.

— Czego on chciał? — spytała niespokojnie.

— Chce się żenić ze mną — odparła.

— Bagatela, tylko tyle! Prędko baronową strawił! Jakbym widziała jego ojca.

— Zostawiłam sobie trzy dni do namysłu — mówiła Magda dalej.

— Jak to? A cóż tu jest do namysłu? Trzeba go było krótko i wężłowato odesłać do redakcji, a potem do baronowej.

— Tak, a on w tym rozdrażnieniu i kłęsce poszedłby na zatracenie ostateczne. Mam dla niego wiele obowiązków i tak odpłacać nie chcę.

— Nic nie rozumiem! Więc ty naprawdę go kochasz?

— Tak — odparła Magda spokojnie, patrząc jej jasno w oczy.

— I wyobrażasz sobie, że na niego liczyć możesz, zaufać, że on potrafi cię ocenić i zapewnić spokojną przyszłość? Oszalałaś?

— Nie! Wyobrażam sobie, że go w tej chwili uratuję od złego. Potem, gdy przeboleje cios, który go spotkał, opuści mnie najobojętniej w świecie dla pierwszej lepszej fantazji lub dla tej samej baronowej.

— No więc po co idziesz? Zgotujesz sobie nieszczęście,

a jego nie przerobisz.

— Tak, na niego nie liczę, ale on będzie miał w życiu na kogo liczyć. Jestem zupełnie świadoma tego, co mnie czeka, ale jeśli zdecyduję, że jemu się to opłaci — to niech będzie.

Osiecka spoważniała i bez wybuchu rzekła:

— To jest ofiara nad siły, ale jeśli kochasz, próżno ci przemawiać do rozsądku. Szkoda mi ciebie. Ano, sobą rządysz! W każdym razie będę zawsze z tobą i to mnie cieszy, że złego się spodziewasz. Teraz rozumiem, że musisz się namyślić.

— On tu przyjdzie wieczorem. Proszę cię, Maryniu, żadnej wzmianki, żadnego wyrzutu. Może on sam do równowagi wróci przez te trzy dni.

Osiecka chmurno popatrzyła w okno.

— Po coś właśnie jego pokochała? — szepnęła. — Ja winnam! To pewnie było wtedy we Włoszech? Kto by się spodziewał? Ognia i młodych nie trzeba nigdy zostawiać bez dozoru.

Magda ruszyła ramionami.

— Tyś nic nie winna. Byłaś mi najlepszą opiekunką. I teraz nie martw się przedwcześnie. Może nic z tego nie będzie. Wyjdę teraz na spacer i wstąpię do Berwińskiej.

Uścisnęła serdecznie siostrę i zaczęła się ubierać. Pierwszy raz w życiu miała chaos. Usiłowała rozgmatwać swe uczucia.

Na ulicy ostre powietrze i ruch otrzeźwiły ją nieco. Zdawało się jej to szaleństwem. Po co, na co, dlaczego! Jestem dla niego niczym i pozostanę niczym. Oszaleliśmy oboje: on, aby mi to proponować, ja, żeby się wahać!

Przechodziła ulicę w poprzek i ledwie umknęła przed powozem baronowej. Otulona w sobole, patrzyła

lekceważąco, z góry na ludzi. Wzrok ich się spotkał: skinęła głową Magdzie z wyrazem subtelного szyderstwa, politowania i triumfu.

Wzrok ten zabolął artystkę jak policzek. Oburzyła się i krew jej nabiegła do skroni.

— Czy ona myśli, że jam już na ziemi i że on nie powstanie, zdeptany przez nią?

Napłynęły jej żywsze myśli i nadzieje.

— Co bądź się potem stanie, nie będę mu nigdy kulą u nogi. Zostawię mu zupełną swobodę, ale położenie moje będzie silniejsze. Teraz, gdy jest tu niedaleko, trafi do mnie, ale gdyby odjechał, straciłabym go spod wpływu opieki. Nie mam żadnych praw! Drogo płacić trzeba za niedolę nawet.

Uśmiechnęła się gorzko i dodała:

— Berwińska mi to wszystko obrachuje. Będę miała bilans gotowy!

Weszła do sionki niskiej i ciemnej i ledwie znalazła drzwi. Była to sobota, więc Berwińska wracała wcześniej do domu.

Na jej pukanie ktoś się poruszył i we drzwiach stanął Oryż.

Nie uklonił się ani słowa nie rzekł, usunął się pod ścianę i drogę jej oswobodził, a potem poszedł w kąt ciemny pokoju i przysiadł na zydlu pod ścianą, opierając głowę o mur i przymykając oczy jak do drzemki.

— Pan tu sam? — spytała zdziwiona Magda.

— Dozoruję starego, ale śpi w tej chwili. Panna Berwińska przyjdzie za pół godziny.

— Zaczekam.

Usiadła przy oknie, przez które wpadało do izdebki, bardzo ubogiej, trochę zmierzchającego się światła.

Chciała myśleć, ale jej Oryż przeszkadzał. Rozgniewało ją to, że jej nie powitał, a teraz milczy, jakby był obrażony. Odwykła już od tego zachowania się, więc ją raziło.

Po długiej chwili milczenia rzekła:

— Może pan lampę zapali?

— Nie trzeba; blask staremu szkodzi.

— Co mu jest?

— Ano, to co każdemu będzie... kres.

— Tak źle?

— Wczoraj atak paraliżu — mruknął.

— Był doktor?

— Był Malicki sam. Powiedział, że ma termin do tygodnia.

— Biedna ona — szepnęła Magda, a potem spytała: — Pan tu dawno?

— Zgodziłem się siedzieć w dzień, a jak ona z siłą spadnie, to i w nocy.

Za parawanem w kącie odezwało się stęknięcie, więc Oryż wstał i tam się wsunął. Słysząc było, że zmieniał zimny okład na głowie chorego i przy nim już pozostał.

Znowu Magda chciała myśleć o sobie, ale jej znowu Oryż przeszkadzał.

Widziała go chwilę we drzwiach. Wychudł i szerniał, a co najgorsza, miał wyraz tępy i bezmyślny, jakby wiele przecierpiał.

Czy też to prawdą było, co jej mówiła Berwińska, że on ją kocha?

Po chwili Oryż wrócił na swe miejsce pod ścianę, a ona znowu zagała pierwsza rozmowę:

— Czemu to pan nas nie odwiedzi?

— Nie po tom pożegnał i wyniósł się, aby witać i wracać.

— Czy się panu jaka krzywda u nas stała?

— Mnie nikt nie może zrobić krzywdy — odparł pogardliwie.

— Odwiedzał pan Boińską?

— Nie.

— Ona mi poleciła podziękować panu za serdeczną opiekę.

— Głupia — mruknął Oryż.

Znowu milczenie. Nagle on się odezwał:

— A kiedyż to ślub pani?

— Mój ślub? — drgnęła na ten wyraz. — Ja jeszcze nie wiem, czy on będzie nawet...

W ciemności oczy jego rozgorzały i swobodnie w nią się wpatrywał. Roześmiał się wnet potem.

— A to się warto pośpieszyć, bo Popielec nie czeka — rzekł szyderczo.

— Pojutrze będę wiedziała — rzekła z cicha i smutnie. Wstała i zaczęła naciągać rękawiczki. Nie była to chwila do zajmowania Berwińskiej swymi sprawami i nawet te sprawy wydały jej się wobec tej śmierci, która tu wchodziła, bardzo marnymi i pustymi. Zawahała się chwilę i rzekła do Oryża:

— Może im brak środków? — szepnęła poufnie.

— Starczy, niedługo już! — odparł apatycznie zmienionym głosem.

— Więc proszę tylko powiedzieć Berwińskiej, zem była i że jutro przyjdę.

Wróciła do domu i już zastała Filipa. Rozmawiał zupełnie zgodnie z Osiecką. Spojrzył na nią pytającym wzrokiem, a widząc swobodny wyraz twarzy, poweselał. Coraz bardziej utrwalał się w pojęciu, że ją kocha.

Osiecka wyglądała pojednana. Po parogodzinnym

namyśle przyszła do przekonania, że Magda niewiele straci i niewiele skorzysta wychodząc za Filipa, a jeśli już ma kogo poślubić, lepiej swojego towarzysza i kolegę niż obcego.

“Tego znam, że jest ladaco, więc można się obwarować — innego znać nie będę. Ten nie ma rodziny — wejdzie do naszego domu. Magdy z nim nie stracę, a uratujemy choć resztki spadku. Ostatecznie lepsze złe wiadome niż nieznanne. Niech się dzieje wola Boża!”

Miał tedy Filip w niej coś na kształt sprzymierzeńca.

Gdy odszedł, majorowa rzekła do siostry:

— Wiesz co, myślę, że możeś i mądrze obmyśliła. Przesaną ludzie gadać przynajmniej o tobie.

Magda nic nie odrzekła. Ten wzgląd był tak daleki od jej poglądów i celów. Uczyniło się jej bardzo smutno i odczuła w dwójnasób brak Berwińskiej. Ta by ją pojęła i może dodała otuchy, ale nie mogło być mowy o rozmowie w tych warunkach.

Była zupełnie zostawiona sama sobie.

Jej energiczny, prosty umysł nie znosił długiego wahania i niepewności.

Gdy się położyła do łóżka, zebrała myśli i rozpoczęła z sobą krótki egzamin.

“Kochasz jego duszę, chcesz uczynić mu ofiarę z siebie, uważasz to za swój obowiązek. Po co się wahasz? Jemu nie wierzysz, sobie nie ufasz. Czegóż się lękasz? Nikt ci tego doradzać nie może, bo to absurd. Nie ma prawdopodobieństwa, żeby to on ocenił ani żeby się przekształcił; ale ty na to się odważasz, więc to rzecz skończona. Będiesz jego żoną, będziesz miała prawa, które on podepce, ale które ci dadzą możliwość dopilnowania go w niedoli, łacniej niż teraz. Więc nie potrzebujesz się

radzić nikogo, tylko sił własnych. Długo żyłaś bez troski jakby nie na ziemi. Chcesz spróbować niedoli i walki: wolno ci. Ale w takim razie po co wahanie się i żal nad sobą? Nie byłaś nigdy tchórzem; bądźże i nadal śmiałością!”

Zrobiło się jej raźniej. Nie było to szczęście i zadowolenie, ale była równowaga i spokój. Zaraz potem przyszła otucha i nadzieja.

“Przecież może artyzm jego uratuję i spoi nas braterstwo ducha” — pomyślała już zdecydowana ostatecznie.

I jakby oswobodzona od zmory, zasnęła twardo i spokojnie, tylko w ostatniej chwili przed zaśnięciem w oczach jej przemknęły dwa cienie: Oryza i baronowej.

VII

Ślub ich odbył się w ostatnią niedzielę karnawału. Oboje nie chcieli rozgłosu ani pustej ciekawości tłumu: wybrali więc bardzo wczesną godzinę i nie rozsyłali zaproszeń.

Osiecka była oburzona w swych tradycjach, gdy Magda nie chciała weselnego stroju ani wesela; ale musiała ustąpić obojgu, pomimo że gderała zawzięcie.

Owego tedy ranka poszli we dwoje do Panny Marii i wzięli ślub. Malicki i Sylwester podpisali się jako świadkowie i na tym się ceremonia skończyła. Kościół był prawie pusty i nikogo znajomego. Tylko Magdzie się zdało, że przez sekundę za filarem widziała Oryza.

Świadkowie pożegnali ich zaraz po ceremonii. Malicki śpieszył się na konsylium, Sylwester — by nowinę roznieść po całym mieście.

Poszli pod rękę ku domowi. Osiecka poprzedziła ich wzruszona do głębi.

— Taki ślub to skandal! Znowu o nich tylko gadać będą. Dobrało się dwoje postrzelonych! Boże, co to dalej będzie!

Filip rękę Magdy do siebie przyciskał, ale ona wcale nie wyglądała na sentymentalną.

Owszem, żartowała z konceptów Malickiego i cieszyła się z Sylwestra, który przy obrzędzie kilka razy wzdychał.

— To tak z zazdrości o mnie — uśmiechnął się Filip, szukając jej oczu.

— Bynajmniej. To ze strachu, by go kto z nowinką nie uprzedził. Boże, ile on pięter dzisiaj schodzi z naszej racji! — odparła swobodnie.

Przyszli do domu. Ponieważ Osiecka płakała na samą

myśl stracenia Magdy, więc Filip tymczasem donajął sąsiednie dwa pokoje i tam się ulokował.

Przez te trzy tygodnie zupełnie wrócił do równowagi. W towarzystwie zawsze wesołej Magdy odzyskał dawny humor i wrażenie człowieka, który powstał z ciężkiej choroby. Czuł się uratowanym, roił o swobodnej, dobrej przyszłości.

Baronową spotykał chwilowo na ulicy. Wtedy doznawał uczucia bólu i niepokoju, ale tylko chwilowo, i gwałtem od tego myśl odwracał. Chciał zapomnieć i uciekał do Magdy, szukał jej oczu, prawił czułości, całował ją po rękach. Trochę go raził jej humor niefrasobliwy, ale myśl, że należą do siebie, dodawała mu wiary na przyszłość.

Po ślubie Magda pozostała tą samą. Zabrała się do roboty jak każdego dnia, a jemu kazała sobie czytać głośno.

Gdy mruczał niechętnie, rzekła tonem, jakim się dzieci pociesza:

— Bądź grzeczny i nie grymas. Im prędzej robotę skończę, tym prędzej do Włoch wyjedziemy. Żebyś był poczciwy mąż, tobyś wziął drugie stalugi i połowę mojej roboty na swoje barki.

— Wezmę, ale ci popsuję opinię. Nie mogę już malować. Zanadtom sobą i tobą zajęty.

Jednakże ustawił stalugi i wziął się do pracy. Widząc jej radość, zajął się szczerze i tydzień wytrwał. Potem któregoś dnia pędzel rzucił i ponuro się zamyślił.

Przestała i ona malować i spojrzała nań z niepokojem:

— Zmęczyłeś się? Chodźmy na spacer!

— Nie zmęczyłem się, ale czuję, że już nie jestem zdolny nic stworzyć. Ta robota to nie zapal i nie natchnienie, tylko rzemiosło.

Ścisnęło jej się serce i nie nakłaniała więcej. Ale

wskutek tego stał się rozdźwięk między nimi. On w swojej beczynności zaczynał się nudzić, a ona to czuła z wielką przykrością i trwogą. Często w pracowni panowało milczenie, którego ona przerwać nie umiała, szukając daremnie w myśli przedmiotu wspólnego zajęcia, a którego on przerwać nie chciał, co dzień bardziej zrażony jej pozorną dla niego obojętnością.

Wtedy złe myśli go opadały: wspomnienia gorących spojrzeń i uścisków baronowej, jej półsłówka drażniące, jej rozmowy, jej zajęcie, gdy o sobie opowiadał, jej zalotne pieszczoty. Tak niedawno się przekonał, że to była sztuka i fałsz; teraz o tym zapomniał i porównywał postępowanie baronowej z zachowaniem Magdy, i miał do niej żal, że go tym samym, co tamta, nie karmi.

Ona zaś zamykała się w sobie i nie chciała mu być natrętną, bo upiór baronowej stał wciąż w jej oczach i pamięci, mroził każdy serdeczny poryw.

I tak po kilku tygodniach oboje dalszymi się czuli i bardziej obcymi sobie niż przed ślubem, oboje zrozumieli, że idą do gorszego, i przestali już nawet mówić o przeszłości.

W całym domu jedna Osiecka czuła się zupełnie zadowoloną. Zapomniała już o “skandalu” ślubnym, cieszyła się statkiem Filipa, obecnością Magdy i zakończeniem uwłaczających plotek.

Młodzi, napędzani przez nią, złożyli wizyty. Znowu salon jej był pełen przyjęcia, z uśmiechem przyjmowała powinszowania znajomych, a co najlepsze, namówiła Filipa, aby jej oddał do przechowania większą część kapitału.

Tej jednej upiór baronowej wcale nie prześladował; przeszłość widziała w różowych barwach.

Dziwna rzecz, Magda nie pomyślała teraz o zwierzeniu się Berwińskiej. Wprawdzie po śmierci starego delikatność ją wstrzymywała, ale przy tym przybył jej nowy wzgląd. Nie chciała mówić o Filipie, nie chciała być stronną. “Możem ja winna, a będzie wyglądało, że on. Zresztą, jeśli wobec niego milczę, nie powinnam nikomu innemu mówić”.

Po paru tygodniach bardzo porządnego i monotonnego życia w domu Filip któregoś ranka rzekł do żony:

— Nie jestem ci bardzo potrzebny przy pracy. Pójdę do Malickiego na parę godzin.

— Idź i baw się — odparła ze zwykłym uśmiechem.

Poszedł, a ona, nasłuchując jego kroków na schodach, szepnęła do siebie:

— Wyrwał się jak więzień na swobodę.

Jednakże dnia tego wrócił na oznaczoną godzinę i był weselszy. Wieczorem we troje poszli do teatru. Naprzeciw nich w łoży siedziała baronowa z matką, ale pomimo bacznej uwagi Magda nie spostrzegła, by Filip choć raz spojrzął ku niej. Piękna pani była, jak zwykle, celem spojrzeń i uwag; nadzwyczajna jej uroda musiała wywierać wrażenie, pociągać najobojętniejszych. Łoża jej pełna była odwiedzających mężczyzn, a z sali ścigały ją spojrzenia nieznanomych.

Rzecz szczególna. Magda, tak zawsze śmiała z Filipem, teraz nie odważyłaby się spytać go o wrażenie, jakie baronowa na nim wywiera, a on, który ją życie całe miał za powiernicę, teraz nie pomyślał nawet, by jej powiedzieć, co myślał i co czuł.

W powrocie do domu tylko Osiecka mówiła, oni oboje milczeli, myśląc może to samo, mimo woli smutni i zgnębieni.

Jednocześnie baronowa wracała z matką i tak jak oni milczała, słuchając znudzona gawędy radczyni.

— Dziś powinna przyjść depesza od Alberta.

— Dlaczego koniecznie dzisiaj?

— Bo mi się śniły czarne konie, a to oznacza pogrzeb. Zresztą pisał przecież, że Ludwika życie na dni policzone.

— Cóż z tego! Jeżeli myślisz, że mu będzie pilno do mnie, to się grubo mylisz.

— Ech, to farsa! Musi żonę zabrać. Masz prawo o to się upomnieć.

— Tak, ale on ma list, w którym mu zapowiadam, że zwalnim go od wszelkiej nad sobą opieki. Listy ty dyktowałaś...

— Wtedy było co innego. Warunki się zmieniły.

— A wiesz, czego on chce teraz? Żebym się u nóg jego czołgała!

Wściekłość była w głosie baronowej.

— Moja droga, za to, co ci teraz dać może, to tę scenę warto mu urządzić!

— Cha, cha! — zaśmiała się baronowa — warto, zapewne, ale ja wolę zmusić go, aby sam się zgłosił i o mnie się upomniał.'

Depeszę zastały istotnie w domu. Baronowa rozdarła ją, spojrzała i odetchnęła głęboko.

— Nareszcie! — zawołała podając ją matce. Była lakoniczna: "Ludwik umarł".

— Żadnego wezwania, nic! Cóż on sobie myśli? — wybuchnęła radczyni.

— Mówiłam ci — to na niego wygląda. Czuje się panem teraz: będzie się drożył. Teraz się nie odezwie, czeka zaczepki, by odpłacić za te miodowe miesiące, któreś mu wyprawiała.

— Ja? Teraz znowu mnie się czepiasz. Zrobisz z niego bohatera i ofiarę!

— Pewnie, że gdyby nie ty, nie potrzebowałabym teraz obmyślać sposobów na niego. Byłabym z nim razem w San Remo i zamiast tu pleśnieć, dozimowałabym w Nizzy.

Położyła się, lecz długo zasnąć nie mogła.

“Muszę tam pojechać — myślała — muszę go zdobyć, odzyskać. Byle prędzej!”

Nazajutrz wstała rano i poszła na wystawę sztuk pięknych; szukała tam Sylwestra. Jakoż prędko się zjawił i zaraz do niej zbliżył się ze słodkim uśmiechem.

— Nic nowego? — rzekła wskazując na obrazy.

— A cóż? — odparł z miną fauna. — Osieccy obchodzą miodowy miesiąc.

— Bardzo zakochani? — spytała wesoło.

— W angielskim rodzaju. *Tres correct, mais respect.*

— Nigdzie go nie widać. Musi być zazdrosna.

— Ma rację. Ptaszka łatwiej schwytać niż utrzymać, a pokusa taka, że się jej nikt oprzeć nie zdoła...

— Przyznam się panu, że istotnie brak mi go. Miałam słabość do niego. Zerwał Bóg wie dlaczego. Ci artyści są szalenie fantastyczni i drażliwi.

— Żeby on to słyszał! — pokręcił głową Sylwester.

— No, wątpię, by go teraz cokolwiek oprócz żony zajmowało — uśmiechnęła się.

— Kto to wie! Pani sama twierdzi, że artyści są fantastyczni, a on tak niedawno był szczęśliwy...

— Pan jesteś niemożliwy! — zawołała uderzając go rękawiczką po ramieniu.

Sylwester wprost po rozmowie z nią poszedł na śniadanie do Finka.

— Będzie Osiecki? — spytał gospodarza.

— Obiecał. Ale co mi Osiecki! Wiesz, Oryż znowu pije dzień i noc, pięć rysunków niegotowych, a on niepoczytalny. To zgroza! I nie ma na takich kryminału! — wybuchnął Fink.

— Po co? Jest szpital! — odparł obojętnie Sylwester.

— A choćby i cmentarz! Ale niech mi robotę kończy.

— Et, głupiś! Poproś Domontówny, niech go swym wpływem zażyje.

— Ba! Domontówna nazywa się Osiecka! Nie ma o czym mówić.

— To nie mów jej, ale prześlij swą prośbę przez Filipa. Trochę to im uczyni dywersji w miłosnych zachwytach.

— A wiesz co? Filip ma dobrą głowę. Jak on się prędko obejrzał, że baronowa go spłucze, gdy to dłużej potrwa! Wziął sobie kobietkę solidną i warsztat na pieniądze — teraz jest bezpieczny w razie finansowego krachu. Nie słyszałeś? Bywa już znowu u baronowej?

— Nie i to ją dziwi.

— Widocznie Faustanger teraz się droży z sobą, kiedy ona taka pokorna — zaśmiał się cynicznie Fink i wrócił do głównego przedmiotu swej troski.

— Bodaj się był mój Oryż w niej zakochał! Potrzebowałby na jej fantazje pieniędzy i pewnie by pracował.

— Ty bo masz słabość do niego! Znajdziesz stu ilustratorów — nie cyganów. Ja bym go się bał nawet zaczepiać.

— Ba, znaleźć — znajdę — przeciągle odparł Fink — ale tych nie opłacić. Oni nie chcą rozumieć moich ciężkich warunków. Dla nich wydawca to bóbr, którego trzeba obdrzeć ze skóry. A Oryż — przy swym brutalstwie — jest niesłychanie delikatny i niedbały na punkcie zapłaty.

Inny by go wyzyskiwał; ja się nim opiekuję, no i masz rację — czuję słabość do niego.

W tej chwili Osiecki wszedł z Malickim i kilku znajomymi; rozmowa stała się ogólna.

Ale Sylwester z miną tajemniczą i poważną poty kołował przy Filipie, aż zwrócił jego uwagę.

— Co mi się pan przypatrujesz, jakbym się zmienił? — spytał żartobliwie.

— Ba, zmiana wielka! Przybyło ci powagi. Jakże żoneczka? Wszyscy ci zazdroszczą.

— Ja nikomu! — odparł hardo Filip.

— Wierzę, wierzę! Ale powiedz mi, co to znaczy, że przestałeś bywać u baronowej?

Patrzył mu tak dobrodusznie w oczy, że przez chwilę Filip się zmieszał.

— Jak to nie bywam? — rzekł ochłonawszy. — To naturalne. Teraz nie ja bywam, ale my bywamy, więc stosuję się w tym do stosunków żony.

— Bo, widzisz, gadają o tym — szepnął poufnie Sylwester. — Ja cię bronię, a raczej ją, baronową, od zarzutów uwłaczających. Mnie jej bardzo żal, bo ona cierpi nad tym.

— Nad czym? — ostro spytał Filip, a czuł, że go dreszcz przeszedł.

— Nad twoją zmianą.

— Mówiła to panu?

— A jakże! Wspomina cię tak sympatycznie; pojąć nie może, co ci się stało. Bo i prawda! Byłeś jej narzeczonym, mąż nie chce dać rozwodu: cóż ona winna, za co ją karzesz? I jej żywot niesłodki! Wiesz przecie! Nie godzi się pogarszać jeszcze nową obmową z twojej racji. Znam zaś dobrze twoją żonę i ręczę, że byłaby mojego zdania.

Filip milczał, patrząc w ziemię. Była to pierwsza pokusa podana w zdradnej formie szlachetności. Oburzył się w pierwszej chwili, odczuł ból, potem przypomniał sobie rozkosz, potem zaczął z sobą się certować: czego ma pilnować, swojego obowiązku honoru czy swojego obowiązku uczciwości?

I powoli jego chęci zaczęły się chylić ku temu dziwnemu honorowi, który nakazuje oszczędzać opinię kochanki, a pozwala oszukiwać żonę.

Odzyskał zupełnie panowanie nad sobą i rzekł ze swobodą światowca:

— Postaram się przekonać panią bananową, że jeśli ją uraził, to tylko niechcący.

— To dobrze. Tak się należy! — potakiwał Sylwester, zupełnie przekonany, że w sprawie tej odegrał także zaszczytną rolę.

Magda dnia tego wybrała się do Zaklickich, a po powrocie nie zastała Filipa.

Osiecka piorunowała na nieporządek z obiadem, ale ją artystka zaczęła reflektować.

— Ależ, Maryniu, przecież on nie jest twoim wychowawcą ze szkółki! Dajże mu swobodę.

— A daj, daj! Ładnie na tym wyjdiesz, zobaczysz! Jestem pewna, że on cię już oszukuje.

— Może być, ale jeśli go zaczniemy więzić i musztrować jak rekruta, to m u s i b y ć! Otóż i dzwoni.

Poszła sama otworzyć i rzekła wesoło do wchodzącego:

— Drugi winowajca. I ja spóźniłam się na obiad. Chodź prędzej, weź na swoje barki połowę gderania.

— Przepraszam — rzekł Filip. — Miałem parę wizyt po śniadaniu i — chciał powiedzieć: — “byłem u baronowej”, lecz coś go powstrzymało, więc się zaciął i dodał: —

zapomniałem godziny.

Dlaczego się nie przyznał? Nie bał się żony; był pewien, że gdy powie powód, ona sama tę wizytę pochwali; nie miał jeszcze nic na sumieniu, ale pod Magdy jasnym wzrokiem uczuł wstręt do siebie i skłamał.

To był pierwszy krok na zawrotnej pochyłości.

Przy obiedzie tchnęło go coś, jakby chęć szukania w niej winy na swoje usprawiedliwienie, więc rzekł złośliwie:

— Wiesz, że twój Oryż z desperacji po tobie dochodzi do białej gorączki?

— Cóż to za jej Oryż? — oburzyła się Osiecka.

— Bo się w niej kocha na umór.

— Także racja!

— *Vox populi, vox Dei*. Naturalnie, że w to nie wierzę, ale słuchać, co ludzie plotą o nich, to mi nie bardzo słodko, a mieć takiego rywala — to wcale niepochlebne...

— Żebyś był człowiekiem, toby ci nikt nie śmiał wspominać takich głupstw.

— A ja wolę słyszeć otwarcie, niż być ośmieszonym zaocznie.

Magda słuchała w milczeniu, nie z przykrością, nie ze wstrętem. Pierwszy raz miał ten ton i ujmował się u niej o siebie niby.

Byłaż to miłość i zazdrość czy tylko szukanie pozorów? Nie odezwała się ani jednym słowem i nawet nieznacznie poprosiła siostrę wzrokiem, aby nie przeciągała dysputy.

Osiecka, z wielkim trudem, ale pohamowała oburzenie i Filip pozostał panem placu, wcale nie jak triumfator jednakże, ale zawstydzony i nieswój.

Kobiety zaczęły mówić z sobą, jakby go nie było. Poczucie winy rosło i zarazem nielogiczny gniew nie na siebie, ale na nie.

Zaledwie obiad się skończył, poszedł do siebie i wziął się do czytania, ale nie uważał na treść. Bunt w nim wzbierał i praca złego sumienia, żeby koniecznie postawić się w roli ofiary.

“Cóż ona? Żoną mi jest? Kocha mnie? Dba? Poszła za męża, czy ja wiem po co? Mówi, że z miłości się dla mnie ofiarowała. Śliczny frazes, tylko nie mnie tym zwodzić. Ja wcale jej ofiar nie potrzebuję! Dałem jej pozycję, nazwisko, obroniłem ją przed złą opinią. I mam jeszcze znosić rolę, Bóg wie jaką. Guwernantką chce mi być! Bardzo proszę — obejdę się! Ja dałem więcej, niżby kto się zdecydował, a ona mi zdaje się łaskę świadczyć. Oryż jej nie smakuje, wierzę, ale go jej nie daruję. Ma słabostki ta westalka!”

Podniecał się w ten sposób i wyrabiał sobie wobec sumienia bezkarność, głos rozsądku i logiki głuszac gwałtem. Byłby rad, żeby Magda przyszła w tej chwili, żeby powiedziała słowo wymówki, aby jej swą złość mógł wyrzucić.

Ale Magda — słyhać było — niefrasobliwie wzięła się roboty i przerzucając farby w pudełku, nuciała z cicha.

To mu posłużyło za nowy dowód oburzenia.

— Śpiewa... albo ją co obchodzi oprócz smarowania? Czy ona dba o mój sąd, czy ona mnie ma nawet za godnego odpowiedzi i tłumaczenia? A jam głupi myślał, że ona dobra sercem; ona dobra, bo obojętna na wszystko. To kamień i drewno! Żebym też jej teraz w tej chwili powiedział, że tamtą kocham, toby odpowiedziała żartem, konceptem, radą! To nie kobieta — to anomalia.

Rzucił książkę i wszedł do pracowni.

Magda stała u okna nad naczyniem z wodą i zanurzała w niej zeszlą jerychonkę. Po czym umieściła ją na świetle

nie opodal pieca.

— Cóż to? Próbujesz, czy ci zakwitnie?

— A tak. Doktorowa Malicka prosiła mnie o tę próbę. Ciekawam, czy się uda? Dawno ją masz?

— O, więcej niż od roku. Znaleźliśmy ją po drodze z panią Thomas. To była kapitalna kobietka! *Cre nom*, bodaj tego dnia właśnie, w czasie tej wycieczki, doszliśmy do porozumienia.

Kłamał. Pani Thomas nigdy nie flirtowała z nim nawet, ale chciał spróbować, jakie wrażenie zrobi na Magdzie ta brutalna wzmianka.

Artystka wzięła wielkie *in folio*, pełne rysunków ubiorów kapłanów żydowskich itd., i — zaczęła przerzucać kartki.

— Może masz fotografię tej pani Thomas? Pokaż, czy ładna? — spytała obojętnie.

— O, ładna, twarz to mała część ładnej osoby, więc fotografia to głupstwo. Możesz mi wierzyć na słowo, że warta była — zapomnienia.

— To niewielka pochwała — zaśmiała się z dwuznacznika.

— Czy nie wyjdiesz dzisiaj na spacer? — spytał.

— Nie, roboty mnóstwo i tak mi dobrze idzie!

Zaśmiał się szyderczo.

— Wiesz co, że gdybym wiedział, iż taką dostanę towarzyszkę, tobym wolał trapistą zostać. Jeżeli nie malujesz, to czytasz. Szkoda jednak, że nie raczysz znaleźć chwili dla mnie. Ostatecznie taki dom może przyprawić o melancholię.

— Znałeś mnie dobrze i wiedziałeś, co bierzesz.

— Ty również. Wiedząc, że nie będziesz ani żoną, ani towarzyszką, lepiej byś zrobiła nie korzystając z mojego

szału i nie oszukując.

Odrzuciła hardo głowę, wyprowadzona z cierpliwości.

— Nigdy nikogo nie oszukała. Powiedziałam ci otwarcie i szczerze, jaka jestem i co dać mogę. Nie spodziewaj się ode mnie szału i zaślepienia ani ofiary z tego, co kocham nad wszystko — sztuki. Uraziłeś mnie dzisiaj ciężko, to dosyć, że ci daruję; ale ustępować ci i udawać czułość — nie myślę. Nie znoszę scen i tego ode mnie nigdy nie doznasz; ale też kłamstwa i obłudy nigdy się nie spodziewaj. Nie rozumiem, co ci się stało dzisiaj, i myślę, że gdy się opamiętasz, sam to pojmiesz, iż nie mam ochoty mówić z tobą.

— Bardzo dobrze i owszem! Nie miej mi więc za złe, jeżeli poszukam sobie miłszego towarzystwa i rozrywek wśród ludzi. Nie mam powołania na anachoretę ani na Toggenburga!

Zatrzasnął gwałtownie drzwi i wyszedł.

Magda wzięła się do roboty, ale cały jej zapał i poryw artystyczny zatrula ta scena.

Pierwszy raz zdała sobie sprawę, iż wzięła na siebie pracę nad siły, zadanie, do którego nie miała powołania.

To uczucie dla Filipa, tak czyste i idealne, które napępniało jej życie, jak zapach napępnia kwiat, teraz gdy się stało obowiązkiem, rzeczą powszednią, wpisaną w registr ziemski i społeczny, straciło dla niej cały urok. Ofiara, raz dokonana, sprawiała jej nudę i niesmak, a więc była to ofiara błędna.

Osiecka słusznie kiedyś jej rzekła, że sztuka to kapłaństwo, a ona nieopatrznie dała jej rywala w człowieku. Teraz będzie zawsze w rozterce między obowiązkiem a powołaniem; teraz się musi sprzeniewierzyć jednemu z dwojga.

Dla jej prawej i prostej natury położenie takie stawało się nieznośnym.

Filip wrócił późnym wieczorem z wesołej kolacyjki w świetnym humorze. Nie pamiętał sceny domowej i podniecony, bez ceremonii objął żonę i pocałował ją w usta.

Uchyliła się ruchem instynktownym, którego wnet pożałowała, bo on go spostrzegł i wnet zasepił się i otrzeźwiał.

— Przepraszam za ublizenie — rzekł sztywno.

Chciała go przejednać, ale nie potrafiła skłamać, a pamiętała każde jego złe słowo przy obiedzie, więc milczała, zajęta niby bardzo zaplataniem swych warkoczy.

— Słuchaj! — odezwał się po chwili. — Czemu nie chcesz bywać u baronowej?

Wzdrygnęła się, ale przemogła pierwsze wrażenie i odpowiedziała spokojnie:

— Mam takie liczne koło znajomych! Nie lubię nowych stosunków.

— A gdybym cię poprosił, byś zechciała jej złożyć wizytę ze mną — poszłabyś?

— Jestem tak pewna, że tego nie uczynisz, iż nawet nie myślę o takiej alternatywie.

— Jak to? Byłabyś zazdrosną? Nie do uwierzenia!

— No, na to nie trzeba zazdrości, tylko godności.

— Więc stanowczo odmawiasz?

— Nie odmawiam, ale proszę, byś mnie nie stawiał w konieczności wyrażenia o tym swego zdania.

— Szkoda bardzo, bo ja tych stosunków zrywać nie mogę. Chciałem uczciwie, byś była ze mną, tym bardziej, żeś zawsze broniła jej przed oszczercami.

— I bronić będę, ale znać nie chcę! Ach — więc

przecież ożyła dla ciebie! Mówiłam ci, żeś ją pochował w letargu.

Ton był żartobliwy, ale na dnie ból i gorzycz. Filip jednak tylko żart posłyszał.

— Ciesz się mnie, że cię to bawi! — rzekł ironicznie.

— Nie bawi, ale spodziewałam się tego — odparła.

Teraz rozumiała jego zły humor. To tamta wracała, a ona była naiwna i głupia.

Od tego wieczora Filip zaczął prawie całe dnie spędzać poza domem; między nim a żoną ułożył się stosunek zimny i etykietalny — dla ludzi i dla Osieckiej szczególnie.

Tę jedną chciała oszczędzić Magda, toteż nauczyła się zmyślać lub tłumaczyć Filipa.

Majorowa zatrzymała o nim pochlebną opinię. Gdy wracała ze szkoły i zastawała Magdę samą — otrzymywała odpowiedź, że Filip przed chwilą wyszedł. Gdy opuszczał obiad, Magda twierdziła, że go sama namówiła na wycieczkę z kolegami. Gdy go nie było wieczorem, tłumaczyła, że to przecież nic nadzwyczajnego, iż się gdzieś zabawił.

Osiecka z początku brała się na ten haczyk, ale potem coraz bardziej burczała. Gniewało ją szczególnie to, że Magda, niby zwykle spokojna, czynna i zadowolona, traciła wesoły humor, mizerniała i miewała niekiedy oczy bardzo smutne i zamyślenia ponure.

Przy ludziach śmiała się i żartowała jak dawniej, ale był to już przymus, a gdy ludzi zbrakło, milkła i nie słychać jej było w domu.

Tymczasem miało się ku wiosnie i słońce czasem bardzo wesoło zaglądało w okna pracowni, a po ulicach roznoszono fiołki. Mówiono już o letnich wycieczkach, a i Wisła zdarła lód z siebie.

Pewnego dnia Malicki wstąpił do Osieckich, a zwiedziwszy przede wszystkim szkołę, zaszedł do Magdy.

Obejrzał ostatnie jej roboty, pochwalił niektóre *Stacje*, a potem usiadł do gawędki.

Mówił o tym i owym, coś zafrasowany, wreszcie odsapnął i rzekł:

— Wie pani, że ja uczynię propozycję, której bym nikomu innemu nie zrobił...

— I owszem, dziękuję za zaufanie — uśmiechnęła się.

— Niech pani spróbuje powstrzymać Oryza przed zatraceniem życia i talentu...

— Jak to?

— Ano, ma pani nad nim wielki wpływ! Przez te dwa lata, co się u was stołował, stał się zdrowym. Teraz o krok jest od śmierci, a mnie żal, gdy młody umiera. Pomyślałem tedy: powiem jej o tym, nie posądzi mnie o nic, a może razem co obmyślimy. Rozumie pani?

— Rozumiem, ale i pan zrozumie, że uczynić nic już nie mogę. Jak go pan zna, rady nie przyjmuje, prośbę drwiną zbędzie; może jeszcze na przekór uczyni.

— Toteż niech pani nie radzi i nie prosi, ale wymaga. Za skutek rękę, chyba pani nie chce się tym zająć.

— Ależ on u nas nie bywa wcale! Nie spotykam go nigdzie.

— Może go pani spotkać u panny Berwińskiej. Zamyśliła się i po chwili rzekła niby wesoło:

— Jeśli panu na tym zależy, mogę to zrobić, ale nie wierzę, bym kogo mogła od zatracenia wstrzymać.

— No, a ja rękę! — odparł doktor, patrząc na nią z rzetelnym uznaniem. — Dlatego to powiedział. Szkoda mi człowieka: umierać mu nie pora, a żyć jak bydlę nie powinien.

Gdy odszedł, Magda po namyśle postanowiła odwiedzić zaraz Berwińską. Doczekała wieczora, a że Filip jak zwykle był na mieście, opowiedziała się Osieckiej i poszła.

Berwińską po śmierci ojca przeniosła się do mniejszego jeszcze lokalu, zajmowała małe pokoiki, nie prowadziła nawet kuchni, pracowała parę godzin więcej.

Od czasu swojego ślubu Magda nie była u niej, teraz idąc rozmyślała, co ma jej powiedzieć. Postanowiła jeszcze milczeć.

Znalazła Berwińską jak zwykle zajętą rozcinianiem arkuszy etykiet, jeszcze bledszą i mizerniejszą niż za życia ojca.

Spojrzała na nią i postanowienie jej się zachwiało. Jeśli spyta, powie jej wszystko.

Ale Berwińską nie okazała niczym, że wie nawet o zmianie jej losu. Zapytała o pracę.

— Ano, maluję *Stacje*. Po Wielkiej Nocy myślę wyjechać na paromiesięczny wypoczynek. Nie uwierzysz, jak tęsknię za spokojem i próżnowaniem.

— Gdzie jedziesz?

— Nie wiem. Przecież mam męża — niby.

Berwińska podniosła głowę, popatrzyła na nią, ale nie podniosła kwestii.

Magdę zabolęło to milczenie jak wyrzut.

— Masz żal do mnie? — spytała serdecznie.

— Nie, tylko mi żal ciebie.

— Czemu? Wyglądam nieszczęśliwa?

— Wiesz, jak ci jest, beze mnie. Po co pytasz?

— Ty mi czasem robisz wrażenie jasnowidzącej.

— Nie jestem nią, ale znam ciebie i mam wiele do zestawienia faktów i wysnuwania wniosków. Ostatnim razem, gdym była u ciebie, byłeś z sobą w niezgodzie;

potem nie dałaś znaku życia. Teraz milczysz, więc cierpisz. Oto moje jasnowidzenie.

— Jak zawsze, zgadłaś. Cierpię, bo mu jestem już kulą u nogi. Tegom nie pragnęła.

— Poczekaj, aż będzie nieszczęśliwym; wtedy dopiero przekonasz się, czym jesteś.

— Ależ on może być właśnie nieszczęśliwym przeze mnie! Myślę, że lada dzień mnie znienawidzi jako obowiązek i pęta. Chciałam go zjednać dla siebie — straciłam już nawet zaufanie. Jeżeli jeszcze dotąd nie kłamie, to dlatego, że mu pozwalałam otwarcie się sprzeniewierzać.

— Nie pora na wyrzuty, gdy faktu zmienić nie można. Trzeba myśleć, co dalej.

— Dalej? Biedny on; dla niego to dalej jest tylko zgrzyzota i zawodem. Wiesz, że wrócił do baronowej?

— Spodziewałaś się tego.

— Tak, ale cierpię i jestem zmęczona skrupułami, że to moja wina.

— To już za wiele brać na jedne barki. Otrząśnij się ze skrupułów, zachowaj swój cel. Chciałaś go strzec, ale nie obciążać swego sumienia jego słabościami. Na to sobie nie pozwalaj, bo nie wybrniesz jak z ruchomych piasków. Patrz trzeźwo! Dałaś mu zdrowie i czyste serce, życzliwą i silną dłoń. Gdy to sponiewiera, daj mu opiekę w biedzie, a duszę zachowaj dla siebie. Nie może być nieszczęśliwym zupełnie ten, co ideał ma w życiu. Nabierz więc otuchy i nie zasklepij się w troskach uczucia.

— Dziękuję ci. To zdrowe i praktyczne, co mi radzisz. A teraz jeszcze jedno. Widujesz ty Oryża?

— Widuję. Przychodzi tu niekiedy, mało co mówi, jak osowiały w próżnię się wpatruje, potem bez pożegnania

odchodzi. Kaszle okropnie i oczy ma gorączkowe. Myślę, że biedak niedługo będzie się męczył. I to dobre dla niego.

— Malicki mnie dzisiaj prosił, bym wymogła na nim, ażeby pić przestał. Obiecałam, ale wiem, że oberwę impertynencję albo szyderstwo. Mniejsza o to: był mi dwa lata dobrym kolegą, żal mi go — powiem! Nie wiesz, kiedy przyjdzie?

— Może i dzisiaj, bom go prosiła o książkę jaką o sztuce ornamentacyjnej. Obiecał się wystarać, więc może dziś przyniesie. Zaczekaj.

Magda skinęła głową i zaczęła dla zabawy rozcinać etykiety.

— Jak ci teraz pusto — rzekła serdecznie. Berwińska jeszcze niżej spuściła głowę i zacięła usta.

— Więcej już mam z tamtej strony niż z tej! — odparła po chwili spokojnie. — To dowód, że i mnie już do tamtych bliżej.

— A ten domek z ogródkiem? Pamiętasz?

— O, tego się nie zrzekam. Mam plan domku i rysunek klombów w głowie. Opowiadam sobie samej różne bajeczki i dobrze się bawię.

Uśmiechnęła się mówiąc i tylko bardzo wprawne oko poznałoby, że śmiech ten to istny Galgenhumor.

— Żebyśmy mogły razem spędzić parę letnich miesięcy! Tobie potrzebny wypoczynek, mnie twoje towarzystwo. Jestem pewna, że ty byś nabrała sił fizycznych, a ja moralnych do znoszenia życia. Czasami bywa ono ciężką pracą...

— Tak, ale to właśnie jest higieniczną “gimnastyką. W odpoczynku i spokoju siły sztywnieją jak mięśnie. Brak wprawy i ćwiczenia kosztuje potem w dwójnasób.

Magda miała wielką pokusę spytać ją o jej osobiste

troski, ale nie śmiała, tak ta niedola harda była i tak starannie ukrywana. Bała się urazić ją nawet serdecznym współczuciem.

W tej chwili ktoś nieśmiało do drzwi zastukał. Berwińska zwróciła się żywo do Magdy i rzekła szeptem:

— Usuń się trochę na bok. To Oryż. Gdy cię zobaczy, gotów uciec od progu. Ja go tu wciągnę, wtedy już zostanie.

Magda usłuchała machinalnie, a Berwińska otworzyła drzwi i pozdrowiła uprzejmie Oryża.

— A to pan i z książką! Dziękuję i proszę na herbatę. Pomoże mi pan obejrzyć te rysunki.

Oryż wszedł i dopiero gdy zdjął palto, spostrzegł Magdę. Pierwszy ruch był taki, że chciał zemknąć, ale się przecie opamiętał, uklonił i usiadł przy stole, starając się, by twarz jego pozostawała w cieniu.

Berwińska zaraz zajęła się książką i to wnet zerwało przymus. Oryż, jakby nie wiedział o obecności Magdy, nie zagadał do niej ani spojrział. Ona zaś patrząc nań rozmyślała, jak by zagaic polecenie Malickiego. Wreszcie odezwała się:

— Ależ pan kaszle! To nowy nabytek?

— A cóż to — nie stać mnie na coś nowego? Mogę sobie na to pozwolić. Niedrogo kosztuje — bąknął.

— Tymczasem, dopóki pana nie wygna do Włoch.

— Do Włoch, mnie? Bez tego się obejdem! Wolno mi umrzeć, gdzie mi się podoba i kiedy.

— Każdemu tchórzowi dezercja wydaje się zupełnie słuszna.

— Dezerterem nie jestem, bo nigdzie nie służę. Wskazał Berwińskiej jeden rysunek i przy tym o jeden cal więcej do Magdy plecami się zwrócił. Ale ona niezrażona ciągnęła

dalej:

— Skończył pan już album krakowski?

— Nie — mruknął.

— Dlaczego?

— Bo mi się nie chce! — odparł już złym tonem. — Co to panią może obchodzić?

— Widocznie obchodzi. Zresztą bardzom rada, że pana spotkałam. Mam do pana pewne polecenie.

— Od kogo? — spytał, głowę po raz pierwszy podnosząc.

— Od siebie samej. Dlatego proszę mnie do domu odprowadzić. Powiem po drodze.

— Wcale nie mam ochoty pani towarzyszyć, bo mi to nie po drodze.

— No, to mi wszystko jedno. Nałoży pan drogi w takim razie — i tyle. Późno już, muszę wracać. Chodźmy.

Zaczęła żegnać Berwińską i ubierać się.

Oryż chwilę się wahał, zupełnie wytrącony z równowagi stanowczym tonem, potem wstał niechętnie, opieszale i mruknął ruszając ramionami:

— Tak mi miło włączyć się licho wie gdzie po nocy, jak psu tańczyć.

Jednakże naciągnął palto i wyszedł za nią.

W sieni burkliwie spytał:

— No, cóż to za polecenie?

— O, nawet dwa i nawet nie polecenie, ale wymaganie.

— Może rozkaz? — zaśmiał się ironicznie.

— Właśnie! tylko mi pan przede wszystkim zaręczy, że spełni i przyzna prawo wymagania.

— Bagatela. Tylko tyle?

— Spełni pan! Prawda? — nalegała.

— A cóż to? Ja pani pudel?

— Nie, ale mi pan powinien dogodzić. Przecież pan wie, że pana znam, więc nie żądam czegoś przykrego. Przez dwa lata nie naraziłam pana nigdy na alternatywę odmowy.

— No, więc jeśli się zgodzę, to pytam: jakie pani prawo ma żądać czegośkolwiek ode mnie?

— To prawo pan sam zna.

Zaśmiał się szyderczo, ale nic nie rzekł.

— Więc zgoda? — spytała.

— Niech pani mówi, o co chodzi — mruknął zamiast odpowiedzi.

— Panie Andrzeju, od jutra nie weźmie pan do ust kieliszka. Dla mnie to pan uczyni. Będę bardzo, bardzo szczęśliwa.

— A pani co do tego? — wybuchnął szorstko.

— Wymagam tego od pana — odparła spokojnie.

— Także racja! A cóż by pani powiedziała, żebym ja czego od pani wymagał?

— Spełniłabym bez wahania.

— Cha, cha! Bo pani myśli, że to żart. No, a ja postawię warunki. Słowo za słowo!

— Czego pan żąda?

Zaciął się, zawahał, a potem z nagłą determinacją:

— Jak pani będzie kiedy źle i trzeba będzie posłańca lub służki, to pani mnie weźmie.

Ledwie wykrztusił, już rad był pod ziemię się ukryć ze wstydu, z bojaźni, że odmówi lub żartem mu odpłaci za tylokrotne szyderstwa. Ale ona bardzo poważnie podała mu rękę i rzekła:

— Zgoda, niech się pan oszczędza, pracuje i myśli, żeś mi pan potrzebny.

Uścisnęli sobie dłonie i nie odezwali się więcej aż do drzwi jej domu. Wtedy rzekli sobie krótko: dobranoc, i on

powlókł się dalej, do swej klatki na strychu.

Magda zastała siostrę zafrasowaną.

— Coś się stanie złego — rzekła szeptem. — Filip zażądał, bym mu dała z jego sumy dziesięć tysięcy reńskich. Wyglądał jak złodziej, gdy to mówił. Zlituj się, dowiedz się, co zamyśla. Może być nieszczęście! Czy nie wpadł między graczy? Ty bo na wszystko mu pozwalasz.

— Dowiem się — odparła Magda spokojnie.

Filip pisał przy biurku, gdy weszła, schował papier do szuflady i spytał ją obojętnie, czy się dobrze bawiła. Odpowiedziała, ale nie spełniła polecenia siostry. Nie czuła się w prawie badania go ani wymuszania zwierzeń. Nie czuła się też w mocy współzawodniczenia z baronową i zdawała się na zły los, który, czuła, że do drzwi jej już kołace.

Nazajutrz pierwszym w redakcji Finka był Oryż. Zasiadł do roboty, pół dnia milczał z miną zbójcy, po południu zaczął gwizdać oberki. Fink zacierał ręce i tak się rozczulił tą rehabilitacją, że wieczorem zaprosił go na przekąskę.

Oryż, rzecz niesłychana, przyjął. Poszli do Hawelki i Fink zaproponował koniak.

— Nie chcę. Nie piję! — odparł z godnością malarz.

— Ty? Po coś więc przyszedł?

— Bom głodny. Daj mi mięsa i oczu nie wytrzeszczaj! Już i bez tego masz głupią fizjognomię.

Ale Fink tak łatwo w cuda nie wierzył. Proponował mu po kolei porter, wino, piwo, poncz i za każdą odmową bardziej się zdumiewał. Wreszcie przyszedł do wniosku, że Oryż ma paroksyzm statku, który trzeba wyzyskać najkorzystniej dla interesu.

— Za tydzień rysunki skończysz. Może byś mi zrobił ilustracje do *Anhellego*?

— Zrobię. A co mi dasz za nie?

— Sto reńskich. Połowę zaliczki.

— Nie chcę ani stu, ani zaliczki. Jak mi dasz trzysta od razu po skończeniu, to się zabiorę do roboty, jak nie, to za tydzień pojedę szukać pracy w Wiedniu. Dziesięć lat mnie okradasz, to dosyć na jednego człowieka.

— Spytaj, kogo chcesz, czy ci mało proponuję. Dziesięć reńskich rysunek — to waga złota.

— Jak sobie chcesz. Moja cena jest trzydzieści.

— Zwariowałeś!

— Może być. Dlatego wyjeżdżam z Krakowa.

Rzucił serwetę na stół i nie żegnając swego amfitriona wyszedł.

“Nietęgo wyjdę, jeśli znowu pić nie zacznie” — pomyślał frasobliwie Fink.

Nazajutrz i dni następnych Oryż był wzorowym. Przestał nawet być postrachem gości redakcyjnych, bo znośnie na pytania odpowiadał i nie wymyślał nikomu.

Gdy skończył ostatni rysunek i przyszedł po resztę należności, Fink przyjął go z najśłodszy uśmiechem.

— No, jakże? Bierzesz ilustracje?

— Nie. Nie jestem magnatem i tchórzem, abym się dał obdzierać na gościńcu.

— Dam piętnaście reńskich!

— W knajpie “Pod Rakiem” poszukaj pijanicy Oryża, niech ci pracuje! Ja jadę do Wiednia, gdzie mi proponują robotę taką, przy której wystarczy na jadło. Zostawię ci po sobie to zdanie, że pijak może pracować tanio, bo głodu nigdy nie doświadcza, ale kto jada, ten ceny twojej nie przeżyje. Bądź zdrow i hoduj pijaków co najwięcej.

Poszedł do swej kłitki, a że nie miał co pakować, więc oczekując godziny pociągu usiadł przy stoliku i po długim

namyśle i zniszczeniu kilku brulionów napisał do Magdy:

“Jadę do Wiednia, bo tu musiałbym pić z głodu, a tam będę jadł z pragnienia. Mam tam kolegę i obiecaną dobrą robotę. Myślę, że zacznę oszczędzać, więc jak mi co zostanie, to pani odeślę do schowania. Posyłam adres nie po to, żebym chciał odpowiedzi, nawet tego wcale nie pragnę, ale żeby pani wiedziała, skąd mnie zawołać w razie potrzeby. To i wszystko!”

Podpisał i uznał, że dobrze zredagował. Potem wsunął list w kopertę i zaciął się na adresie. Wreszcie napisał: “Wielmożna Magdalena Domontówna” — i resztę nocy spędził bezsennie. Nad ranem opuścił klitkę, nasunął kapelusz na oczy, podniósł kołnierz paltota i jak złoczyńca poszedł na Floriańską.

Oprócz policjanta nie było nikogo na ulicy; więc chwilę się zatrzymał, patrząc w okna, potem stęknął i ruszył dalej.

Berwińska, idąca bardzo rano do zakładu, spotkała go na drodze. Czekał na nią i śpieszył się, bo mało chwil miał do odejścia pociągu.

— To list! — rzekł. — Już może tu nigdy nie wrócę, więc napisałem z pożegnaniem. Wiadomo, trzeba czasem, jak małpa, naśladować głupców. Jak mi dobrze pójdzie, to i panią namówię na przeprowadzkę, bo tutaj nigdy pani nie skończy swego zadania. Doprawdy, niech pani się nie zżyma. Żeby człowiek żył do śmierci, toby furda była, ale człowiek żyje do choroby, do starości, do niedołęstwa, a potem co robi? Aha, o tym trzeba myśleć! No, żegnam panią. Dam znać o sobie!

Uściskał jej dłoń i pobiegł w stronę dworca.

Ledwie był ranek; Oryż kupił bilet i wyszedł na peron od ulicy, by raz jeszcze swój Kraków pożegnać. Słońce wschodziło już, wiosenne, wesołe i w czystym powietrzu

rozpoczęły swój koncert setki kościelnych dzwonów. Malarz słuchał i patrzył, nastrojony poważnie i pomimo smutku rad z siebie, spokojny po ciężkim przeżytym boju i męce. Wtem karetą stanęła u podjazdu i spłoszyła go z rozmysłań.

Drzwiczki się otworzyły i wysiadł Filip.

Oryżowi zabiło serce. Osiecki komuś podawał rękę — będzie to ona? Ale wnet się uspokoił, a raczej doznał uczucia zdumienia i zgrozy. Z karety wysiadła baronowa.

Tragarze rzucili się po tłumoczeki ręczne, inni do dorożki pełnej kufrów, którą im wskazał Filip. On sam podał ramię pięknej pani i weszli do sali. Oryż, nie poznany, w ślad za nimi, nastawiając uszu na rozmowę. Cały był wzburzony tym spotkaniem, ciekawy zakończenia. Ale w gwarze i natłoku nic dosłyszeć nie mógł i wnet mu zniknęli z oczu.

Po chwili Filip znowu się na sali ukazał, dozorcą nadawania kufrów. Wtedy posłyszał Oryż, że bagaż szedł do Wiednia, i zobaczył w ręku Osieckiego jeden bilet pierwszej klasy.

“Odprowadza ją tylko” — pomyślał na pół z zawodem, na pół z radością. Te dwa uczucia tak się splątały w jego duszy, że nie mógł rozpoznać, które silniejsze, które droższe.

Nareszcie rozległ się pierwszy dzwonek. Fala ludzi załazał peron; Oryż stanął przed wagonami pierwszej klasy na czatach.

Filip i baronowa przeszli obok niego, zajęli osobny przedział; on wciąż czatował.

Po drugim dzwonku Filip wysiadł i stanął u okna, które piękna pani otworzyła i wychylona rozmawiała wesoło.

— A zatem pojutrze będę miał depeszę z Wenecji. Nie zapomnij, bo będę niespokojny, jak drogę odbyłaś — rzekł

Osiecki po francusku.

— Jedź razem, to będzie weselej i swobodniej! — rzuciła kusząco.

— Nie mów, bo dość i bez tego ciężki mi będzie ten tydzień.

— Ale ani dnia dłużej, pamiętaj. Będę się nudziła nieznośnie.

— Może dzień wcześniej chyba — odparł z gorącym spojrzeniem. — Och, ten tydzień to wiek.

Gwizd sygnału, pociąg już drgnął. Oryż musiał pędzić do swego wagonu, ale dosłyszał jeszcze pożegnanie baronowej.

— Do widzenia, *mon cheri*! Czekam z niecierpliwością i... Kocham!

Pociąg ruszył; gdy mijał Osieckiego, Oryż wychylił się przez okno i krzyknął:

— Pomyślności... kłamco i złodzieju!

Filip, zapatrzony w okna dalsze, uśmiechnięty, drgnął, spojrzął i poczerwieniał. Zdało się Oryżowi, że mu laską wygrażał — i zniknęło mu wszystko z oczu: Kraków, ludzie znajomi, życie dawne. Jechał do nowego i czuł, że może dożyje chwili, gdy będzie mógł Magdzie usłużyć.

VIII

Pewnego dnia Filip wyszedł z domu wieczorem i na noc nie wrócił. Od kilku dni był rozdrażniony, nieswój, prawie do żony się nie odzywał, ciągle miał interesa na mieście, wieczorami pisał zamknięty w swoim gabinecie.

Magda, o ile mogła, ukrywała przed siostrą zły stosunek, ale Osiecka od dawna wiedziała, co się święci, i co dzień czekała katastrofy.

Gdy tedy rano Magda sama przyszła na śniadanie, spytała niespokojnie:

— Gdzież Filip?

Magda ruszyła ramionami udając zupełną obojętność.

— Uciekł! — krzyknęła majorowa.

Magda drgnęła. Ta ostateczność już parę razy Przychodziła jej na myśl, ale gdy usłyszała, odczuła cios jak policzek. Chwilę z brwią ściągniętą patrzyła przed siebie, potem opanowała się i odparła:

— Jeżeli tak jest, tośmy były do tego przygotowane.

— Infamis! — wybuchnęła Osiecka. — Boże, co ludzie powiedzą? A mówiłam ci, odpraw go. Na co to było potrzebne! Przeklęty człowiek!

— Moja droga, jeszcze nie mamy pewności. Może się zjawi lada chwila...

— Ja wiem, że się nie zjawi! Wziął 10 000 reńskich i poleciał za baronową. Wiesz przecież, że wyjechała przed tygodniem.

Magda nic nie odpowiedziała. Spodziewała się najgorszych rzeczy, ale nigdy się nie spodziewała, że tak gorzko znosić je będzie.

Odeszła do siebie, chciała pracować i nie mogła. Trapiła ją nieznośna niecierpliwość i chęć pewności. Wyczekiwała jego powrotu, potem wieści. Przecie da znak życia! Poszła do jego gabinetu i przerzuciła papiery na biurku. Nic nie było zamknięte. Wreszcie w jednej z szuflad znalazła list do siebie. Pociemniało jej w oczach i drżały ręce, gdy rozdzierała kopertę.

“Chciałem wyjechać bez zawiadomienia cię o celu i powodzie odjazdu, ale pomyślałem, że niepotrzebnie cię mam oszczędzać. Jesteś tak trzeźwa i rozsądna, że możesz usłyszeć prawdę. Kocham tę kobietę nad życie, nad obowiązek, nad wszelkie prawa i zakazy, istnieć bez niej nie mogę.

Może byś mnie była zjednała dla siebie, ale twój chłód, obojętność i zaniechywanie oddaliły mnie od ciebie, przykuły do tamtej. To usposobienie twoje jest moim wytłumaczeniem, jest zarazem pewnikiem, że nad stratą męża cierpieć nie będziesz.

Dowiedziałem się przy tym, żeś któregoś wieczora miała schadzkę z Oryżem. Usuwam się z drogi i mniemam, że mnie zbyt ostro sądzić nie będziesz. Jadę do Wenecji i żegnam cię, życząc pomyślności”.

Magda trzy razy odczytała list, potem go odrzuciła ze wstrętem. Miała go dotąd za lekkomyślnika i za słaby, wrażliwy charakter, a on był samolubem i bezczelnym kłamcą. Skrzywdził ją, wstyd uczynił, a potem oplwał i swymi winami obarczył.

Oparła głowę na rękach, zgnębiona, nieszczęśliwa, nie tyle jego stratą, ile ostateczną zagubą swych ideałów, marzeń i nadziei.

Był to kryształowy gmach, a teraz się rozsypywał w drzazgi, w rumowisko, z którego nie zostanie nic na przyszłość oprócz gorzkiego rozczarowania i żalu, że tyle na to zmarnowała lat i uczuć.

Otrzeźwiała dopiero w tej chwili i poczuła, że serce jej jest wolne, że go już nie kocha ani żałuje, że przestał dla niej istnieć.

I nie bolało jej to, owszem, zdawała się zbudzoną z męczącego snu, przeciągała się jak ptak, gdy zbiera skrzydła do lotu.

Wzięła list i wyszła z gabinetu. Gdy przechodziła przez pracownię, przypadkiem wzrok jej padł na jerychonkę, która ożyć miała w słońcu i ciepłe. Ale roślinka była martwa, szara i biedna. Nie ożyła!...

Magda uśmiechnęła się smutnie.

— I ty, i ja przeceniłyśmy swą żywotność. Tobie trzeba pustyni może — mnie sztuki. Nie zakwitniemy już ludziom!

I schowała na powrót roślinę do skrzynki. Osiecka dnia tego nie poszła do szkoły — zbyt była niespokojna o Magdę.

Gdy ją ujrzała z listem w ręku, domyśliła się katastrofy.

— Uciekł? — zawołała.

— Tak i na pożegnanie to mi zostawił.

Podawała list i rzekła gorzko:

— Bardzo rozumnie uczynił. Przynajmniej od jednego pociągnięcia pióra wykreślił się z mego serca, pamięci, nawet myśli! To gorzkie, ale zdrowe...

Osiecka przeczytała i poczerwieniała z oburzenia.

— Łotr! Obelgi i brudy na ostatnie danie. Niechże mu tamta odda za ciebie. To go nie minie! Boże, ale co teraz świat powie i co my powiemy? Przeklęty dzień, kiedy on

ten próg przestąpił!

— Możesz i mnie zarzutami obarczać. Jam winna! Byłam zarozumiała i lekkomyślna — i poszłam wbrew powołaniu. Ale teraz nie czas na skargi i rozmyślenia. Trzeba nam stąd wyjechać. Nie chcę, by ludzie go sądzili i szkalowali przede mną, a nie chcę też go bronić i osłaniać. Dość tego! Obowiązki podeptał ostatecznie, mnie moje dość długo ciążyły! Jesteśmy znowu wolne. Gdy nas nie będzie, sprawa się nie rozgłosi, a jeśli wezmą mnie ludzie znowu na języki, wolę uniknąć plotek i niby–przyjacielskich ubolewań i pociech, bo doprawdy, nie czuję potrzeby pociechy!

Osiecka miała chaos w głowie.

Bardzo praktyczna i przytomna objęła w jednej chwili cały bezład, jaki katastrofa ta wywołała w ich życiu, i perspektywa ta zdwoiła jej oburzenie na Filipa.

— I przez takiego infamisa trzeba cierpieć, kłamać, uciekać! Bodaj go dobrzy ludzie nie znali! Masz, broniłaś baronowej, zapłaciła ci za to! Wyjechać — dobrze ci mówić! Na kogóż zdam szkołę, dom? Kto za ciebie *Stacje* skończy? Gdzie pojedziemy?...

Magda milczała. Po pierwszym wybuchu następowała reakcja nudy, niesmaku i zniechęcenia. Ruszyła wreszcie ramionami.

— Miałam wyjechać na wakacje, odwiedzić Boińską; wyjadę dzisiaj. Ty zostaniesz dni kilka, załatwisz co naglejsze. Tam obmyślimy, dokąd się udać.

— No, a jak mnie obiegną znajomi pytaniami, co mam mówić? Jeśli myślisz, że skłamię i jego oszczędzać będę, to się grubo mylisz.

— Powiedz prawdę. U Malickich sama będę, u Berwińskiej też. O resztę mi nie chodzi.

Wróciła do pracowni i spokojnie wzięła się do pakowania swego artystycznego bagażu. Wahała się chwilę, czy nie odpowiedzieć Filipowi; ale po namyśle postanowiła milczeć. Z oburzenia przeszła do wstrętu ku niemu. Zebrała wszystkie po nim pamiątki, nawet to album włoskie, i rzuciła jak śmiecie na spód szafy. Potem ubrała się i poszła na miasto. Miała do załatwienia dwie sprawy. Udała się przede wszystkim do szarytek i zapowiedziała zwłokę w wykończeniu Stacyj, potem ruszyła do zakładu, gdzie pracowała Berwińska, i zaprosiła ją na wieczór do siebie.

Wracając wysłała depezę do Boińskiej i wolna już do wieczora, poszła na przechadzkę za miasto. Wołała teraz być samą niż słuchać narzekań siostry, a wybierała ustronne ulice, by nie spotkać znajomych.

Toteż drgnęła z przykrości, gdy nagle o krok przed sobą spostrzegła Sylwestra.

— A to niespodzianka! — zawołał. — Co panią sprowadza w te zaułki? O, osobliwość!

— No, ja tu bywam często. Muszę szukać typów, ludzi, ruder, gry cieni... Ale co pan tu porabia? — odparła swobodnie, lecz bez zwykłego jednak uśmiechu.

— Jam tu szperał w spuściznie po starym emerycie i kupiłem saską skorupkę. Cóż słyszać u państwa? Zawsze dobrze?

— I, niezawodnie. Złe i dobre zależy od punktu widzenia i gustu każdego z nas...

— Pan w domu? Może gotuje jaką niespodziankę? Ostatnimi czasy wyglądał natchniony i tajemniczy. A czas by był, żeby się publiczności przypomniał; ale pani go absorbuje. Magda zmarszczyła brwi.

— Pan się myli co do osób. Nie absorbowałam go nigdy

i nie z mojej racji przestał malować. Tego zarzutu nie przyjmuję do siebie.

— Ja też nie tak myślałem. Gdy się kocha, wszystko inne maleje i niknie.

— Właśnie. Szczególnie, gdy się złe i złych kocha...

— Trzeba mu wiele wybaczyć: natura artystyczna, wrażliwa, krańcowa. Jego nie można mierzyć zwykłą miarą. Jemu wiele wolno.

Miała na ustach ostrą odpowiedź, ale milczała. Już nie miała prawa go sądzić. Pomyślała tylko z goryczą, że zdanie Sylwestra będzie zdaniem ogółu i że ten ogół będzie na jego czyn patrzył pobłaźliwie, a ją potępi.

Towarzystwo Sylwestra zużyło ją, więc zwróciła się ku domowi i rzekła:

— Śliczna i wczesna wiosna. Cieszę się, że znajdę już na wsi fijołki na skłonach rowów.

— Pani na wieś wyjeżdża? — zdziwił się.

— Tak, na Podole, het, w jary i góry, pod Buczacz.

— I Filip wyjeżdża?

— O, nie tam. On woli ludniejsze miejscowości. Sylwester zrobił duże oczy, ale nie śmiał więcej pytać. Jak iskra elektryczna przebiegła go nadzieja, przecucie skandaliku, ciekawej nowinki. Tknął go ten Buczacz, przypomniał sobie Boińską, Oryża, wedle swego gustu układał już plotkę.

Magdę, pomimo złego usposobienia i poważnej chwili, szczerzy śmiech zdjął. Oczy jego były tak pożądlive, jakby z duszy jej wydrzeć chciały tajemnicę. I mało co brakło, żeby mu powiedziała prawdę, by zobaczyć wrażenie, ale jeden wzgląd ją powstrzymał.

“Będzie mi udawał i kłamał przyjaźń i współczucie. Wolę tego nie słyszeć” — pomyślała.

U progu mieszkania ledwie się go pozbyła; pobiegł pędem szukać Filipa, by się dowiedzieć prawdy, a ona gorzko się uśmiechnęła, popatrzyła za nim i rzekła do siostry szyderczo:

— Ten człowiek trzeci raz z mojej racji będzie szczęśliwy. Nakarmi miasto plotkami. Szkoda tylko, że mi za to wdzięczny nie będzie.

— Jeszcze się ciebie koncepty trzymają, i to w takim dniu! — oburzyła się Osiecka. — Miły— dzień! Siedzę jak więzień; udaję, że mnie nie ma; na miasto boję się wychylić. Ale jak tylko wyjedziesz, skorzystam z tych kilku dni i wygadam wszystko, co mam na sercu! O, to mi ulży, bo inaczej, tobym się rozchorowała! Cały dzień piję wodę sodową!

Tu popatrzała uważnie na siostrę i wyraz gniewu ustąpił z jej twarzy pod łagodnym zafrasowaniem.

— Aleś mizerna! Nie udawajże przede mną! Żałujesz go, cierpisz! No, mów! Nie trzeba się zacinać. Wolałabym, żebyś zapłakała!

Magda objęła ją serdecznie za szyję.

— Dziękuję ci, ale się nie frasuj. Zاپewne, że cierpię, ale nie z miłości. Boli mnie właśnie, że go już nie kocham. Obchodzę dziś pogrzeb uczucia. Chciałam jego dobra i spokoju; poszedł za złem i burzą; a gdy się obejrzy i otrzeźwi, nie znajdzie już mnie na swej drodze. Szkoda mi marzeń!

— A mnie szkoda, żeś z nim dozgonnie związana. Że nie kochasz — w to wierzę, ale że ci jeszcze nieraz spadnie na barki, to pewna. Ach, żebyś wtedy ja przy tym była!

— Będziesz, bo przecie nas nic i nikt nie rozłączy — rzekła serdecznie Magda.

Dzwonek się ozwał, więc przeczuwając, że to

Berwińska, poszła otworzyć i zaraz na wstępie rzekła:

— Wiesz, mąż uciekł ode mnie.

Berwińska nie okazała zdumienia ani oburzenia. Ze swym niezachwianym spokojem i logiką odpowiedziała:

— Lepsze złe spełnione od spodziewanego.

— To racja! — potwierdziła Osiecka. — A przy tym taki infamis im dalej od nas, tym lepiej.

Magda pociągnęła przyjaciółkę do pracowni i stając przed nią rzekła:

— Tak wygląda ideał w praktyce i w życiu. Tak wygląda ofiara i duchowe uczucie. Masz, przeczytaj jego pożegnanie.

Berwińska odczytała list, złożyła go starannie i scharakteryzowała lakonicznie:

— Bardzo pouczający dokument. Pomyślała chwilę i dodała:

— Od wczoraj wiem o tym. Miałam list od Oryza. Przyniosłam z sobą; z kolei ty czytaj.

Magda rozłożyła podaną ćwiartkę grubego papieru, na którym poprzednio ktoś widocznie próbował akwarelowych farb.

“Donoszę pani, że tu jest wcale nieźle. Dostałem robotę na 300 reńskich i ulokowałem się u emeryta bardzo osobliwego, bo mi pozwala pluć, gdzie mi się podoba, palić zły tytuń i gwizdać ad libitum. Zabawię miesiąc, a może potem ruszę do Włoch, bo mi tu jeden kolega opowiada cuda o makaronie i serze.

Z Krakowa jechałem z baronową, tylko żem jechał za swoje, więc tercją, a że ona na koszt Osieckiego, więc prymą. Chciałem mu napluć na głowę, gdy stał na peronie patrząc na nią, ale pożałowałem śliny. Zresztą mogę to i tu

uczynić, bo ma za tydzień zjechać do niej, do Wenecji. Tymczasem wczoraj na Ringach spotykam męża baronowej. Pogrzebał brata i załatwia spadkowe ceregiele, które notabene są tak wstrętne, że Faustanger wysłuchawszy, Bogu podziękował, iż mnie to nie spotka. Bardzo się mną ucieszył i chciał mnie uraczyć spadkowym sznapssem, ale się wymówił, więc się skończyło na gawędzie. Dowiedział się ode mnie o żonie i Osieckim i obmyśliliśmy uczynić im małe intermezzo za parę tygodni. To będzie zupełnie oryginalne, więc do czasu tajemnicę chowam za zębami. Ale w swoim czasie opiszę to pani. Jestem jak dojeżdżacz i nawet proponowałem Faustangerowi, aby mi tę posadę dał dożywotnio. Nie wypłuł dwuznacznika, zjadł i był ubawiony. Niech mi pani odpisze, co słyhać w Krakowie. Czy na Plantach zawsze tylko spotkać można psa, bosą babę i księdza? Czy Zygmunt nie dzwonił na wyjazd Osieckiego, czy Sylwestrowi zostanie jeszcze po tej chryi choć szczątek języka, czy się do cna wystrzępi...

Niech mi też pani napisze, czy mam służyć za dojeżdżacza Faustangerowi, czy zostawić tych dwoje, żeby się sami pożarli? Na daleką metę wolę mieć kierunek, bo nuż się pomylę i zamiast po dyszlu uderzę po koniu? Zresztą niech mi pani wszystko napisze — i basta!”

Magda złożyła list i oddała go Berwińskiej.

— Odpisz mu, jak chce, niech wie wszystko — rzekła.

— Mnie to już nic nie obchodzi.

— Nic, i ręczysz, że tak zostanie już?

— Tak. Darowałabym mu zdradę, bo człowiekiem jest, wrażliwą ma naturę; ale nie daruję błota, którym na mnie cisnął, i zarzutów, którymi siebie chce uniewinnić.

Wymażę z mojej duszy wszelką pamięć, nawet niechęć, nie ma go już i nie będzie więcej!

— A jeżeli wróci upokorzony, nieszczęśliwy, błagający łaski?

— Pokażę mu ten list i minę go, jakbym go nie znała.

— Nieprawda. Tym bardziej się nim zajmiesz, gdy nie kochasz. Tego się nie zarzekaj. Znajdzie on twoją dłoń w potrzebie. Jesteś z tych, co dotrwają do końca tym mężniejsi, o ile to ich więcej kosztuje. Teraz wyjeżdżasz, i słusznie. Nie chcesz do krytyki, która go spotka, dorzucić ani jednego słowa. Potem nie zechcesz wspomnieć mu nawet o jego nikczemności i zostaniesz sobą. On cię porównał kiedyś do wody i płomienia. To słowo ukochanego stało się twoją zasadą i dotrzymasz go tym bardziej względem niego samego.

— Przeceniasz mnie — odparła Magda. — Zresztą zostawiam mu jeszcze tyle honoru, że sądzę, iż do mnie o pomoc i ratunek zwrócić się nie ośmieli.

Berwińska widocznie miała inne wyobrażenie, bo uśmiechnęła się ironicznie.

Osiecka przerwała im rozmowę. Zawsze praktyczna, zajęła się pakowaniem i materialnymi sprawami, i tak godziny zeszyły do odejścia pociągu. Obie przeprowadziły Magdę na dworzec, a przy pożegnaniu Osiecka ulżyła swej żalości łzami, które dziwnie wyglądały na jej energicznej twarzy. Potem gdy pociąg zniknął w ciemności, Berwińska wróciła do swojej izdebki, a że jej sen nie brał, usiadła zaraz do pisania listu do Oryża. Opowiedziała mu wyjazd Magdy i jej spokój w znoszeniu tego ciosu, radziła zostawić Filipa fali, której się oddał; potem po namyśle, zdjeta współczuciem dla biednego cygana, dodała słowo pozdrowienia dlań od Magdy. Było to kłamstwo, ale nie

był to grzech. Wiedziała, że to go uszczęśliwi i przez uszczęśliwienie uczyni silniejszym.

Wreszcie gdy list był gotów, siedziała jeszcze długą chwilę zamyślona, znękana samotnością i pustką, która ją zewsząd ogarniała.

Pierwszy ojciec, potem Oryż, nareszcie Magda.

Została zupełnie samą ze złą i ciężką dołą, której wiedziała, że kresu nie będzie, aż razem ze śmiercią. Dobyła z szuflady zeszyt pełen cyfr i sumowała je po raz setny. Były to z jednej strony długi jej brata, z drugiej ich wypłata. Pięć lat, jak zaczęła płacić. Miała jeszcze na lat piętnaście, a czuła, że płaci je zdrowiem i siłami i w trwodze rachowała, czy organizm jej, podkopany złym odżywianiem, nadmierną pracą i zgryzotą, wytrzyma ten termin. Przeżyć go nigdy nie marzyła.

Jutro właśnie wypadał dzień wypłaty procentu i drobnej części kapitału; zebrała pieniądze i przerachowała je po raz setny.

Był to atom, ale ile dla niej znaczył?...

Położyła się i starała nie myśleć — zasnąć i zapomnieć. Ale było to trudne. Wyjazd Magdy odbierał jej ostatni promyk w życiu; więc z duszy jej podniosła się skarga i porывała ją niezgłębiona rozpacz.

Była skazańcem za cudze winy na dożywotnie ciężkie roboty. Nad taką dołą wolno bohaterowi nawet czasami boleć i wzdragać się nad samym sobą.

List jej poszedł do Oryża, ale nie osiągnął zgody. Oryż w wolnych chwilach od roboty bywał znowu gościem Faustangera i we dwóch układali plan kampanii przeciw baronowej.

Myślała ona zdobyć męża; ale on ją lepiej znał i czuł teraz swoją wyższość.

Była to drapieżna, dzika natura. Obok instynktów pierwotnych miał też wyrafinowane okrucieństwo i zimną krew, gdy szło o zemstę. Z całym cynizmem spowiadał się Oryżowi:

— Kobietę tę pokochałem jak bóstwo. Ona sama zabiła we mnie ten kult. Ludzie ją mają za rozpustnicę i pozór to stwierdza. Ale to tylko pozór. Jej szal jest pozorem, jej kokieteria, uczucie, czułość — to komedia. Ona zawsze, w każdej chwili rachuje. To już u nich we krwi, to wrodzone! Gdym zrozumiał i pojął, byłem jak wściekły, zem takiego potwora ukochał. I znienawidziłem! Wstręt mi został i ohyda, potem pogarda, wreszcie chęć odwetu. Teraz mam ją w ręku. Pomyśl, jak ona się wścieka, rachując moje miliony, w objęciach tamtego. Niechże pocierpi!

I śmiał się, szczerząc zęby białe i ostre jak kły drapieżnika, a Oryż patrząc nań cieszył się z odkrycia tak ciekawego okazu.

Potem podniecony winem Faustanger rozповідаł swoje plany, a oczy jego zwięzały się i błyszcząły złowieszczo wyrafinowanym okrucieństwem.

— Damy jej miesiąc trwogi i niepokoju. Potem pojedziemy też do Wenecji, a że to miasto pełne eleganckiego towaru, sprawię sobie szyk przyjaciółkę i będąc szalonym zbytkiem afiszował ją w oczach tamtej. Potem gdy czara jej rozpaczy będzie pełna, pójdę do niej i zażadam rozwodu. Mam za sobą wszelkie racje i powody. Wtedy będzie u nóg się tarzała i włosami ziemię zamiatała, i wtedy wezmę ją jak niewolnicę, i oddam jej wszystkie poniewierki i lekceważenia, którymi mnie karmiła, gdym był ubogi i rozkochany. Wtedy ona szaleć będzie, a ja — rachować. Zobaczysz!

— Tylko ostrożnie, by ci te złote włosy i ramiona nie

splątały stryczka czy arkanu, na którym się jeńców wodzi!

Śmiech dziki krzywił orle rysy Faustangera, który głosem ochryplym od zaciekłości mówił:

— Po włosach będę deptał, a ramionami będzie mi obejmowała kolana, a ja na nią będę miał garść złota w jednej ręce, a pięść ściśniętą w drugiej. Te dwa argumenty dadzą jej rady i nawet ją uszczęśliwią. Tymczasem nic nie nagli!... Mogę czekać!...

Czekał i aby celu z myśli nie stracić, szukał już w Wiedniu przyjaciółki. Długoletni przymus i niedostatek wetował sobie teraz rzucając pieniądze, jak tylko potrafi barbarzynie łupami obciążony.

Oryż patrząc na to bezmyślne marnotrawstwo nabierał do pieniędzy coraz większego wstrętu, a do życia hulaszczego — niesmaku.

Był nawrócony już zupełnie, nie sztydził z siebie ani plwał na cnotę; pracował pilnie i żył jak mnich, a towarzyszył Faustangerowi nie dla własnej przyjemności, ale w przypuszczeniu, że tym Magdzie usłuży. Toteż gdy rotmistrz zaproponował mu wspólną do Wenecji podróż, Oryż zapakował farby, pożegnał kolegę, z którym mieszkał, rzucił robotę i pojechał.

Przybyli na maj i roztasowali się w hotelu tym samym, gdzie mieszkał Osiecki z baronową, tylko że Faustanger zajął lokal najdroższy, a tamci zadowalali się skromnym mieszkaniem z widokiem na boczny kanał.

Subretka baronowej wnet jej tę wieść przyniosła razem ze śniadaniem. Filip wyszedł był dla niej po kwiaty.

Baronowa drgnęła i płomień przeszedł po jej twarzy.

“Przyjechał po mnie? O, nareszcie!” — pomyślała z westchnieniem ulgi.

Był wielki czas, aby wybawienie nastąpiło. Od dawna

baronowa się przekonała, że zmieniając towarzystwo matki na Osieckiego zrobiła zły interes. Matka była skąpa, ale cierpiąc z tej racji niedostatek, znosząc obrzydliwe skąpstwo i oszczędność, miała jako wynagrodzenie stosunki ze światem, była wszędzie przyjmowana w towarzystwach. Teraz Osiecki dawał jej zbytek, spełniał wszelkie zachcianki i fantazje, ale ona była osamotnioną i duma jej cierpiała tortury w tym położeniu dwuznacznym, które ją stawiało na równi z półświatkiem.

Baronowa zaś miała dwa ideały, które stanowiły dla niej szczyt szczęśliwości: bogactwo i świetne stosunki. A to dwoje mógł jej teraz dać tylko mąż, milioner i magnat. Więc na wieść subretki duch w nią wstąpił i zaczęła rozpytywać o szczegóły.

Wtedy się dowiedziała, że pan baron nie był sam, ale z całym dworem. Miał hajduka, kamerdynera i jakąś bardzo piękną damę z sobą. Przyjechał też z nim jakiś drugi pan, czarny i chudy, z którym czytali listę gości w hotelu i bardzo się śmiali.

Dama? Co znaczyła dama? Kto to być może? Baronowa posłała subretkę na zwiady, a sama kipiała z niecierpliwości.

Subretka przyniosła od szwajcara kartę damy, a od swoich koleżanek jej rysopis.

Nazywała się: *Mademoiselle* Lili Fanchon; była to mała szczupła brunetka, z pieprzykiem na brodzie, i mówiła do barona: Albert.

Baronowa ze szczytu świetnych nadziei wpadła w otchłań rozpaczy. Na tę chwilę wrócił Filip z pękiem róż, rozpromieniony i wesół. Cały zły humor spadł na niego. Odrzuciła róże i wściekła wygnała go z pokoju, zapowiadając migrenę i nakazując, aby jej się na oczy nie

pokazywał aż do wieczora.

W ten sposób pozbyła się go i mogła spokojnie obmyślać plan działania.

Przede wszystkim chciała go się pozbyć; więc gdy wyszedł, zaraz wysłała do matki obszerną depeszę, żądając pieniędzy co najrychlej, potem postanowiła, że do czasu powinna go użyć dla wzbudzenia zazdrości Faustangera, należało być zatem serdeczną i afiszować się co najwięcej. Wreszcie pocieszyła się nadzieją, że baron, gdy ją ujrzy, złoży broń.

Ale wyobrażała go sobie takim, jakim był, gdy się rozstali, więc myliła się mocno. Spotkali się tegoż wieczora przy obiedzie i przypadek zdarzył, że siedzieli naprzeciw siebie. Filip na widok barona poczerwieniał i zbladł. Dzikie oczy Faustangera objęły go z niezmierną pogardą i lekceważeniem, potem spoczęły na baronowej i zamigotały zjadliwym szyderstwem. Następnie zwrócił się do Lili Fanchon. Zaczęli mówić z sobą o pałacu na Canal Grandę, który dziś oglądali i do którego mieli się nazajutrz przenieść, znajdując mieszkanie w hotelu "*trop mesquin*".

Baronowa zrozumiała wtedy, że do osiągnięcia celu było bardzo daleko i popatrzyła z nienawiścią na Filipa.

Gdyby go nie było, jutro tamten byłby u jej stóp, albo ona, silna swoim prawem, wyгнаłaby Francuzkę.

Teraz sama sobie odebrała to prawo.

Filip na dobitkę swej porażki cały obiad był milczący i nieswój, gubił się do reszty w jej opinii, wydał się jej głupim, małym, nędznym filistrem, którego uczucie umiało tylko żebrać lub dziękować, nigdy rozkazywać i zmuszać.

W nim zaś rósł wstyd, upokorzenie, żal nieokreślony i chęć ucieczki sprzed oczu człowieka, którego okradał i krzywdził.

Był pewien, że gra rolę ważną i ani przeczuwał, że jest narzędziem zemsty, pionem na szachownicy.

Po obiedzie baronowa odzyskała równowagę i zalotnie zwróciła się do Filipa:

— Popłyniemy o księżycu, dostań dobrego śpiewaka. Będziemy marzyć!...

Na schodach przed hotelem, z nogami o cal od wody, z talerzem krewetek na kolanach siedział Oryż otoczony zgrają próżniaków.

Było mu zupełnie dobrze, bardziej nawet swojsko niż w Krakowie, gdzie przecież nawet jemu nie pozwolono by jadać na ulicy.

Miał też minę tak szczęśliwą, że wypluwając skorupy w kanał zaprzysięgał sobie nigdy Włoch nie opuścić.

Dzień się kończył, a noc nadchodziła ścieląc się pod starymi murami. Słońce jeszcze świeciło po wieżycach kościołów, a naprzeciw Oryża, za kościołem San Giorgio, wychodził księżyc z oparów i cieni białawych, złotawoczerwony, jak widziadło w glorii nadziemskiej.

Niby jedząc krewetki i słuchając gwaru gondolierów i przekupniów, Oryż wsłuchany był w daleką jakąś melodię własnej duszy, przejęty pięknem, skupiony w sztuce.

W tej chwili baronowa z Osieckim stanęli tuż obok niego. Gondolier Paolo, który im stale służył, rozpytał kolegów, a Filip pertraktował z nim o śpiewaka.

Chwilę zatrzymali się na schodach czekając, aż im go sprowadzą, i wtedy Filip spostrzegł Oryża. Poczzerwieniał, przypomniał sobie scenę na dworcu krakowskim i poczuł nieprzepartą chęć zemsty.

— Aa, pan Oryż tutaj? Powodzenia, pieczeniarszu! — ozwał się szyderczo.

Oryż, nie przestając jeść, popatrzył na niego zezem.

— Dziękuję. Jak spadek przegwizdziesz, rekomenduję ci mego patrona. Zresztą znasz go, po trosze już używaś jego własności.

Zwrócił oczy na baronową i obejrzał ją impertynencko od stóp do głowy.

Filip uczynił ruch, jakby go chciał laską uderzyć, ale powstrzymał go niecierpliwy głos towarzyszki:

— *Allons donc!* jeśli masz ochotę rozpocząć burdy z ulicznikami, to proszę beze mnie.

Spojrzał na nią, przelękły tym tonem, który po raz drugi już słyszał. Wtedy nastąpiło zerwanie, teraz co będzie?

Śpiewak nadszedł, więc wsiedli do gondoli i wypłynęli na środek kanału.

Baronowa była milcząca. Rozłożyła się wygodnie, a Filip, siedząc u jej stóp, wpatrzony, rozkochany, myślał, że rozdrażnienie jej wywołali ludzie, że teraz w ciszy marzy o nim i że gdy się odezwie, powie mu gorące słowo.

Wtem podniosła głowę i rzekła:

— Czy ty myślisz długo mnie jeszcze trzymać w hotelu?

— Jak to? Chcesz wyjechać?

— Nie, ale dłużej znieść nie mogę tego, co mnie dziś przy obiedzie spotkało.

— Chcesz zmienić hotel?

— Hotel! hotel! Może mi zaproponujesz jakieś albergo na smrodliwym zaułku! Przyznaj się, żeś dotąd podróżował tylko z subretkami. Myślałam, że zrozumiesz sam, iż w Wenecji ludzie z towarzystwa wynajmują pałace, a hotele zostawiają bankrotom i biedakom! Ten pałac oto — pewnie do wynajęcia? Eh, *gondoliere?*

Zawołała i spytała o nazwę pałacu. Podobał jej się i gonila za nim wzrokiem. Filip rękę jej do ust podniósł. Śpiew go upajał, namiętność ogarniała coraz potężniej.

— Moja pani będzie miała jutro pałac — szepnęła. — Dlaczegoś wcześniej nie żądała? Ty wiesz, że nie poczytalny. Ni myśleć, ni zająć się czym innym nie zdołam — tylko tobą.

Uradowała ją obietnica. Raczyła uśmiechnąć się i wesoło dawała resztę poleceń.

— Jeśli ten nie umeblowany, pozwalam ci wybrać inny, byle tu niedaleko i byle mi było wygodnie. Służbę sama dostanę, ale gondolę powinniśmy mieć własną — całe gospodarstwo nasze. Nam tu tak dobrze, zostanmy, ale bądźmy jak w domu.

— A wśród służby ja będę! Wybierzesz mnie czy mam się wprosić gwałtem? — rzekł obejmując ją ramieniem.

— Będiesz, będziesz “majordomo” — odparła zalotnie. Zgoda zapanowała. Cały wieczór była rozkoszna, uszczęśliwiona, że może zbytkowi męża pokazać swój zbytek.

Nazajutrz Filip puścił się na poszukiwania. Znalazł pałac, jak sobie życzyła, ale naznaczono cenę bajeczną. Śpieszył się do niej, nie chciał się targować, bał się że go w najmie ktoś uprzędzi; więc cenę przyjął, kontrakt zawarł i zapłacił półroczną dzierżawę.

Zaledwie wracając do hotelu zastanowił się, że popełnił szaleństwo, obrachował swój zapas gotówki.

Ale był w stanie takim, w którym opamiętanie jest niemożliwym. Wrócił — za zadowolenie zachcianki otrzymał zapłatę w pocałunkach i tegoż dnia przenieśli się na własne gospodarstwo. I szczęśliwy był patrząc na jej uciechę.

Nazajutrz znowu ją rozczulił nabyciem ślicznej gondoli, i tak chwilowo chmura zebrana przez przyjazd Faustangera była zażegnana.

Ale zapas gotówki malał co dzień. Filip rachować nie chciał. Czerpał i rzucał złoto pod nogi, rad, że chce po nim deptać, że go widocznie uważa za swego, że się już nie krępuje i nie wzdraga.

Nadszedł wreszcie dzień, że Filip zajrzał do swego pugilaresu i policzył. Wtedy przez sekundę przeraził się i zdumiał. Z tysięcy zostały tylko setki.

Ale zastanowienie trwało bardzo krótko. Napisał do kolegi w Krakowie, by sprzedał całe umeblowanie jego mieszkania i przesłał mu pieniądze — i dalej się o to nie troszczył.

Kolega, otrzymawszy list, poszedł z nim do Osieckiej, ale jej nie zastał. Wyjechała nie wiadomo dokąd, zabierając z sobą klucze od mieszkania.

Z odpowiedzią się nie kwapił, oczekując lada dzień powrotu majorowej, nie przypuszczał, by bogaty Osiecki potrzebował pieniędzy.

Tymczasem topniały setki Filipa. Szczęśliwość jego zaczął psuć niepokój i oczekiwanie sukursu. Pierwszy raz musiał odmówić baronowej kosztownej jakiejś zachcianki tłumacząc, że mu pieniędzy z kraju nie nadesłano. Piękna pani patrzyła na niego ze zdumieniem, potem z pogardą, i rzecz szczególna, to nie ona się wstydziła wyzysku, ale on — odmowy. Zaraz wyprawił depezę do kolegi i niecierpliwie wyglądał odpowiedzi.

Przyszła — niepomyślna. Osiecka wciąż była nieobecna, lokal pod jej kluczem, ale kolega posyłał przekaz do bankiera na sporą kwotę, którą Sylwester złożył do chwili załatwienia interesu z meblami. Chciał je nabyć.

Filip odetchnął. Burza była znowu zażegnana, mógł znowu dogadzać fantazjom baronowej. Ale ona od pewnego czasu była w niełaskawym humorze —

rozdrażniona, kapryśna, sto razy na dzień zmienna, niestała w żądaniach nawet. Nie kryła przed nim, że się nudzi, że ją nic nie bawi, że jego towarzystwo jej nie wystarcza, że ją męczy dwuznaczna pozycja.

Faustangera spotykali prawie co dzień w gondoli, w teatrze, na Lido, po kościołach i galeriach, zawsze w towarzystwie Francuzki. Nigdy nie okazał nawet, że poznaje żonę. Był dla swej towarzyszki uprzedzająco grzeczny. Przepych jego pałacu i zbytek zwracały ogólną uwagę i podziw.

Rzadko kiedy Oryż był z nimi. Tego można było spotkać po zaułkach charakterystycznych, po ciemnych kościołach lub na piasku, na Lido, pogrążonego w próżniaczej ekstazie. Jeśli towarzyszył Faustangerowi, to chyba jako cicerone, bo po tygodniu już Wenecję znał na pamięć i umiał pokazać, co godne było widzenia.

Razu pewnego spotkali się tak w pięcioro wśród małej gromadki Anglików, w Pałacu Dożów. Filip umyślnie chciał tamtych wyprzedzić lub wyminąć, ale bądź wypadek, bądź złośliwość Faustangera lub baronowej sprawiły, że spotykali się co chwila.

Filip, jak zwykle pochłonięty szalem, miał tylko dla niej oczy i uszy i zmęczony przymusem, jak automat przechodził z sali do sali. Tamci się bawili wyśmienicie, bo Oryż im wykladał po swojemu historię Wenecji i jej sztuki. Jego oryginalne zdania i uwagi zajęły nawet baronową. W jednej z sal usunęła się trochę od Filipa, znudzona jego małomównością i czułymi spojrzeniami. Słuchała Oryża i chciała spotkać wzrok męża. Czowała, że taktyka jej dotychczasowa była niepraktyczną.

Przeszli tak cały pałac, zatrzymali się na podwórzu. Baronowa zwróciła się do Filipa:

— Zaczekam tu na ciebie. Idź, przynieś mi róż lub fiołków!

Ruszył bez słowa jak dobrze wytresowany pies, a ona poprowadziła go wzrokiem; potem powoli zbliżyła się do studni, przy której stał sam Faustanger. Francuzka z Oryżem byli jeszcze na galerii.

— *Eh hien, baron!* — szyderczo rzekła piękna pani. — Czy udajesz, że mnie nie znasz, abym nie zażądała rozwodu? Faustanger obojętnie ruszył ramionami.

— Bez żądania i prośby mogę go mieć i wezmę, kiedy mi się podoba. Rychło! A gdybym poznawał panią, tobym musiał się bić z tym chłystkiem. Znajduję zaś, że szpada i pistolety... za dobre dla was i za was!

— Cóż znaczył list i depesza o śmierci Ludwika, jeśli się znać nie mamy? — rzuciła z widocznym rozdrażnieniem.

— Chciałem uspokoić panią, a szczególnie kochaną teściową, że wam na kark już nigdy nie spadnę. Mogę kupić sobie dzisiaj dziesięć takich jak wasz majątków i mieć sto kochanek od pani piękniejszych. Zresztą wspomniała pani o rozwodzie. Mam w tej kwestii trochę do pomówienia. Proszę mnie wezwać do siebie, byłem nie zastał tej lali. Nie lubię patrzeć na głupców.

Filip wynurzał się spod arkady. Baronowa rzuciła tylko: “Jutro w południe!” i odeszła.

Wzięła kwiaty, ale ręce jej drżały i z jego spojrzenia poznała, że widział jej rozmowę z mężem, więc uprzedzając pytanie rzekła:

— Mój eks-mąż raczył mnie poznać. Powiedziałam mu, że doskonale bez znajomości się obejdę.

Filip podziękował jej wzrokiem i odeszli przytuleni do siebie jak para szczęśliwych.

Jednakże, pomimo całego panowania nad sobą,

baronowa była roztargniona przez dzień cały. Filip ani przypuszczał, że układała program na dzień jutrzejszy bez niego.

Wreszcie wieczorem rzekła:

— Mój drogi, musisz wieczorem zrobić ofiarę z siebie. Wrócisz do Palazzo Ducale i zdejmiesz mi szkic z owego Triumfu Wenecji Veronese'a — ale drobny, ot na ćwiartce papieru listowego. Napiszę na niej list do Lidii — wiesz, to moja koleżanka w Paryżu. Obiecałam jej oryginalną pamiątkę z Wenecji.

— Od wielu miesięcy nie trzymałem już ołówka w ręku. Zrobię coś niemożliwego! — zaprotestował.

— Ach, co mi do tego, byłem obietnicy dotrzymała. Pójdiesz tam rano i zaczekasz na mnie. Przyjdę po ciebie i pojedziemy na Lido.

Filip uśmiechnął się na tę dziecinną zachciankę, ale znowu nie próbował odmówić. Zresztą była serdeczna jak rzadko, więc gotów był iść do Palazzo choćby zaraz.

Rano, gdy się baronowa zbudziła, nie było go już w domu. Uśmiech zadowolenia i szyderstwa mignął po jej twarzy, zamruczała:

— Ano, kto mu winien, że głupi!

Układała plan rozmowy z mężem i oczekiwała go niecierpliwie, nasłuchując na każdy ruch w domu. Nie wstawiała ani myślała o ubraniu się, tylko raz wraz spoglądała w lustro przybierając rozkoszne pozy i spojrzenia.

Punktualnie w południe zjawił się Faustanger.

Gdy go wezwano do sypialni, zawahał się sekundę, potem ręką machnął i poszedł za subretką, która mu otworzyła drzwi i natychmiast je za nim zamknęła. Rotmistrz już odzyskał swobodę. Obejrzał pokój urządzony

zbytkownie i rzekł siadając bez ceremonii na krześle jak na koniu:

— Tym tempem jadąc prędko swojemu gachowi uszyjesz torbę. Wiesz co, dla takiego kielbía szkoda się kompromitować. Mocnom ci zobowiązany, że nie używasz mojego nazwiska, a to bym się musiał wstydzić!

— Nie ciekawam pana uwag i komentarzy. Zdaje się, że nie mamy sobie nic do wyrzucenia wzajemnie. Pańska towarzyszka również niewarta tyłu zachodów. Można taką taniej dostać. Ale do rzeczy. Miała być rozmowa o rozwodzie.

— Właśnie. Teraz pora na to. Mogę go udzielić z całą przyjemnością.

— Może aby poślubić pannę Lili Fanchon?

— A choćby! Nie będę miał żadnych złudzeń ani rozczarowań.

I zaczął gwizdać przez zęby.

Baronowa przeciągnęła się ruchem rozkosznym i uśmiechając się rzekła:

— O, co za poza niezręczna! Nie udawaj, bo ci nie do twarzy. Chodź bliżej, możesz pocałować.

Faustanger skoczył jak rozjuszony tygrys.

— Ja? Chodź bliżej! Cha, cha! Dobra sobie! To ty mi do nóg i na kolana! Zapominasz, że się role zmieniły! Pisałem ci, żebyś gachów przegnała na cztery wiatry. Nie spełniłaś, teraz cierp! Ja tyle dbam o ciebie co o robaka pod nogą. Rozdepcę i dalej pójdę.

— Albert! — krzyknęła.

— Milcz! Łaski pros i rozkazy spełniaj. Byłem ci sługą, kochankiem, mężem — deptałaś mnie. Teraz, jeśli chcesz pana i kata, to nim mogę być. Niczym innym! Jesteś nędznicą bez czci i wiary; ale że moje nazwisko nosisz i

dużo mi od ciebie się należy, więc cię przyjąć mogę. Tylko zanim się na to zdecydujesz, dobrze się namyśl, bo ci oddam za wszystko. Pamiętaj!

Oczyrna jej groził i — smagał pochylony naprzód, miał ruch tygrysa gotowego do skoku.

Baronowa wzroku z niego nie spuszczała: dyszała, jakby ją ten szal upajał.

— Czegóż żadasz? — spytała mętnym tonem.

— Żebyś wobec swego gacha i matki na kolanach prosiła mnie o łaskę i przebaczenie i wyznała mi swoją miłość.

— Oszalałeś! To niemożliwe. Powiedz mi, gdzie mam się udać do twoich dóbr, a jutro tam ruszę.

— Doprawdy? — zaśmiał się ironicznie. — I to ci chodzi po głowie! Chcesz być co rychlej kasztelanką, a mnie przedstawić jako głupca i naiwnego. Za późno! Zrobisz tak, jak ci każę, albo dostaniesz rozwód. Rozumiesz, że dadzą mi go bez wielkiego starania. Ułatwiłaś mi interes swym prowadzeniem się i to dowodzi, żeś nie tak sprytna, jak się wydajesz.

Roześmiał się i wstał.

— Zresztą, jak sobie chcesz. Dla mnie teraz świat cały otwarty, dla ciebie coraz ciaśniej, więc pomyśl i rozważ. Jutro wyjeżdżam do Monako. Jeśli się zdecydujesz, daj mi znać. Będę czekał dwa tygodnie.

Baronowa umilkła i magnetyzowała go wzrokiem.

Faustanger oczu z niej nie spuszczał, ale czuł, że długo nie wytrzyma, więc nadrabiając miną ukłonił się z daleka i wyszedł. Na schodach odetchnął głęboko i otarł czoło i oczy.

— Szatan kobieta! — zamruczał. — Już drugi raz nie pójde do niej na trzeźwo. Musi mi Oryż dodać rezonu. A to

— gotówem przegrać!

Ale Oryża nie zastał. Od rana siedział i on w Pałacu Dożów i szkicował ten sam obraz, co Filip, patrząc ze złośliwą radością, jak tamtemu robotą nie szła.

Rzeczywiście Osiecki zupełnie stracił wprawę i oko, przy tym roztargniony był i czym innym zajęty, coraz bardziej tracąc cierpliwość w miarę upływających godzin. Nareszcie mniej więcej szkic ukończył i ruszył do domu.

Baronową zastał w łóżku rozgrymaszoną i kwaśną. Skarżyła się na wilgoć i newralgię, na nudy i ciszę. Chciała zmiany: na szkic ledwie spojrzała i odrzuciła go.

— Mam dosyć Wenecji. Chcę innego życia! Wszystko tu mi obmierzło. Żałuję, że wyjechała od matki. Miałam tam towarzystwo.

— Możemy ludzi poszukać, świat wielki! — zaproponował natychmiast.

Uśmiechnęła się wesoło.

— Tyś idealny człowiek. Kocham cię, uwielbiam za poczciwość! Jedźmy na Riwierę. Tam tak cudnie, tak wesoło.

— Jedźmy, ale gdzie?

— Do Nicei. Tam najtaniej i najwygodniej. O, ja się robię oszczędna! Zobaczysz, jak umiem byle czym się obchodzić.

Wierzył we wszystko, co mówiła, uśmiechając się i pieszcząc. Znał ją taką, jaką sobie wymarzył, widział to, co sam czuł.

Nie dała mu zresztą czasu do namysłu. Gorączkowo zaczęła się pakować, śpieszyć, naglić do wyjazdu. Nie chciała czekać następnego dnia. Wyjechali tegoż wieczora, zostawiając pałac na opiece obcej służby, a rachunki — przepłacone skutkiem pośpiechu.

Mniejsza o takie drobiazgi, ale baronowa postawiła na swoim — uprzedziła męża w Monako. Mogła się pochwalić, że to on ją ściga, gdy w parę dni spotkali w domu gry Faustangera z Francuzką.

Tydzień widywali się codziennie. Szczęście w grze nie sprzyjało baronowej, nie rachowała, ile przegrywała, czerpała z portmonetki Filipa, roznamiętniona widokiem męża, który, przeciwnie, ciągle wygrywał i obojętnie odsuwał wygraną Francuzce.

Nareszcie pewnego wieczora Filip frasobliwie się zamyślił, westchnął, stęknął i po długim milczeniu rzekł:

— Będę musiał opuścić cię na tydzień. Zadrżała z radości, ale się wnet opamiętała.

— Nie chcę! — zawołała kapryśnie.

— Wolałbym ciężką chorobę, ale muszę! — odparł desperacko. — Muszę do Krakowa pojechać, oswobodzić się spod kurateli tych bab. W ich ręku zostawiłem nieopatrznie swój kapitał. Naturalnie, teraz nie dają znaku życia — ja się im przypomnę.

— I zostaniesz! — rzuciła z doskonale udanym niepokojem i zazdrością.

— Ja? — roześmiał się obejmując ją gorejącymi oczyma. — Jeśli prawdą jest, że duch po śmierci jeszcze błądzi po ziemi, to i po śmierci jeszcze ja ciebie nie opuszczę, cieniem twym będę.

Wzdrygnęła się nieznacznie. Nie wątpiła, że zabrała mu wszystko i przykuła go do siebie; że zdradę jej on życiem przyplaci — i to widmo, o którym mówił, mignęło jej w oczach nie wyrzutem, ale strachem. Była to zapowiedź, że nie pozbędzie się go łatwo i że niewolnik może się stać szaleńcem. Ale po chwili uspokoiła się. Obroni ją wtedy Faustanger.

Więc odpowiedziała spokojnie, prawie żartobliwie:

— No, prawda! Pojechać musisz. Będę cierpliwa i wyrozumiała. Jeśli mi się tu znudzi bez ciebie, wyjadę na spotkanie do Wenecji. Tylko nie siedź tam długo. Przywykłam tak do ciebie, że gotowam tęsknić.

Potem nieznacznie nagliła go do wyjazdu.

— Jeśli co przykrego ma się stać, to niech się stanie rychło. Oczekiwać przyjemności — ciężko, tym bardziej — przykrości. Jedź i wracaj prędko.

Towarzyszyła mu na dworzec i zachowała po mistrzowsku okolicznościową pozę, ale gdy pociąg ruszył, odetchnęła z rozkoszą.

“Teraz spróbujemy swych sił, panie baronie” — myślała, wracając do hotelu.

Filip tymczasem śpieszył do Krakowa.

Kurierskie pociągi wydawały mu się powolnymi, przystanki męczarnią. Liczył godziny ze wstrętem, że tyle ich przeżyć musi bez niej!

Nareszcie stanął u celu i wprost z dworca ruszył do mieszkania Magdy i Osieckiej.

Gotów był na skandal — rozdrażniła go tęsknota.

Służąca na jego widok przełękła się i nie wiedziała, co rzec.

— Pani w domu? — spytał ostro.

— W domu. Onegdaj przyjechała, jutro odjeżdża.

— Powiedz, że mam pilny interes i chcę ją widzieć natychmiast.

Wyszła, zostawiając go w przedpokoju, i rzecz dziwna, śmiałość go zupełnie odbiegła.

Czuł się tu tak obcym, tak wrogim, że nawet się nie ośmielił wejść do salonu.

Myślał, że Magda tu jest, przez ścianę, i lęk go ogarnął

przed jej spojrzeniem.

Służąca wróciła po chwili i wręczyła mu spory pakiet.

— Pani majorowa kazała to panu oddać i powiedzieć, że jest zajęta i przyjąć nie może, lecz prosi, aby pan się udał do doktora Malickiego.

Filip zajrzał do koperty. Pełna bankowych biletów. Na razie nie wiedział, co rzec służącej, która patrzyła nań z niechęcią.

— Podziękuj pani majorowej — wykrztusił wreszcie. — A młoda pani jest w domu?

— Nie. Wyjechała już dawno.

Nie było tedy co robić; najdrażliwszy interes poszedł gładko — niespodziewanie, obeszło się bez sceny. Wyszedł myśląc, czy warto iść do Malickiego. I tych oczu się bał, i szorstkiej prawdomówności starego.

W hotelu przeliczył pieniądze. Były w porządku, ale postanowił skończyć od razu wszystko, aby nie potrzebował już nigdy tutaj wracać.

Po południu poszedł do Malickiego.

Doktor na jego widok ręce schował do kieszeni i uprzedzając powitanie zawołał:

— Ha, zjawiłeś się przecie! No, mam tu dla ciebie pieniądze osiągnięte ze sprzedaży ruchomości. Stach mi to zostawił, wyjeżdżając nad morze. Poszło wszystko za pół darmo, ale żeś tyle już stracił, to i materialną stratę zniesiesz stoicznie.

— A cóżem stracił, profesorze? — zagadnął Filip nadrabiając miną.

— Ano, jak dla jednej osoby to dosyć. Straciłeś talent, sumienie i poczucie etyczne. Fundusz za tym pójdzie, a może i życie. Przyznaj, że gdybyś był dosyć przytomny, by zestawić swój moralny bilans, tobyś już nie czekając na

moje zdanie ogłosił się bankrutem.

Filip się cynicznie roześmiał.

— Wolno mi bankrutować, bo nie pociągam za sobą obcych kapitałów. No, i co do sądu o sobie... jestem pełnoletni.

— Pełnoletni, ale niepoczytalny chyba, jeśli masz siebie za niewinnego. Ostatecznie nie myślę moralizować ani przekonywać, tylko wiedz, co o tobie sądzą ludzie normalni. Wolno ci mieć romans z awanturką, ale nie wolno, wskutek kłótni z nią, żenić się z uczciwą dziewczyną, nie wolno, przyjąwszy obowiązki dojrzałego człowieka, rzucać ich i deptać, i żyć w skandalu.

— Pan zapomina, że gdym się żenił, opinia Magdy nie była świetną. Dałem jej swoje nazwisko i rehabilitację.

— Chyba dla gawiedzi, bo kto ją znał, ten ofiary twojej wcale nie potrzebował. Zresztą dalszy ciąg tej opieki okazał, czym była. Trzeba rozróżnić tłum od ludzi, mój drogi. Pierwszy krzyczy i idzie za pozorem, drudzy myślą i szukają treści. Ty możesz mieć wielu obrońców i towarzyszków, twoja żona będzie miała przyjaciół. Zresztą nie jej wyrządziłeś krzywdę, ale sobie.

— Wierzę! — szyderczo rzekł Filip. — Musiała być rada, gdy się mnie pozbyła, i pewnie się nie skarżyła. O, żeby ona była inna, nie straciłaby mnie!

— Być może, ale ty, znając swoją naturę, powinieneś być szukać innej. Teraz wyglądasz fatalnie i żyjesz nie zdrowiem, ale podnieceniem nerwów. Źle skończysz, to pewna! Ale cóż robić? Tego, co ci zalecę, nie spełnisz ani nie uwierzysz w to, co ci z doświadczenia powiem. Jaka to szkoda, że człowiek nie pierwiej nabiera rozumu, aż sam sobie przyzna, że był głupi. No, lada dzień się o tym przekonasz. Oto masz pieniądze. Fink i Sylwester obłowili

się na tobie, ale toć zawsze tak: *Vae victis!*

— Czy żona moja nie poleciła panu załatwienia ze mną pewnych rachunków?

— Nie. Żadnych pretensyj nie rości ani do ciebie, ani do twego funduszu.

— Pan raczy jej oznajmić, że w razie chęci otrzymania rozwodu, z mojej strony na opór nie trafi...

— Wątpię, czy jej co na tym zależy i czy będzie miała chęć do powtórzenia sakramentu małżeństwa.

Doktor widocznie powiedział wszystko, co mu leżało na sercu, bo odpowiadał już z roztargnieniem, co chwila na zegar spoglądając.

Filip przeliczył pieniądze, kwit wypisał i wstał, aby się pożegnać.

Miał przykre wrażenie, że doktor może mu nie podać ręki, więc się tylko z daleka uklonił i wyszedł pełen niesmaku i jakby po porażce zawstydzony.

Udał się na obiad do restauracji i tam, naturalnie, spotkał Sylwestra.

Ucieszyli się wzajemnie i przywitali serdecznie.

— Figlarz z ciebie, figlarz — groził mu stary, mrugając filuternie i pobłażliwie zarazem.

— Cóż tu piorunują bardzo na mnie? — odparł Osiecki rad, że przecież nie trafił na morały.

— Ano pewnie! — rozłożył ręce Sylwester. — Dużo jest tych, co zazdroszcza, więc krytykują. Ale co gorsza, inni dowodzą, że cię baronowa spłucze i wróci do męża! Jakże? Nie słychać tam nic o nim?

— Lada dzień na rozwód się zgodzi.

— Cóż z tego! Za późno!

— Jakto! Sądzę, że i moja żona mnie uwolni. Gdzie ona bawi?

— Różnie mówią. Jedni, że krąży incognito po Włoszech za tobą, drudzy, że podróżuje z Oryżem, trzeci, że gdzieś odbywa rekolekcje. Nie ma jej tutaj, to fakt.

— Szkoda, rozmówiłbym się ostatecznie.

— Długo zabawisz?

— Do wieczora.

— Tak ci pilno?

— Do szczęścia zawsze pilno. Gdzież jest radczyni?

— Wyjechała do Sokolina. Ta się pewnie o córkę nie upomni, bądź spokojny.

— Tak dalece, że na listy nawet nie raczy odpowiadać.

— Teściowa wygodna, ani słowa. Tylko nie żądajcie od niej pieniędzy — zaśmiał się Sylwester.

— Podobna do mojej żony: wygodna, tylko nie żądajcie od niej miłości — odparł Filip.

— Taak? Ano, to się nawet nie dziwię. Mój drogi, ja miałem rozum, żem się nie dał złapać na sakrament. Osiecka, która ciebie oczerniła jak kominiarza, o tym nie raczyła wspomnieć. To tak?...

I kiwał głową z porozumieniem.

Filip, podniecony sympatią, rozgadał się o swoim szczęściu obecnym i niedoli poprzedniego pożycia, a Sylwester, z wprawą plotkarza, dobywał z niego coraz nowe zwierzenia.

Gdy się rozeszli, wrażenie rozmowy z Malickim było najzupełniej zatarte i Filip miał przekonanie, że postąpił logicznie, naturalnie i prawnie i że Sylwester był najrozsądniejszym człowiekiem w Krakowie.

Jednakże dzień ten wydał mu się nieznośnie długim, a miasto pustym. Zaledwie doczekał wieczora i odetchnął z ulgą w wagonie.

Teraz pędź, goń — do szczęścia!...

W Monte Carlo stanął po południu. Udał się wprost do mieszkania, serce mu biło, promieniała twarz. Mieszkanie zastał zamknięte. Nie obudziło to w nim żadnych podejrzeń. Gdy nie ujrzał jej na dworcu, myślał, że zasnęła; gdy drzwi zastał zamknięte, nie stukał nawet długo, ale zbiegł na dół i wstąpił do portiera zapytać: w którą stronę poszła na spacer?

— *Oh! madame est partie* — odparł.

— Wyjechała? Dokąd? Nie zostawiła listu?

— Nie. To jest owszem, mam coś do tego numeru. Depesza. Filip spojrzał coraz mniej pojmując. Była to jego depesza wysłana z drogi wczoraj. Co to znaczy?

Tymczasem portier, jakby sobie powoli tę sprawę przypominał, rzekł:

— Pani wyjechała nagle i na czas krótki zapewne, bo kufry zostały w mieszkaniu.

— Proszę o klucze zatem — odparł Filip.

Poszedł do mieszkania. Zdradzało ono rzeczywiście wyjazd niespodziewany, jakby ucieczkę: kufry otwarte, ubranie porzucane, pościel zmięta.

Nigdzie jednak listu, ani słowa jednego.

Oszołomiony, z chaosem myśli, tracąc głowę, chodził z pokoju do pokoju, od sprzętu do sprzętu, jak maniak, wciąż szukając kartki, jakiegoś znaku wytłumaczenia.

Wreszcie padł na fotel, zaczął zbierać zmysły, kombinować i nagle myśl jedna, jak wyzwolenie, wzbiła się nad chaos.

— Uciekła od Faustangera! Ten bydlak może jej ubliżył, może napadł, może groził? Uciekła biedna! A gdzie? Naturalnie do Wenecji! A ja, wariat, tyle czasu nie mogłem tego się domyślić!

Roześmiał się i zupełnie uspokojony zawołał służącą.

— Proszę to upakować — rozkazał, biorąc się też do zbierania manatków.

Teraz rozczulony był jej niedolą, niespokojny, czy nie przechoruje przykrości i strachu, zły na siebie, że ją opuścił, naraził na to utrapienie.

Byle prędzej stanąć w Wenecji, uspokoić ją, utulić, upieścić, pocieszyć!

Palił go grunt pod stopami. Kufry polecił wysłać za sobą i pierwszym pociągami ruszył w pogoń za swoim bóstwem.

Był wczesny ranek, gdy stanął u celu.

Przed ich pałacem gondola stała nieruchoma, firanki zapuszczone, żadnego ruchu w domu. Zadzwoił. Odźwierny długo kazał czekać na siebie. Gdy go ujrzał, przeraził się.

— Pani śpi? — spytał Filip.

— Pani? Nie ma pani.

Filip zbladł i oparł się o ścianę.

— Nie ma pani? — powtórzył głucho. — Ale była tu tymi dniami?

— Nie było nikogo — odrzekł Włoch, patrząc z ciekawością i zdziwieniem.

Nagle Filip poczerwieniał, zatoczył się i upadł na posadzkę sieni. Świat wirował mu w oczach, potem uczył jakby grozę śmierci i stracił zupełnie przytomność.

Gdy przyszedł do siebie, ujrzał obcego człowieka, który go trzeźwił. Był to lekarz, którego odźwierny sprowadził, przerażony wypadkiem.

Pierwsza myśl nieszczęsnego była o niej. Oburącz za głowę się objął i zajęczał:

— Nie ma jej, nie ma! Zdradziła!

Żadnej iluzji nie miał, żadnej nadziei i żyć nie chciał. Odrzucił doktora, który mu podawał jakąś miksturę, zerwał

się, rzucił do drzwi.

Pochwycono go, odprowadzono do łóżka. Wtedy kłąć zaczął:

— Precz stąd, szakale! Zdrów jestem, nie potrzebuję nikogo. Bodaj was piekło pochłonęło!

Potem rozpacz go porwała znowu. Zwinął się jak robak, twarz ukrył w dłonie, jęczał.

— Atak mózgowy — zdecydował doktor, pisząc długą receptę.

A Filip, dysząc nierówno, drżał na całym ciele. Prawdzie strasznej, co mu druzgotała życie, chciał w oczy zajrzeć i nie mógł jeszcze.

— Boże, Boże! Com ja jej zawinił? Za co mnie opuściła? To być nie może!

Uczepił się jak topielec tej wątpliwości.

— To być nie może! Pojechała gdzie indziej, może na parodniową wycieczkę. Wróci!

Oprzytomniał, odzyskał cokolwiek równowagi, mocy nad sobą.

Przemówił do doktora, podziękował za staranie, opłacił go po królewsku, powiedział, że zemdłał wskutek zmęczenia, że mu się to często zdarza, i po godzinie pozbył się nareszcie nieznośnego świadka, po czym i odźwiernego za drzwi wyrzucił.

Otucha wracała zbrojna w argumenty.

Dlaczego zaraz przypuszczał najgorsze, dlaczego ją posadzał, dlaczego koniecznie miała być w Wenecji? Mogła równie dobrze wyjechać na dni parę do Florencji, Rzymu, San Remo, byle gdzie... Teraz może już jest z powrotem w Monte Carlo i dziwi się jego postępkowi!...

Coraz bardziej wierzył w swoje nadzieje, odzyskiwał spokój. Ubrał się i wyszedł. Wysłał do niej depeszę, a

potem, aby czas zabić, ruszył na Plac św. Marka. Na Piazzecie u stóp św. Teodora ujrzał Oryża.

Z albumem na kolanach szkicował ruchliwy tłum na wybrzeżu i gwizdał przez zęby. Dlaczego Filip go zaczepił? To było niczym nie wytłumaczone, nielogiczne, niepotrzebne.

Zatrzymał się nie rezonując ani myśląc; spojrzeli na siebie i Osiecki spytał:

— Cóż to? Patron cię wygnał, żeś za nim nie pociągnął na Riwierę, mości panie malarzu?

Oryż przestał gwizdać i rysować. Łokcie na kolanach wsparł i odrzekł pierwszy raz w życiu bez szyderstwa i złościwości:

— Baron Faustanger pojechał na Riwierę, żeby żonę odzyskać, a że ja tego bagażu nie posiadam, więc nie miałem po co tam jeździć.

Filip chwilę patrzył na niego błędnie, potem skoczył naprzód, jakby go zadławić chciał.

— Kłamiesz! — krzyknął ochryłym głosem.

Oryż ramionami ruszył.

— Nie należę do tak zwanego “towarzystwa”, więc nie zadaję sobie fatygi kłamać. Pisał do mnie wczoraj, że się z żoną pogodził i że jadą do Sokolina, do teściowej. Myślałem, że pan już wiesz o tym. Jeśli pierwszy to oznajmił, to mocno żałuję.

Filip stał jak skamieniały. Teraz miał całą prawdę — nagą, zimną, nieubłaganą jak śmierć; musiał jej w oczy patrzeć, zwyciężyć lub ulec.

Taka straszna nędza i rozpacz odmalowała się na jego twarzy, że go nawet Oryż pożałował; zapomniał, że go nienawidzi, że z jego racji on podobnież cierpiał.

Wstał słuchając pierwszego porywu litości, pod ramię go

wziął i rzekł:

— Chodź pan stąd!

Filip się nie opierał. Machinalnie dał się prowadzić, wsadzić do gondoli, wieść, nie pytając dokąd.

Oryż zawiózł go do mieszkania, chciał zostawić samego, ale się bał pierwszego wybuchu po znieczuleniu, więc pozostał. Filip upadł na fotel, odrzucił głowę na poręcz i patrzył mgławo w próżnię. Oryż stanął u okna i spoglądając zamyślony na barwny i ruchliwy kanał spod oka go obserwował.

“Może wyjść, zostawić go? — rozmyślał. — Jak go ból do cna przejmie, to w łeb sobie palnie! Naprawdę, co on ma lepszego do zrobienia? Mosty spalił; ta hydra wysssała z niego duszę już. Długie lata żyć takiemu — po co! Ale gdybym go nie dopilnował, gdyby on się zabił, Magda by pomyślała, zem taki jak wszyscy. No, nie! Oryż nie był i nie będzie podobny do reszty. Byłem całe życie gorszy, głupszy, podlejszy; teraz będę lepszy. Żeby on mnie miał stąd wyrzucać, plwać, kłać — zostanę. Ale co u licha? Gadać do niego czy milczeć?”

Filip sam go wybawił z kłopotu. Ocknął się jak ze snu i nieswoim głosem pytał:

— Więc pan miałeś list od Faustangera onegdaj? Żebym ja go mógł przeczytać!

— I owszem. Mam go przy sobie. Czytaj pan i pociesz się po stracie, bo szkoda dla takiej żalu. Człowiek po zdradzie myśli, że nie przeżyje, ale to furda! Żaden płaz nie ma tak twardego życia jak człowiecze serce.

Filip nie słyszał nic. Wziął list, otworzył:

“Mój przyjacielu, dziś rano miałem odwiedziny Alicji. Ostatecznie twoje przypuszczenia były trafne; musiałem

dla niej trochę ustąpić ze swych wymagań — darowałem scenę przeprosin wobec amanta, którego notabene nie było w tej chwili pod ręką. Mniejsza o to: jest zupełnie upokorzona i podbita, a liczę, że dosyć posiada arytmetyki, żeby mi się nie narażać w przyszłości. Wyjeżdżamy dzisiaj wprost do teściowej do Sokolina. Wyobrażam sobie słodkie oczy ropuchy na mój widok. No, tedy interes załatwiony. Polecam ci sprzedaż moich ruchomości w Wenecji. Ile za to weźmiesz, odeślij Lili do Paryża. A pamiętaj, że masz przyjaciela na całe życie.

Faustanger”.

Filip się zerwał, cisnął list w stronę Oryża.

— Więc pan tu pozostał, aby czatować na mnie i zobaczyć skutek tej intrygi? Może tu jesteś z polecenia mojej żony? Triumfujecie teraz! Precz stąd!

Był błądy, wściekły, bez kropli krwi na wargach. Rzucił się na Oryża, chciał bić, szarpać, deptać go w swym szale niepoczytalny.

Nagle chwycił go zawrót głowy, przez sekundę widział jakby przepaść pod nogami, strach, zgrozę — zatoczył się, rękami uderzył w próżnię i Oryż pochwycił go, gdy już padał nieprzytomny.

Teraz nie był to atak chwilowy; była to śmiertelna choroba. Do wieczora leżał już bez pamięci i czucia, w boju o śmierć lub życie, z zapaleniem mózgu.

Oryż wezwał trzech lekarzy i zasiadł u jego łóżka, z troskliwością niańki dogładając go, jakby mu był najbliższym.

Chciał telegrafować do Magdy, ale po namyśle zawiadomił tylko Berwińską.

— Kobiety zawsze lepiej jedna drugą rozumieją niż my.

Kto je tam zgadnie! — zadecydował.

Chory zajmował mu teraz dni i noce.

Leżał w malignie, zrywał się, rzucał, gadał od rzeczy lub zamierał, tak strawiony gorączką, że do żywego już nie był podobnym.

Bywały chwile szału, że Oryż mu podolać nie mógł, wołał służbę do pomocy. Bywały inne, iż ledwie mógł oddech usłyszeć, rozeznąć, że w tym zniszczonym ciele duch jeszcze tli.

Straszne też były czasem w ciszy nocnej jego widziadła, jego monologi, z dna duszy dobyte męty i gorycze. Słuchając, Oryż zestawiał go z sobą:

“On dostał wszystko, czego ja nigdy mieć nie będę! Ha, może to zdrowo? Licho wie, byłbym może jak on rozbity... Podła rzecz tak przeżyć same pomysły od razu! Lepiej ich wcale nie znać... Co mu zostanie? Uch! Zgrał się jak skrzypce. Jednakże ze złych numerów na loterii życia chyba najgorszy — kobieta! Ba, albo najlepszy? Ta moja! Ha — może ona i jego jeszcze wyciągnie. Jeśli wyżyje, ma do kogo wrócić i zapomną mu wszystko, i przebaczą, i rozczulać się nad nim będą! Alboż jest sens na świecie? Jednakże ja bym się z nim nie pomieniał i w oczy Magdy w jego roli patrzeć bym nie chciał. Brr! — za nic! — Lepiej bym umarł! Ale ba — alboż to wstyd także umrzeć nie może, razem ze wszystkim? On go może dawno pogrzebał”.

.....
.....

Przyszedł przecież dzień, gdy Filip spojrzął przytomnie, był uratowany. Oryż odetchnął i zadecydował, że może się

od obowiązku uwolnić. Zostawił przy chorym dozorczynię zakonnice, polecił go doktorom i z uczuciem spełnionej ciężkiej próby opuścił pałac.

Co dzień dowiadywał się u odźwiernego, ale nie odwiedzał rekonwalescenta. Minęło parę tygodni. Oryż interesu Faustangera załatwił, pracował pilnie, wysyłał regularnie swemu wydawcy zamówione ilustracje, tekę swą napełniał szkicami, żył wedle swego gustu — przeważnie na ulicy — i marzył, by jesienią odwiedzić Kraków. Było mu dobrze pewnego południa nad morzem, na Lido, gdy leżąc snuł plany tak różne z niedawną przeszłością. Zamyślony, wpatrzony w błękitną nieskończoność wody i nieba, pół śnił, pół marzył.

Ku niemu od zakładu kąpielowego ktoś szedł powoli, odpoczywając co chwila.

Gdy stanął tuż przed nim, dopiero go Oryż spostrzegł i poznał. Był to Filip, tak zmieniony, że znowu litość ogarnęła malarza i przemogła wszelkie inne uczucia. Podniósł się żywo:

— O, zuch z pana! — rzekł. — Już na nogach, to dobrze!

— A już — odparł Osiecki jakimś dziwnym tępy tonem. — Sił jeszcze mało, usiądę! Ledwie odnalazł pana, a chciałem koniecznie spotkać i pomówić.

Usiadł i umilkł. Miał wyraz człowieka roztargnionego, który się gwałtem odrywa od jakiejś sobie tylko wiadomej myśli, a z nikim podzielić się nią nie chce, choć ona go absorbuje, odbiera mu prawie przytomność.

— Pięknie tu — zagaił obojętnie rozmowę Oryż wskazując morze.

Filip ani spojrział, ani potwierdził.

— Mówiono mi, że gdyby nie pan, tobym umarł — rzekł

po chwili. — To dziwna ta troskliwość... Indianie czerwonoskórzy pielęgnują tak wrogów przed dokonaniem zemsty. Dlatego nie chcę dziękować. Rozumiem pana.

Oryż głową potrząsnął.

— Ale ja pana nie. Za cóż się mścić mam?

— Za to, że panu Magdę odbił.

— Pan mnie? To się pan myli.

— Po co się zapierać? Kochałeś ją pan!

Twarz Oryża skurczyła się trochę; ale wnet spokojnie i poważnie odparł:

— Nie kochałem, lecz kocham. Ale mi jej nikt odebrać nie mógł, ani pan, ani śmierć nawet, bom jej nigdy nie pożądał. To wielka różnica. Nie może mi pan zakryć słońca ani zabronić, bym się modlił. Kobietę pan pojąłeś, ale mój ideał we mnie został, wybrałem zaś taki, który mnie nie zdradzi ani mej wiary nie zawiedzie. Jestem spokojny i nikomu nie zazdroścę, nawet panu.

— Powiedz pan: najmniej mnie, będzie słuszniej — wtrącił gorzko Filip.

— Owszem. Bo ona pana kocha. Osiecki roześmiał się pogardliwie.

— Cóż mi z tego! Panu się zdaje to szczytem szczęścia, a mnie głupstwem. Zresztą wszystko jest głupstwem i błagą. Ludzie są stadem; powymyślano im różne sztandary i wmówiono, że takie płachty i łachmany są czymś szczytnym. Idą, depcą jeden drugiego, dają się deptać i zabijać, krzywdzić i oszukiwać, a gdy już tracą wszystko i przekonają się, że purpura to szmata bez wartości, szych i błaga, wtedy... nie gadajcie im więcej o sztandarach, wtedy wiedzą lepiej od was, co warte.

— Bo sami są wtedy już nic niewarci! — przerwał Oryż żywo. — Człowiek rad piwa na to, co z własnej winy

utracił, by się nie zdradzić, że cierpi.

— A jeśli już nie cierpi?

— To powinien na nowo odżyć i lepiej.

— A jeśli już nie pragnie?

— To powinien zmusić się do pracy i myśli.

— A jeśli nie chce?

Oryż umilkł, a po chwili ze złością dodał:

— Ziemia jest dla żyjących i dla zdrowych. Kto czuje, że umarł, niech ludziom nie cuchnie. Kto jest chory, niech idzie do szpitala. Ale największe głupstwo jest mieć siebie za najniezwyklejszego i najbardziej skrzywdzonego. “Wszystko już było” — mówi Ben Akiba.

Filip słuchał cierpliwie, bez obrazy. Myśl jego błędziła gdzie indziej. Nagle spytał:

— Pan dobrze zna Faustangera? Co to za człowiek?

— Ano, zdrowe zwierzę!

— Ciekawym, czy on może cierpieć?

— Wątpię — odparł Oryż patrząc badawczo na towarzysza. Zaczęło mu w głowie świtać, że taki spokój i obojętność u nerwowego człowieka jest nienormalnym objawem. — Czy pan myśli tu długo pozostać? — zagadnął.

— Może tydzień, póki do sił zupełnie nie wrócę. Potem jadę do znajomych. Mam należności do odebrania, rachunki. Trzeba skończyć!

Twarz jego, zaostrzona przez chorobę, przybrała jeszcze twardszy wyraz. Kąty ust drżały.

— Jestem jeszcze za słaby na robotę, co mi pozostała. W każdym razie wdzięczny jestem panu, żeś mi pan przed czasem umrzeć nie dał. Otrzyma pan ode mnie nagrodę rychło i pomimo tego, com od pana słyszał, sądzę, że jej pan rad będzie. Jak rzadko człowiek wie, co mu potrzeba i

jakim jest sam!

Wstał ciężko z ziemi i skinąwszy głową, odszedł krokiem opieszalym człowieka, któremu do niczego już niepilno. Oryż ścigał go wzrokiem i rozmyślał:

“Nie chciałbym siedzieć w skórze baronowej. Obyż strzelał z rewolweru, bo to broń do pudłowania jedyna. No, jej to na sucho nie ujdzie, przeciągnęła strunę. Co on mi da za nagrodę? To już zupełne majaczenie. W każdym razie napiszę o tym wszystkim do Magdy”.

Na list wysłany tegoż wieczora otrzymał w tydzień potem depezę:

“Pilnuj go pan, nie dopuść do katastrofy. Błagam na wszystko, ufam panu”.

— Masz diable tabakę! — zamruczał Oryż odczytawszy. Zdało mu się, że z depezy brzmi rozpacz i trwoga serdeczna.

Zabolało go to nieznośnie. “Pilnuj!”

— Niech go sama pilnuje — mruknął mnąc papier ze złością. — Jam z siebie dosyć zrobił, aż nadto. Może mam go teraz do niej doprowadzić, a w nagrodę każą mi piec na rożnie tłustego cielca na ucztę dla niego!

Jeszcze tak burczał, a już schodził po brudnych schodach swego albergo na dół, do gondoli i kazał się wieźć do pałacu Filipa. Długo dzwonił, zanim się odźwierny ukazał.

— Pan w domu?

— Wczoraj wyjechał.

— Dokąd?

— Zupełnie. Pałac na sprzedaż, pusty. Oryż zagwizdał przeciągle.

— Wczoraj. Ja mogę ledwie o północy. Uprzedzi mnie o dwie doby. Aż nadto czasu, żeby urządzić parę trupów,

albo kilku rannych. A tu — “pilnuj” właśnie w porę!
Pojadę jednakże...

IX

Oryż jechał jednym tchem, z Wenecji do Tarnopola, mało co śpiąc i jedząc. Nie spał, bo wagony trzeciej klasy były przepelnione, a nie jadł, bo na ten zbytek fundusze jego nie pozwalały. Stanął przecież w Tarnopolu, ale bez grosza na dalszą podróż. Drobiazgi takie nie odbierały mu wcale rezonu. Lombard jest w każdym mieście, a zegarek kupił był sobie niedawno, więc starczyło na bilet do dyliżansu. Pierwszą osobą, którą spostrzegł wsiadając, był stary hajduk Faustangera.

Oryż napadł nań jak policjant na socjalistę.

— Skąd? Czego? Co się u was dzieje?

— Wszystko dobrze — odparł spokojnie sługa. — Państwo zdrowi. Mnie posyłano do Krakowa po niektóre rzeczy pani baronowej, gdyż będziemy w Sokolinie przez cały czerwiec. Potem wyjeżdżamy do Wiednia.

— Kiedyś wyjechał z Sokolina?

— Już tydzień.

— No, to nie ma co z tobą gadać!

Na stacjach zmieniali się podróżni. Oryż słuchał, co mówią. Katastrofa, gdyby się stała, rozniosłaby się po całym kraju. Ale nikt ani wspomniał o Faustangerze.

“To szczególnie! — myślał Oryż. — Czyżbym go uprzedził? Może się w Wiedniu zatrzymał, a może po namyśle sam na siebie owe rachunki podsumował. Zaczynam wierzyć w bajeczne szczęście baronowej!”

Na stacji najbliższej Sokolina wysiadł z dyliżansu. Kilka dworskich furgonów oczekiwało na bagaże z Krakowa. Od fernali dowiedział się Oryż, że państwo zdrowi i gości nie

było.

Rzekł tedy do hajduka:

— Ruszaj naprzód i uprzedź pana o moim przybyciu. Ja tu drogi nie znam, pięć kilometrów to spacer. Pójdę piechotą.

Wieczór był bardzo pogodny i ciepły, a Oryża, im bliżej był Buczacza, ogarniała jakaś rzewność, do której się przyznać nie był rad, nawet przed samym sobą. Znał te drogi i parowy, i strumienie. Dzieciństwo tu przeżył, potem ilekroć do stryja zjeżdżał, deptał te ścieżki w bezcelowej, próżniaczej włóczędzie.

Teraz tu niedaleko Magda była... Gdyby chciał, ruszyłby ot gościńcem i o świcie popatrzył w jej okna w dworku Okęckiej. Wiedział od Berwińskiej, że mieszkała tam, a co dzień jeździła do Buczacza i stosownie do obietnicy malowała w kościele Kaplicę Majową.

Wielka moc i tęsknota ciągnęły go na ów dziedziniec, a przy tym drżał z lęku i niepewności: czy też jej miły będzie, czy nie pomyśli, że jest natrętnym?...

Westchnął i ku Sokolinowi zawrócił.

Droga była pusta, wiła się zygzakiem z góry na dół i na powrót pod górę.

Park sokoliński już widać było; więc Oryż swoje rojenia odegnał i wrócił myślą do celu podróży. “Ostrzec Faustangera czy nie?”

Jeszcze był sobie na to pytanie nie odpowiedział, gdy usłyszał turkot, parskanie koni i spoza zakrętu drogi ukazał się rotmistrz, powożący sam wolantem i parą szalonych trakenów. Osadził je na miejscu i rozpromieniony zawołał:

— Siadajże. Dałem Stefanowi garść złota za dobrą nowinę! Witaj, rad cię widzę jak stuletnią śliwownicę!

— Żeś mi rad, wierzę, ale twoja pani dużo mniej się

moim widokiem ucieszy. Dlatego cię uprzedzić kazał. Jeśli mam jej przykrość sobą uczynić, możemy się tu na drodze rozmówić i pójdę do stryja w Buczaczu. Nie powiem ci, żebym przepadał za damskim towarzystwem.

— Ani ja! — przyznał Faustanger. — Ale moje kobiety przerobiłem do szczętu. Muszę je mieć dla dekoracji majoratu: niechże je mam według swego gustu. Mój przyjaciel jest pierwszą osobą w domu. Bądź spokojny. Będą cię honorowały raczej za wiele niż za mało. No, cóż porabiasz? Możesz już plunąć na wstrzemięźliwość?

Oryż się skrzywił, jakby mu kto po odciskach deptał.

— Nie wspominaj. Ze wstydem muszę wyznać, że śledź i że nabrałem nawet do wody gustu. Co porabiam? Załatwiam twoje polecenia. Liii trochę spazmowała po tobie, ale rada była indemnizacji za koszta wojenne.

— Trzeba ją było pocieszyć!

— Mam wstręt do brunetek i naprawdę nie przyszło mi to na myśl. Przepadło! Teraz ci powiem cośkolwiek o Osieckim.

— Kto to jest?

— Dobryś! ten malarz...

— Ach, ten! A to powiedz baronowej. Ją to może zabawi. Cóż, zastrzelił się?

— Ba, on woli zastrzelić twoją żonę pierwej, potem zapewne i sobie naboju nie pożałuje. Między nami mówiąc, ten jego zamiar dużo ma więcej sensu niż wszystko, co czynił dotychczas.

Faustanger brwi zmarszczył i zastanowił się,

— Gdzie on jest? Mówiłeś z nim?

— Mówiłem i bardzo się zdziwiłem, znajdując was oboje jeszcze przy życiu. Myślałem, że was znajdę już zabalsamowanych. Gdzie jest? Nie wiem. Uprzedził mnie i

przepadł. W każdym razie miejcie się na baczności.

— Ja? — skoczył Faustanger — mam się lękać chłystka? Jeśli mnie wyzwie, to mu stanę, a jeśli tej formy zaniecha i ośmieli się żonę napastować, to go kijem wygonię i oddam policji. Ale ty przesadzasz; takie lalkowate desperaty strzelają do siebie tylko. Tego mu nie bronię. —

— Jak sobie chcesz. Ostrzegłem cię. Ja mam inne zdanie — prostytutka. Ty mu nic nie zawiniłeś, więc cię wyzywać nie potrzebuje. Twoja żona zawiniła ciężko. Oszukiwała go, kłamała, wyyskiwała, krzywdziła, wreszcie zdradziła — to mord! Jeśli będzie szukał zemsty nad nią, to go kijem nie częstuj, bo on tutaj jest w swoim prawie.

— To dobre! Więc mam mu pozwolić baronową oplwać, sponiewierać, może zabić?

Oryż ramionami ruszył:

— Bądź spokojny. Ostrzeż ją tylko. Potrafi ona obronić siebie lepiej niż ty.

Faustanger, po chwili namysłu, biczem machnął i zaśmiał się dziko.

— To pewna! Jej to sprawa. Umiała zapłatać, niech odpłacze teraz.

Zajechali pod pałac i poszli wprost do jadalni, gdzie już czekał na nich obiad.

Po chwili ukazała się radczyni, jakaś zmaląła i milcząca wobec zięcia, ku któremu rzucała spojrzenia z ukosa, pełne pokory.

Za nią weszła córka. Od razu spostrzegła Oryża, zbladła, oczy jej zapałyły wściekłością, uczyniła ruch, jakby mu miała drzwi pokazać.

Ale wtem Faustanger przemówił:

— Przedstawiam mego przyjaciela, malarza Oryża,

którego cenię i szanuję, bo dla pieniędzy moich nie ma żadnego respektu ani nie skłamał nigdy. Niechże mu będzie dobrze w moim domu!

Baronowa zapanowała nad sobą, skłoniła się uprzejmie; radczyni skwapliwie podała mu rękę.

“Co za szkoda, że po tym przedstawieniu i będąc pod opieką rygoru Faustangera nie mogę z nimi pogadać otwarcie...” — pomyślał Oryż, odpowiadając zdawkową monetą na szablonową rozmowę dam.

Baronowa i Oryż nie pili wcale; Faustanger z radczynią dotrzymywali sobie kompanii. W miarę ilości wina humor barona przybierał coraz swobodniejsze objawy.

Śmiał się dziko i okrucieństwo poczynąło mu wyzierać z oczu. Zwrócił uwagę na ich puste kieliszki i rzekł:

— Alicja nie pije, bo się boi o swoją cerę i świeżość. Ma rację: to jej fundusz. Gdy zwiędnie i zestarzeje, będę ją trzymał na Morawach w gobelinowej sali jako staroświecczynę, ale jej więcej światu nie pokażę! Boi się tej ostateczności bardziej niż grzechu! To jest, ona się wcale grzechu nie boi! Cha, cha! Ale żeś ty pić przestał, to nie do pojęcia! Przecież ci o cerę i piękność nie chodzi; chleba ci za to nikt nie da, sławy i humoru nie odbierze! Pij, kolego, to jedno, co daje człowiekowi miłe złudzenia. Bierz przykład z mojej teściowej: pije jak gąbka, byle nie za swoje!

Oryż słuchając nie śmiał patrzeć na kobiety, taki wstyd go ogarniał za ich cześć niewolniczą dla potęgi złota — taki wstręt do siebie samego, że tu jest, słucha, należy do tego towarzystwa. Milczał czas jakiś i wreszcie rzekł:

— Mogę ci powiedzieć, dlaczego pić przestałem. Oto raz nietrzeźwy pastwiłem się nad słabszym od siebie. Gdym zrozumiał nikczemność takiej zabawy,

postanowiłem nigdy już nie pić.

Faustanger nie pojął jego intencji, roześmiał się grubo.

— Ty jeszcze lada dzień mnichem zostaniesz. Baronowa pojęła dwuznacznik. Odrzuciła hardo głowę i spojrzała na malarza rozdrażnionymi oczyma.

— A skądże pan wie, kto słabszy?

— Ten, kto za obelgę policzkować nie może lub nie śmie — odparł ostro.

— O! może, tylko nie raczy lub daje inny odwet! — syknęła.

— A może nie ma prawa? — rzucił już bezwzględnie, rozdrażniony jej pewnością siebie.

— Co wy tam szeptacie? — zawołał Faustanger coraz bardziej podchmielony.

Lokaj podawał kawę i likiery. Baronowa zwróciła się do niego:

— Możesz odejść. Zadzwoń, gdy będziesz potrzebny.

Faustanger się zachnął.

— Odsyłasz służbę z mojej racji? To dobrze, skorzystam z tego, żeśmy sami i powiem ci nowinę, którą mi przywiózł Oryż. Ten twój ostatni amant zjawi się tu lada dzień, by cię zabić.

— Boże! — wrzasnęła radczyni, odsuwając się od stołu jakby do ucieczki.

Żaden nerw nie drgnął na twarzy baronowej, nie raczyła odpowiedzieć.

— To być nie może! Gdzie on? — biadała radczyni, zwracając się do Oryża.

— Tego nie wiem, ale radzę się mieć na baczności. Człowiek, który się zgrał, nie rachuje ani się waha. Jest szalony.

— Albercie, okiennice trzeba wziąć na sztaby. Więcej

stróżów każę dać na noc! Trzeba uprzedzić policję. Okropność!

— A czemuż pani córki nie pilnowała, zamiast teraz lamentować? Kto sieje wiatr, zbiera burzę, a kto oszukuje, ten wreszcie musi płacić. To zwykły rzeczy porządek!

Baronowa gwałtownie wstała od stołu i słowa nie rzekłszy wyszła. Wtedy Faustanger, jak gdyby się opamiętał, umilkł. Oryż jął starą uspokajać.

— No, zza płotu on strzelać nie będzie. Zresztą może odzyska równowagę.

— Niech pani pójdzie do Alicji i poradzi jej ode mnie spokój i umiarkowanie — przerwał Faustanger niecierpliwie.

Radczyni usłuchała skwapliwie; Oryż jakby na to tylko czekał i wybuchnął:

— I to dlatego, by takie urządzić życie domowe, odzyskałeś żonę? I to ma być miłość i związek do śmierci nierozzerwalny! Ohyda, hańba, męka, galery! Fuj, nie wstyd ci? Nie wierzę, by ci z tym było dobrze! Mścić się tak całe życie — trzeba być szatanem!

— Cha, cha, cha! — wybuchnął Faustanger. — A ty wiesz, że ona mnie właśnie kocha?

— Głupiś, gdybyś nie miał oczu zalanych winem, tobyś widział, jakie to kochanie! Nienawidzi cię i lęka się. Może chce cię zabić miłością, więc z nienawiści szal czerpie. A tyś niewart niczego lepszego! Głupiś, stokroć głupi, żeby tak życie urządzić! Bywaj zdrow, pójdę stąd, nie mogę na to patrzeć!

Zerwał się, otworzył drzwi wiodące od jadalni na taras ogrodowy i w ciemności zniknął, zanim się Faustanger obejrzał.

Wyszedł na ganek i wołał go parę razy na próżno.

Odpowiedziały mu tylko słowiki po gąszczach i świsty sygnałowe nocnych stróżów. Oryż wyrwał się jak z więzienia na drogę, odetchnął z ulgą i sporym krokiem ruszył w stronę Buczacza.

Ta noc cicha, ciepła i jasna, pełna zapachu zroszonych pól i lasów, wydała mu się najpiękniejszą w życiu po tej jadalni przesiąkłej oparami trunków, wyziewami zbytkownej kuchni, gorącej i dusznej od świec i dymu.

— Brr! — wzdrygnął się. — Nigdy tam nie wrócę, nigdy! Niech ich ten morduje; warci jedno drugiego.

Szedł, krok wyciągał, zmęczenia nie czuł i coraz jaśniejszą miał twarz. Gdy słońce weszło, był już niedaleko Buczacza. Zaczął iść wolniej opanowany zwykłą nieśmiałością i wątpliwościami.

Wtem turkot się rozległ za nim; zza góry, z bocznej drogi wpadł na gościniec wózek zielony, zaprzężony w parę chudych szkapiąt. Oryż się na bok usunął i jakby skamieniał, oczom nie wierzył, że go traf sprowadził z nią razem.

Nie witał, stał zapatrzony, pobladły z wrażenia.

Droga szła pod górę, więc wózek ledwie się toczył. Spostrzegła go i uśmiechnęła się kiwając głową.

— Stój! — zawołała do powożącego chłopaka i wyciągając do Oryża rękę, dodała:

— Czy pan mnie nie poznał?

Uścisnął podaną dłoń i zaczął iść przy wózku trzymając się półdrabka. Gniewał się sam na siebie za tę nieśmiałość, chciał na złość warknąć po swojemu, ale nie mógł.

Ona dopomogła mu, by się opamiętał.

— Zapowiedziałam proboszczowi pana wizytę. Wspomniał, że mu pan obiecał odnowić drugą kaplicę.

— Aha! *Pokusy św. Antoniego!* Pewnie nie bardzo mi

rad? A pani prędko skończy?

— O, ciężko mi idzie Pierwszy raz freski maluję. Fuszeruję okropnie. Zobaczysz pan. Proszę siadać. Konie pani Okęckiej umieją kłusować na spadzistości.

Usiadł. Mówiła dalej:

— Dobrze mi tu jak w niebie. Co za krajobrazy, spacer, cisza. Boińska, a szczególnie Janek zawojowali zupełnie Okęcką. Zgodnie tam i wesoło. Co dzień jeżdżę do kościoła i wracam po południu. Proboszcz często mnie odprowadza. Marynia tylko umyka nam do Krakowa; braknie jej szkoły i księdza Walerego. Od tygodnia tam bawi.

Ani słowa o Filipie. Oryż pomyślał, że udaje obojętność, więc spytał szorstko:

— Nie miała pani wieści o mężu?

— To, co mi pan pisał — odparła spokojnie. — Skądże ja wiedzieć co mogę? Do mnie się nie zgłosi.

— Ale w Sokolinie może być lada dzień dramat.

— Nie wierzę. Ta kobieta zrobi z nim, co zechce. Jam już z tej sprawy usunięta. Gdym prosiła pana o niedopuszczenie do katastrofy, czyniłam to przez egoizm. Czy wie pan, iż Kraków cały twierdzi, że ja wszystkiemu winna i wreszcie Maryni to wmówili. Gdyby jeszcze krew popłynęła, mnie by tą krwią obciążyli. Gdy kaplicę skończę, wyjadę daleko. To boli, gdy za ofiarę taką się bierze nagrodę.

— Więc pani już go nie kocha?

— Ja o nim nigdy już nie myślę.

— Więc i mnie pani nierada, że go wspominał?

— Nie. Zawsze rada pana widzę.

Wjechali na chropowaty bruk i stanęli przed kościołem. W zakrystii spotkali proboszcza, który na widok synowca w ręce klasnął.

— Ten zawsze wszędzie, gdzie go nie posieją! — zawołał. — Moja śliczna paniusia może wstąpi do mnie na kawę?

— Trzeba się śpieszyć z robotą, proboszczu.

— Nie trzeba, nie trzeba. Im dłużej panią zatrzymam, tym lepiej. Idź no, urwisie, do kościoła i zobacz te cudowności.

Oryż już rezon odzyskał.

— Mnie się chce więcej kawy niż cudowności! — odparł idąc jednakże za Magdą.

Kaplicę zdobiły trzy freski. Środkowy, już wykończony, przedstawiał Dziewicę, dwa boczne, jeszcze niegotowe, Matkę i Królową.

Zadumał się Oryż wpatrzony w nie i nie rzekł nic, ni pochwały, ni krytyki. Artystka weszła na rusztowanie i wzięła się do roboty z zapalem, który ją całkowicie pochłaniał; proboszcz, wyrzuciwszy setkę wykrzykników, poszedł na kawę wzywając łaskawie synowca, a Oryż wciąż stał nieporuszony i rozmyślał...

Nie poznawał sposobu malowania Magdy.

Ta Dziewica była wcieleniem ekstazy, była czymś nadziemskim, tak duchowym, że zda się przysła tu na słońca promieniu i lada chwila w górę uleci.

“I co dla takiej duszy ludzie znaczą? Jak promień sobą zostanie — w piwnicy i śmieciu. A jam myślał, ją co złamać może!”

— Mówże pan cokolwiek! — odezwała się Magda z góry. Oryż, nie odrywając oczu od fresków, jął mówić przyciszonym głosem:

— “Wyniesionam w górę jako drzewo cedrowe na Libanie i jako cyprys na górze Syjon. Wywyższyłam się jako palma w Kades i jako szczepy różane w Jerycho”.

Artystka słuchała uważnie, a on, ze swoją zdumiewającą pamięcią, cytował dalej i dalej.

Gdy skończył, rzekła poważnie:

— Pan zawsze znajdzie wtór stosowny. Malując i ja to sobie powtarzałam.

— Toteż jest pani o swą pracę spokojna. Nieprawdaż?

— Pomysł — tak, ale wykonanie mnie męczy.

— Warte jedno drugiego — i wątpię, czy się pani co lepiej uda.

— To dobrze! Wierzę w pańskie zdanie! Chciałabym, żeby to doktor Malicki zobaczył. Byłby rad!

— Czy ja się pani tu zdam na co? — spytał Oryż nieśmiało.

— Naturalnie. Rachowałam, że mi pan pomoże. Uśmiechnął się pogodnie.

— Dziękuję pani — szepnął.

— Idźże pan na śniadanie, a potem żwawo do roboty. Byłaż to dla Oryża uciecha! W mrocznym, cichym kościele pracowali we dwoje, rozmawiając przyciszonym głosem o sztuce. Przywiózł był z sobą starą książkę łacińską, kupioną w Wenecji, pełną legend średniowiecznych spisanych w jakimś klasztorze. Ofiarował to Magdzie i zaraz czytać jej zaczął tłumacząc ustępy, których nie rozumiała. Proboszcz przyszedł też podziwiać i słuchać i było im tak we troje zupełnie dobrze z sobą.

Wieczorem odprowadził Magdę do Okęckiej; zabawili do północy. Wracając, proboszcz półgłosem odmawiał pacierze, a Oryż myślał, że świat jest bardzo dobry i piękny, gdy się chodzi ścieżkami duchów.

Proboszcz przez parę dni przyglądał się synowcowi zdumiony, niedowierzający.

“Przytaił rogi, ale długo nie wytrzyma. Pokaże, co umie”

— myślał, obserwując go jak świeżo uwolnionego od bonifratrów pacjenta.

Ale Oryż trwał w cnocie i statku. Nie pił, nie palił, nigdzie się nie włóczył, nie gwizdał kupletów ani oberków; był jakiś cichy i zamyślony. Rano wstawał i zaraz brał się do rysunków, które regularnie do Wiednia wysyłał, potem pomagał Magdzie, a gdy jej nie odprowadzał do Okęckiej, siadywał wieczorami na ganku plebanii i milczał.

Tak minął tydzień i drugi. Nareszcie proboszcz zaniepokoił się taką nadzwyczajną zmianą i pewnego wieczora spytał go:

— Czy ty, chłopcze, zupełnie zdrow jesteś?

— Jak? Na ciele czy na umyśle? — uśmiechnął się.

— Nie żartuj! Przecież do siebie nie jesteś podobny!

— Zamienili mnie w Wenecji widocznie.

— Serio powiedz. Zdrow jesteś? Nic ci nie dolega?

— Nie! Co się stryj raptem zrobił o mnie troskliwy?

— Dziwnie wyglądasz... Zamyślonyś, cichy, smutny...

— Bo nad zmianą losu rozmyślałem.

— Co? Możesz się zakochać?

— Myślę do klasztoru wstąpić.

— Jezus, Maria! — wykrzyknął proboszcz.

Oryż powiedział to żartem, ale wnet się obraził za wykrzyknik w tonie zgrozy.

— Cóż się stryj tak gorszy, jakbym miał odzierać wota z ołtarza lub rozbijać skarby kościelne? Mogę równie dobrze zostać braciszkiem jak każdy inny. Na przeora się nie podaję ani bym zostać chciał.

Proboszcz umilkł, ale mu ta myśl noc całą spać nie dała. Musiał się nią z kimś podzielić; więc gdy Magda przyjechała nazajutrz, wywołał ją na ogród i opowiedział.

— Słyszane rzeczy! Andrzej chce do klasztoru wstąpić.

Wyobraź sobie pani podobną awanturę!

— No, lepiej on od nas wie, co mu trzeba — odparła zupełnie spokojnie.

Potem się uśmiechnęła filuternie i dodała:

— Proboszczu, gdy się to stanie, trzeba będzie odwołać całą krytykę i zapoznanie, w jakim był u was, i przyznać mi rację!

— Nieprawda, sądziłem go wedle faktów, a że teraz inny, to nie pani racja, ale może wpływ — odparł proboszcz żywo.

Potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem, który mimo woli na twarz jej powracał, ilekroć kto wspomniał o jej dobrym wpływie.

— Iluzje — odparła. — Nikogom od złego nie uratowała ani powstrzymała... zaledwie siebie.

Tego dnia w kościele było głucho. Przez cały dzień zaledwie parę słów rzekli do siebie.

Oryż był myślą gdzie indziej, roztargniony; ona pochłonięta wyrazem twarzy anioła, który jak kwiatek nad Królową się unosił.

Zmierzch przerwał robotę. Rozeszli się u drzwi zakrystii. Oryż, unikając rozmowy ze stryjem, poszedł na dalszy spacer i wrócił do plebanii, gdy wszyscy już spali.

Położył się, ale zamiast spać, w dalszym ciągu rozmyślał: dlaczego by on nie miał mnichem zostać? Ten żart nagle stał się osią jego mózgu.

“Właściwie na co mi tak zwany świat potrzebny? Nie pożądam ni sławy, ni majątku, ni rodziny. Czego mi się chce? Do czego? Dalibóg — nic”.

“Magdy?” — podsunęła się myśl.

“Nigdy! Za nic!” — stanowczo zaprzeczył.

“Woli i swobody, włości i niezależności!...”

“Niby ja tego się nie wyrzekłem razem z tamtym. At, iluzje! Zresztą, kto mi zabroni spróbować habitu? A może w nim lepiej niż w surducie? Dalibóg, spróbuję!...”

W tej chwili usłyszał, że pod plebanią ktoś zajeżdża. Rozległy się kroki, potem pukanie do drzwi.

“Pewnie ktoś po stryja do konającego! Skoro mam mnichem być, to mu trzeba otworzyć. Tam podobno w nocy wstają na pacierze”.

Ubrał się i wyszedł do sieni. Proboszcz i głucha kucharka na tak delikatne stukanie mieli słuch od dawna nieczuły.

Oryż trącił drzwi; nie były nawet zasunięte.

— Czego się dobijasz, kiedy nie zamknęte? — mruknął. Na jego głos odpowiedziano stłumionym okrzykiem.

— Oryż! Ty sam! Co za szczęście! Chodź prędzej!

Oryż wyszedł. Przed gankiem stał Faustanger. Księżyc oświetlał jego twarz, tak bładą, że robiła wrażenie upiora. Dreszcze przerywały mu mowę.

— Czegoś tu? — spytał malarz, tknięty przecuciem jakiejś wielkiej katastrofy.

— U mnie w parku leży Osiecki zabity! — wyszeptał Faustanger.

— Zabity? Przez kogo? — zdrygnął się Oryż.

— Sam się zabił.

— Jak to? Niespodzianie? Nie było żadnej sceny? — pytał malarz zdziwiony.

— Nic nie wiem! — odparł Faustanger. — Usłyszałem przypadkiem strzał, wyszedłem, znalazłem go we krwi na ziemi, porwałem konia i przyleciałem do ciebie.

— Dlaczegoż do mnie? Jedź do urzędu i melduj! Ja nie żandarm ani karawaniarz!

— Zlituj się, jedź! Tymczasem jeden Stefan tylko wie.

Zostawiłem go tam na straży. Ty musisz jechać! Proszę cię, Oryź, ratuj mnie!

Malarz bez protestu już wszedł; Faustanger zgarnął lejce i popędził jak szalony.

Milczeli. Oddech barona zdradzał jakąś straszną mękę i trwogę. Oryź, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, począł nad wypadkiem się zastanawiać; wiele rzeczy wydało mu się dziwnymi.

— Skądże on się tam wziął? Czego chciał? Gdzie to się stało? Daleko od pałacu? — zagadnął.

Faustanger sekundę się zawahał, jakby myśli zbierał; wreszcie odsapnął i rzekł:

— To było tak: rozeszliśmy się wcześniej na spoczynek, a że sen mnie nie brał, wyszedłem na spacer...

— A toć mówiłeś, że wyszedłeś słysząc strzał?

— Już mi się we łbie mąci z tego wszystkiego.

— Właśnie to mnie dziwi. Alterujesz się, jakbyś nigdy w życiu trupa nie widział i nie słyszał o samobójcach. To się zdarza co dzień, że jakiś desperat łeb sobie dziurawi.

— Ale w to mogą żonę wmieszać!

— Niezawodnie! Policja jest bardzo ciekawa!

— Ja bym tego chciał uniknąć. Ty mnie możesz poratować. Trupa złożymy do tego wózka, wywieziemy na gościniec pod Buczacz, położymy...

— Oszalałeś z trwogi! Bajesz jak w malignie — oburzył się Oryź. — Zresztą, jak sobie chcesz, ta twoja trwoga jest zupełnie dziwna!

Faustanger nic nie odpowiedział, bo stali u bramy parkowej. Była otwarta, wpadli w szpaler, ale zamiast ku pałacowi zwrócili się do odległego kąta.

Oryź nic nie rzekł, ale głową pokręcił.

W tej odległości z pałacu nie można było dosłyszeć

strzału...

Wreszcie Faustanger stanął. Cztery drogi tu się schodziły. W środku stał buk stary. Cień był pod nim, na drogach srebrno od księżyca. Zaledwie się zatrzymali, z cienia wyszedł hajduk Stefan i wziął konie za uzdy.

Rotmistrz skinął na Oryża i poprowadził go pod drzewo. Tam też koło ławki opasującej drzewo leżał na płaszczu człowiek nieruchomy, ułożony na wznak. Oryż go obejrzał, dotknął, poszukał rany na głowie.

— W piersi palną! — szepnął Faustanger.

Malarz schylił się do piersi. Rzecz dziwna: strzał był nie w serce, lecz wyżej; krew się sączyła ciepła.

— Toć on jeszcze żyje! — zawołał.

— Żyje? Nie może być!

Rotmistrz przypadł nad leżącym; gdy podniósł twarz, obłęd miał w oczach.

— Boże miłosierny! Co robić? — jęknął.

Oryż wziął chustkę i ranę przycisnął.

— A gdzież rewolwer? — spytał.

— Re-wol-wer? — powtórzył błędnie Faustanger.

Oryż się oburzył.

— Czyś pijany, czy idiota? Słyszysz, dawaj wody, płótna, bandaży!... Co u diaska? Zamordowaliście go chyba sami!

Faustanger skoczył.

— Niech go piekło pochłonie! Jam go tak zastał. Jeśli żyje, to lada chwila skończy! Stefan, uwiąż konie i pędź do pałacu po opatrunek. Samej pani powiedz! Ale czekaj, nie znalazłeś rewolweru tu, przy nim?

— Nie szukałem — odparł hajduk już biegnąc. Pozostali milczeli. W parku panowała głucha cisza; żaden liść nie szemrał, żaden ptak się nie odzywał. Głuchym, zduszonym

szeptem ozwał się baron:

— Oryż, żywy czy martwy, on tu zostać nie powinien! Co chcesz, uczynię, milion dam, duszę ci swoją zaprzysięgnę, całe życie służyć będę. Tylko mi dopomóż usunąć go stąd. Niech moje nazwisko z tym nie będzie połączone; rozumiesz? Ja ci nic złego nie proponuję, nic...

— Tylko ukrycie zbrodni! — odparł Oryż.

— Nie. Umkniecie skandalu śmiertelnego dla mnie.

— A mnie co do tego!

— Mam cię za przyjaciela.

Oryż ramionami ruszył. Nie myślał wcale dopomagać Faustangerowi; ale zastanowił się, co Magda uczyni, co postanowi i czy bezpiecznie jest zostawić tego człowieka bez czucia tu w tym parku i w tych rękach?

— Czegóż ty właściwie chcesz ode mnie? — spytał.

— Żebyś stanął na moim miejscu. Tyś go znalazł na drodze, tyś go opatrzył, tyś go poratował. Ty — to pierwszy lepszy, a ja...

Urwał i dokończył jakby do siebie:

— W naszym rodzie nie wycierano ławek sądów karnych. Oryż ironicznie się uśmiechnął.

“Gdy odejdę, kaput z Osieckim! Z pośpiechu nie obmyślili, że go mogą z pierwszej lepszej góry zrzucić w strumień. Niepotrzebnie mnie wmieszali; teraz gdy odejdę, uczynią to niezawodnie. A on żyje i żyć może. I co bym Magdzie powiedział? Wlazłem po szyję w kryminał!”

Faustanger oczu z niego nie spuszczał. W tej chwili Stefan nadbiegł z żądanymi przedmiotami.

Oryż, jak umiał, ranę obwiązał, a potem rzekł:

— Niech Stefan dostanie wóz prosty i spokojne konie, niech liberię, zdejmie, w byle co się ubierze, słomą wóz wypcha i tu przyjedzie.

Faustanger odetchnął, rzucił się, aby go porwać w objęcia.

Oryż się usunął.

— Powoli, ja ci nic dobrego nie robię ani cię myślę ratować. Człowiek żyje, muszę go stąd wywieźć. Jeżeli kto zdradzi lub mi przeszkodzi, powiem całą prawdę. Jeżeli będę mógł milczeć, to i owszem, tymczasem dla ciebie. Tymczasem, powiadam, bo ten człowiek nie należy do mnie. Ma żonę, którą zaraz rano sprowadzę i objaśnię. Wtedy od niej zależyć będzie.

Faustanger był tak wyczerpany wstrząśnieniami i wrażeniami tej nocy, że gdy się uspokoił co do najgwałtowniejszej kwestii, o innych, dalszych nie miał siły myśleć. Upadł na ławkę i tylko nadśluchiwał, czy Stefan nie wraca.

Oryż także do rozmowy nie miał ochoty.

Usiadł przy rannym i upatrywał życia na twarzy. Tak upłynęła może godzina.

Nareszcie turkot wozu przerwał ciszę. Baron odetchnął.

— Nikt cię nie widział? — spytał żywo hajduka.

— Nikt. Udało się — odparł lakonicznie.

— Trzeba zwawo jechać, bo dzień niedaleko.

— Półtorej godziny — odparł spokojnie sługa. — Miesiąc zaraz zajdzie. Będzie bezpieczniej. Nad ranem ludzie mocniej śpią. Pani baronowa pytała, czy żyje, i wzywa pana barona.

— Jużem ci niepotrzebny? — zagadnął Faustanger, gdy we trzech włożyli rannego do wozu i Oryż przy nim zajął miejsce.

— Ty mi nigdy nie byłeś potrzebny, a dziś chyba najmniej. Idź spać i rozmyślać, a w każdym razie do śledztwa bądź gotów. No, ruszaj, Stefan.

W drodze, pod wpływem trzęsienia, ranny się ocknął i parę razy jęknął. Nie mogli zwolnić ani opatrunku poprawić, bo na wschodzie coraz bardziej jaśniało. Spotkali parę fur, ale nikt na nich nie zwrócił uwagi. Bez wypadku i przeszkody stanęli na miejscu pod plebanią. Znaleźli drzwi, jak je zostawił Oryż, nie zamknięte i dom uśpiony. Wnieśli rannego do pokoju malarza, umieścili na łóżku. Stefan co rychlej odjechał.

Wtedy Oryż, który całą drogę rozmyślał, co i jak urządzić, zdjął opatrunek i płótno spalił, a chustkami swoimi je zastąpił. Potem poszedł do proboszcza i zbudził go bez ceremonii.

— Stryju, mamy umierającego w domu. Proszę żwawo wstawać i słuchać! Było tak: poszedłem sobie za miasto na spacer. Podobało mi się, więc się odbiłem daleko. Słyszę, ponad gościńcem coś jęczy. Znalazłem rannego człowieka w kałuży krwi. Jak umiałem, opatrzyłem, a że właśnie trafiła się fura, włożyłem go z chłopem w słomę i tu przywiozłem.

— Awantura! Budź zakrystiana; niech dają znać na policję. Gdzież ten umierający?

— Wnieśliśmy do mojej stacji. Niech go stryj popilnuje. Ja skoczę po lekarza. Tego człowieka ja znam.

Po chwili opowiadał lekarzowi tę samą bajeczkę prowadząc go do chorego.

Doktor znalazł ranę nie śmiertelną, ale stan groźny wskutek wielkiej utraty krwi i osłabienia. Oryż, jak najęty, pobiegł do policji, do apteki, wszędzie kolportując swoją opowieść. Opowiadał każdemu, kogo spotkał, ze stereotypową wiernością, umyślnie, aby zapobiec innym wersjom. Gdy dzwoniło na mszę świętą, całe miasteczko wiedziało o wypadku.

Urzędnik spisał protokół, chciał puścić na trop żandarmów, ale go Oryż powstrzymał.

— Za parę dni, gdy się poprawi, sam powie, jak i co było. Ja go znam; żona tu niedaleko, zaczekajmy trochę. Rzecz się sama wyjaśni; jestem przekonany, że nikogo ścigać nie trzeba będzie.

Załatwiwszy się z tym, co było najpilniejsze, pobiegł na spotkanie Magdy. Gdy go spostrzegła na drodze, zrozumiała, że coś się stało, i przemówiła po francusku.

Oryż nie wezwany wskoczył na bryczkę i rzekł:

— Piekielna noc! Gdybym choć był pewien, że postąpił wedle myśli pani! Pan Filip leży na plebanii ranny.

Drgnęła i spojrziała nań bystro.

— Nie żyje! Pan tak mówi, by mnie oszczędzić. Niepotrzebnie. Ten człowiek zabił siebie już dawno!

— Żyje i żyć będzie. Nigdy pani nie skłamał.

— Skądże się znalazł na plebanii?

— Ja go przywiozłem. Znalazłem rannego na drodze. Był już doktor i policja. Czy pani go chce zobaczyć?

— Naturalnie. Takie jego niedole należą do mnie.

Oryż kazał zawrócić na plebanie i Magda po chwili weszła do izby, gdzie chory leżał.

Otworzył już oczy, ale był jakby błędny; na jej widok zadrżały mu powieki, poruszył ustami.

Był tak zmieniony, że go ledwie poznała. Popatrzała chwilę bardzo poważnie i smutno; potem powitała księdza i doktora, który ją znał.

— Pan mi powie, co trzeba przy nim robić, jaki porządek lekarstw i opatrunków — rzekła z cicha.

Żadnych scen ni jęków. Dowiedziała się o swych obowiązkach dozorczyńi; zajęła miejsce obok posłania i zaczęła je spełniać cicho i delikatnie, o nic więcej nie

pytając.

Nawet Oryż nie odkrył z jej rysów, czy bardziej cierpiała, czy też rozdrażniona była wypadkiem. Ofiarował się jej z pomocą, ale odmówiła.

— Pan odpocznie i zaśnie. Potem zamęcę pana poleceniami i prośbami. Tymczasem trzeba tylko wysłać depeszę do Maryni i czekać, co Bóg da.

Zwróciła się do proboszcza:

— Darujcie, taki wielki kłopot.

— Co za gadanie! — ksiądz przerwał. — Daj Boże go uratować od śmierci doczesnej i wiecznej. Biedny szaleniec!

Odszedł wezwany do swoich obowiązków, odszedł też lekarz i Oryż. Magda została sama z chorym i siedziała cichutko, zamyślona, gdy Filip z cicha zawołał:

— Magda!

Pochyliła się nieco nad nim.

— Po co wy mnie ratujecie, kiedy ja już żyć nie mogę, nie będę, nie chcę! — wyszeptał.

— Jak wyzdrowiejesz, może rad będziesz ratunkowi. Tam, za grobem, czy wiesz, co cię czeka?

— Wiem, że nic gorszego niż to, com tu już przeżył. Mam dosyć życia, o dosyć!

Podniósł rękę jakby odpychając widmo jakie i przy tym ruchu wysunęła się spomiędzy jego palców szmata koronki. Magda podniosła ją z kołdry i obejrzała uważnie.

— Jak ci to do rąk się dostało na drodze, skąd cię podjęto? — spytała.

— To? — spojrzął i kurcz mu rysy skrzywił — to? Co tobie do tego? To moje!

Wyciągnął rękę i znowu palce kurczowo zacisnęły szmatkę, a twarz przybrała zacięty, ostry wyraz i oczy

zaczęły złowieszczo błyszczeć. Nadchodziła gorączka. Na drugi dzień był nieprzytomny i majaczył, ale ani słowem nie zdradził szczegółów wypadku. Uparcie, z dziką zawziętością powtarzał bezustannie:

— Zabiłem się, tak jest, chciałem tego i uczyniłem. Nikt mnie nie widział — ja świadczę — nikogo nie posądzajcie. Nie było nikogo.

W nocy to było. Oryż siedział z Magdą trochę na uboczu słuchając tych wybuchów.

— Dlaczego on tak obstaje przy samobójstwie? W tym coś jest dziwnego — szepnęła.

— Pewnie, że jest. Ja nawet pewien jestem, że na nim popełniono mord. Nie mówiłem pani nic dotychczas, bo było za wiele świadków. Teraz ma pani rzeczywistą prawdę.

Opowiedział jej całe wydarzenie. Słuchała tamując oddech; gdy skończył, objęła głowę rękami, wzdrygnęła się i zamruczała do siebie:

— Dla takiej wszystko stracić! O, nieszczęsny!

Potem podniosła głowę, oczy jej zapłakały, krew uderzyła do twarzy.

— Pójdź pan tam jutro i powiedz im ode mnie, że jeśli do trzech dni nie wydadzą się sami sądom, ja złożę zeznanie i pan.

Dyszała rozdrażniona ostatecznie.

— Zabrała mu talent i wiarę, oderwała go od wszystkich obowiązków i zasad. Zmarnowała mu młodość, ideały, życie. Teraz jeszcze ma umrzeć bez mogiły chrześcijańskiej lub żyć z płamą samobójcy. Tego już za wiele! Na to — ja nie pozwolę!

Oryż wysłuchał, a potem rzeki:

— To racja! Ale co on powie? Czyją stronę on trzymać

będzie? Co pani uczyni, gdy on nam zaprzeczy, gdy złoży zeznanie wręcz przeciwne?

— To niepodobna! On się opamięta.

— Zaczekajmy zatem.

— Nie, jutro im pan moje polecenie zanieście.

Oryż skinął głową i wskazał jej rannego, który od dość dawna leżał nieruchomy, milczący, jakby się przysłuchiwał. Podała mu lekarstwo; obejrzał się na Oryża.

— Zostań pan przy mnie, sam — rzekł.

Magda wyszła do sąsiedniego pokoju, który służył jej teraz za sypialnię, a Filip zupełnie przytomny spojrzał bystro na Oryża.

— Słyszałem wszystko. Jutro pójdziesz pan tam i rzucisz popłoch im. Na co to Magdzie potrzebne? Ja nie chcę rehabilitacji. Idź pan przecie i powiedz baronowej ode mnie, że żyć nie będę, ale chcę ją widzieć raz jeszcze.

— Po tym wszystkim? — mimo woli rzekł Oryż.

— Po czym? Albo pan wiesz, albo zrozumiesz? Na punkcie, skąd ja patrzę, nikt z was nie był.

Zamknął oczy i nie odezwał się więcej.

Gdy Oryż powtórzył Magdzie polecenie, widać było, że się pasowała z sobą: odejść czy pozostać. Przemogła się jednak i poszła do chorego. Teraz patrzyła znowu inaczej na niego: jak na obłąkanego maniaka. Ogarnęło ją bezdenne zniechęcenie. Po co ona tu, po co ta komedia? Wszystko między nimi umarło... Sam widok jej był mu przykry.

Godziny mijały; nie odzywali się do siebie. On leżał z zamkniętymi oczyma; ona przechodziła myślą dzieje swej miłości.

Czystości wody i płomienia nikt nie oceni w życiu; nie nasyci to ludzkich żądz; dlatego je bogom poświęcono. W

tym jej błąd był, jej zawód. Dla ludzi wina trzeba i żaru, i krwi.

Ocknął się nagle Filip i oczy we drzwi wlepił. Mała lampka oświetlała pokój. Wieczór był. Chory słyszał szmer na podwórzu, niecierpliwość odbiła mu się w rysach.

Po chwili przez drzwi zajrzał Oryż robiąc znak Magdzie, by wyszła.

Zatrzymał ją Filip.

— Zostań! To baronowa przyjechała; niech wejdzie. Chcę, byś tu była!

Spostrzegł, że odmówić chciała; więc za rękę ją ujął i dodał głębokim, smutnym tonem:

— Umierającym nic się nie odmawia, a to, co mam do powiedzenia, możesz słyszeć bez ujmy godności. Zostań, to moja ostatnia prośba.

Skinęła głową i otworzyła drzwi, milczącym ruchem dając znać baronowej, by weszła.

Piękna pani pierwszy raz w życiu była trwożna i niepewna, co robić.

Była na łasce i niełasce człowieka, którego zdradziła i oszukała, i kobiety, którą obraziła i skrzywdziła.

Była czarno ubrana, blada i drżąca. Podniosła oczy: spotkała zimny wzrok Magdy; spojrzała na Filipa: patrzył na nią przejmująco, ostro, badawczo. Milczenie ciężkie trwało minut parę, które jej się wydały godzinami. Wreszcie chory rzekł:

— Nie spodziewałaś się pani widzieć mnie jeszcze i nie myślałaś lękać się mnie jak upiora.

...Magda, zamknij drzwi, moją odpowiedź ty tylko przyjmiesz, a ona niech słucha.

...Rok nie ubiegł jeszcze, jak poznałem panią. Byłem wtedy młody duszą i sercem, porywami i zapałem.

Kochałem sztukę, piękno i czystą, szlachetną dziewczynę. Poznałem panią, upodobałem, pociągnęłaś mnie swoją zalotnością i stałem się zabawką. Teraz wszystko wiem — umierając.

...Gdym cię spotkał w Krakowie, byłem już rozkochany. Podeptałem jedyne serce, które mnie kochało prawdziwie... poszedłem za szalem. Wtedy nie zabawką byłem, ale kochankiem — w braku lepszych.

...Szał pochłoniął moje ideały i talent; stałem się zwierzęciem, a w zaślepieniu miałem cię za bóstwo. Wtedy do gry tej wstąpił mąż, który miał zostać milionerem; stałem się przeszkodą; usunięto mnie. Rzuciłem w tę otchłań swej miłości godność ludzką, poczucia etyczne, rozsądek, cześć i honor. Już wtedy przed samobójstwem uratowało mnie tylko poświęcenie tej dziewczyny czystej, którą mi pani systematycznie szkalowałaś i poniżałaś — przez wstręt fałszu do prawdy, brudu do czystości. Uratowała mnie, ale utrzymać nie zdołała, bo mnie jad pani przejął już do szpiku, opętany byłem, skazany na zaturę!

...I okazałem się znowu potrzebny na przynętę mężowi. Wtedy podeptałem swoje obowiązki, uczciwość, zerwałem ostatni węzeł łączący mnie ze społeczeństwem szanujących się ludzi.

...Prawda, miałem jeszcze fundusz... na pastwę dla Molocha. Słusznie: wszystko do cna, do dna!

...Gdym przejrzał wreszcie, prawdzie w oczy spojrział, chwyciła mnie choroba za bary, śmierć mi chciała oszczędzić ostatniej próby. Ale przeznaczony był na pastwę pani; miałem jeszcze życie, to ostatnie, to zwierzęce; musiałem z choroby powstać, przynieść na ostatek dań swojej krwi i fizycznego bólu.

...Przyszedłem, jak opętany, jak zazarowany, śladem

pani — aż tu. Napisałem kartkę, prosząc o chwilę widzenia... poszedłem... po co? Sam nie wiem, broni nie miałem ani woli do zemsty. Ale pani postanowiłaś, że już potrzebny nie jestem — a raczej zawadą, plamą, upiorem dla ordynatowej Faustanger być mogę; wydałaś wyrok śmierci i wykonałaś go zimno, z wyrachowaniem — sama. Nie było świadków i nie będzie ludzkiego sądu na ciebie... Jeśli ona mnie usłucha!

Zwrócił oczy na Magdę i spytał:

— Usłuchasz?

— Nie! — odparła stanowczo. — Nie ma nikt prawa bezkarnie uczynić człowiekowi tyle złego, ile ona ci zrobiła. Można darować postępek z szału lub moralnie karać istotę, która ma sumienie i serce. Ale ona czyniła źle z wyrachowaniem, a sumienia nie ma. Dla takich — są kryminalne sale i więzienia.

Baronową zimny dreszcz przejął; wzrok jej stał się omal nieprzytomny z trwogi. Wlepiała wzrok w Filipa, od niego tylko spodziewając się ratunku.

— A dlaczegoś ty krzywd swych i zawodów ode mnie odcierpianych nie podawała na sądy? Dlaczegoś darowała mi oszustwa i kłamstwa, i nikczemną obmowę, i opuszczenie, i obelgi? Dlaczegoż teraz jeszcze ujmujesz się za mną?

— Bo ja ci w tej chwili darowałam wszystko i zrozumiałam, jaką nicością są moje cierpienia wobec twej doli. I dlatego właśnie jej darować nie chcę, nie mogę.

— Właśnie dlatego daruj, że ja zemsty nie chcę. Rozumiesz! Jam nie rachował; dawałem wszystko, byłem wyzyskany, skrzywdzony — zabity. Z krwią moją daruję jej nie przebaczenie, ale łaskę. Przebaczyć już nie mogę, bo już nie kocham. Uwolnionym od jadu i opętania; patrzę na

to jak na marność i tylko chcę odejść stąd w tej roli, w jakiej żyłem. Czciłem potwora; pozwólcie mi umrzeć — ofiarą!

Magda milczała już, pełna buntu, wątpliwości, skrupułów. Wtedy Filip zwrócił się do baronowej i rzekł:

— Jam powiedział wszystko; teraz ją proś i błagaj, bo od niej wyrok zależy.

Baronowa, znękana ostatecznie, uczyniła ruch, jakby się miała osunąć do kolan Magdy; ale ta uskoczyła gwałtownie.

— Nie! nie! — zawołała. — Niech ona nic nie mówi i nie prosi, bo w takim razie nie daruję, nie zamilczę. Twojej krwi nie daruję jej, chyba na twoje prośby! Ona niech idzie stąd — niech idzie i niech milczy! Stanie się, jakś chciał, ale biada jej, gdy się poważy tve imię wspominać nie w takiej czci, jakiejś wart u niej! — Idź pani! nie masz tu już nic do zniszczenia!

Baronowa zerwała się i zasłaniając oczy wyszła, zataczając się jak błędna.

Magda podeszła do okna i otworzyła je.

Prąd świeżego, letniego powietrza wdarł się do pokoju, otrzeźwił ją, dotarł do chorego, który wyczerpany długą rozmową leżał jak martwy.

Otworzył oczy, poszukał wkoło siebie żony i zaniepokojony zawołał jej.

Zbliżyła się do niego; poprosił, by przy nim usiadła, wziął jej rękę.

— Magda, ty mną teraz mniej pogardzasz? Prawda? — spytał słabym głosem.

— Mnie ciebie żal niezmiernie! — odparła szeptem, w którym łzy były.

— Jak umrę, to się pomódl za mnie albo wspomnij nasze

młodzieńcze rojenia we Włoszech. Ja nie byłem zły; byłem słaby i niedola mi kazała złą pokochać. Nieszczęsny, kto w taką niewolę się zaprzeda!

Leżał milcząc chwilę, potem się ozwał:

— Lepiej mi po tym. Rozumiesz — zgrzeszyłem ciężko, winienem bardzo, ale mi teraz mniej wstydu przed tobą i sobą samym. O, lżej! A jednak — jakże taka rana boląca — szepnął z wybuchem rozpaczny.

— Uspokój się! Zaśnij! — rzekła łagodnie.

— Zasnę rychło. Jeszcze cię o coś poproszę. Stryjna może nadejdzie poniewczasie: oddaj jej moje pieniądze na szkołę i przeproś za wszystko. I jutro chciałbym księdza — i jemu prawda się należy, bo przykro by ci było pochować mnie za płotem. I Oryża chciałbym przeprosić. Gdy się umiera, to tak dziwnie jasno jest w mózgu: wszystko się rozumie! Ty — wiem, że mi darujesz z serca — ty jedna, coś mi dobrą była, a dla której ja byłem najgorszym. Pamiętasz — nazwałem cię jerychonką wtedy, gdy cię jeszcze był wart!

Zaniepokoiło ją to ożywienie nadzwyczajne.

Posłała po doktora: stwierdził wzrost gorączki i skrzywił się. Stan rany pogorszył się także. Magda chciała wezwać Malickiego z Krakowa, gdy niespodziewanie przyjechał on sam z Osiecką i Berwińską.

Zastali rannego po spowiedzi nieco silniejszym, ale przed wieczorem znowu zapadł w gorączkę. Mało kogo poznawał, wciąż tylko Magdy wołał.

Malicki zawsze szorstki, tym bardziej gdy był wzruszony, ręką machnął:

— Było jej wołać wcześniej, było jej się trzymać i cenić, i szanować! Nie zaszedłbyś tu! — mruczał do Berwińskiej i Oryża.

Magda nie odstępowała chorego; majorowa tonęła we łzach, szczególnie od chwili, gdy jej siostra powtórzyła o legacie na szkołę. Zrehabilitowany był tym w jej oczach.

Nareszcie trzeciej nocy po bytności baronowej przyszedł dla biedaka kres ostatni.

W tej męce przedśmiertnej bojował ciężko. Obudził się w nim instynkt życia: nie chciał umierać. Rzucił się, wołał Magdy, by go ratowała, konwulsyjnie się do niej tulił, za rękę ścisnął. Potem jakby się z dołą pogodził, uspokoił się, ścichł i tak w milczeniu, na rękach Magdy, uciszył się zupełnie, wyprężył i głęboko odetchnąwszy, jak po ciężkiej walce, skonał.

Imienia baronowej ani razu nie wspomniął, tak bardzo pamiętał swą łaskę ostatnią.

Magda długą chwilę trzymała go jeszcze na ręce, a drugiej nie wyjmowała z uścisku. Była osłupiała i zdrętwiała. Przez te ostatnie dni serce jej wróciło znowu do niego i już pozostanie, bo zmarły należał do niej — ani jej zdradzi już, ani skrzywdzi. Mogiła wracała jej ideał śmiercią oczyszczony.

Złożono go w grób na cmentarzu, ku wielkiemu zdziwieniu Okęckiej, która mu przeznaczała dół za płotem. Ale proboszcz nikomu się nie tłumaczył ani o radę nie pytał.

Po pogrzebie wyjechał doktor Malicki i Osiecka, wezwana sprawami szkoły. Berwińską uprosiła Magda, by pozostała z nią czas jakiś.

Teraz w kościele spędzali czas we troje. Artystka malowała, oni rozmawiali z cicha. Oryż był zamyślony, często się ulatniał na dalekie spacer, wspominał o odjeździe.

Minęło tak parę tygodni. Pewnego wieczora Oryż

ofiarował się Magdzie towarzyszyć na cmentarz i poszli we dwoje niosąc pęki kwiatów.

Po drodze, jak zwykle bez wstępu, Oryż rzekł:

— Ot, i przyszedł ostatni dzień! Jutro odjeżdżam i nigdy więcej pani nie zobaczę. Dziękuję za wszystko, co pani zawdzięczam, com z wami przeżył, odczuł i skorzystał. Starczy mi tego na resztę życia. Pani się to wyda bardzo śmiesznym, ale ja ruszam do Włoch i zaciągam się pod sztandar świętego Franciszka.

— Szczęśliwy pan. Jak tam cicho i pogodnie!

— Myśli pani, żem wart tego? Ja nie wiem, spróbuję. Jeśli pozostanę — to pani będzie zasługa; jeśli ucieknę — to sam winienem. Daj Boże zostać!

— Pan nigdy przez pół nic nie robi! Proszę dać znać o sobie. Przyjadę tam kiedy freski pana oglądać.

— Żartuje pani, ale jeśli warto będzie, to napiszę. A pani bardzo ciężko teraz? — spytał nieśmiało.

— Nie. Jestem trochę zdrętwiała, ale odżyję rychło przez sztukę.

— Bo to w człowieku rozdierają się i szarpia bezustannie owe dwie dusze, co je Goethe w Fauście tak pysznie określił. Szamotanie się boli.

Umilkł, zapatrzył się w złoty zachód słońca.

— Ale póki się szamoce, poty się żyje, a bez ludzi łatwiej owej drugiej duszy skrzydła odrastają — dodał po chwili.

Stanął na cmentarzu, pomodlili się i grób Filipa ustroili kwiatami. Potem wrócili rozmawiając o jej projektach malarskich, o życiu w Krakowie, o zamierzonych podróżach.

U wrót plebanii Oryż ją pożegnał, poszedł dalej, minął miasteczko. Zamyślony, drogi przebytej nie rachował.

Z miasteczka z niedzieli wracały wozy i bryczki pełne postrojonych szlachcianek; śpiewano weselne pieśni.

“Ze ślubu jada” pomyślał Oryż oglądając się.

Wyminęły go i potoczyły się w dół. Z dala doleciał go śpiew przeciągły, pięknym echem o góry i parowy kilkakroć odbity:

*Ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą,
A ja doliną;
Ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz
różą,
A ja kaliną.*

Oryż uszu nastawił.

*Ty będziesz panną, ty będziesz
panną
Na wielkim dworze;
A ja będę księdzem, a ja będę
księdzem
W białym klasztorze.*

— To dla mnie! — uśmiechnął się Oryż i już sam następną zwrotkę w dal rzucił:

*A jak pomrzemy, a jak pomrzemy,
Każemy sobie
Złote litery, złote litery
Wyryć na grobie!*

Słońce zupełnie zaszło, śpiewy przebrzmiały. Oryż się zawrócił.

— Było nas troje: ona, Osiecki i ja. Każdy z nas dawał i nie rachował, kochał, nie był kochany... Każdy cierpiał.

I ciekawym, czy są na to jakie szale i ciężarki i kto z nas wart, by mu na mogile zakwitła symboliczna jerychonka? Uśmiechnął się po chwili.

— Berwińska by mi pewnie odpowiedziała, ale jej nie spytam ani nikogo. Ma Oryż swój szkaplerzyk dla siebie. Niech go dochowa do końca i basta!

KONIEC

NOTA WYDAWCY

Powieść Marii Rodziewiczówny pt. *Jerychonka* po raz pierwszy była drukowana na łamach „*Kuriera Warszawskiego*” (1894, nry 272–360 i w roku następnym w numerach 1–75). Wydanie książkowe ukazało się w Warszawie w 1895 r.; *Jerychonka* była jeszcze wznawiana m.in. w Bibliotece Dzieł Wyborowych (nry 391–392), Warszawa 1914. “Wydanie nowe” powieści weszło w skład *Pism* (Wydanie zbiorowe jubileuszowe z przedmową Z. Dębickiego, t. L–36, Lwów–Poznań [1926–1939]) jako tom trzeci; kilkakrotnie wznawiany, stał się podstawą naszej edycji.

Zachował się rękopis *Jerychonki* (Biblioteka Narodowa, sygn. 6118).

SŁOWNICZEK

ad libitum (łac.) — do woli

Adonis — w mitologii greckiej kochanek Afrodyty rozszarpany przez dziką; zob. Wenera

aerolit (z gr.) — kamienny meteoryt, odłamek meteoru, który nie spalił się całkowicie przy przejściu przez atmosferę ziemską i spadł na Ziemię

aferzysta (z fr.) — spekulant, geszefciarz

Afrodyta — w mitologii greckiej bogini miłości zmysłowej urodzona na Cyprze; utożsamiana z rzymską Wenerą

akcesoria na flamandzki sposób — przedmioty, szczegóły właściwe malarstwu niderlandzkiemu (główni przedstawiciele to: P. P. Rubens, 1577–1670; J. Joardaens, 1593–1678; vanDyck, 1599–1641)

albergo (wł.) — hotel

Allons donc! (fr.) — chodźmy już!

alterować się (z łac.) — martwić się, smucić

Allach, Allah (arab. Bóg) — w islamie imię stwórcy świata, miłosiernego opiekuna wszelkiego stworzenia, sędziego nad sędziami, Boga Jedyne

amfitrion (z gr.) — gościnnie pan domu, fundator uczty (od imienia męża Alkmeny, z którą Zeus spłodził — wbrew jej woli — Herkulesa, przybrawszy postać Amfitriona)

anachoreta (gr.) — pustelnik

Angelico Fra (Guido di Piętro zwany Il Beato lub Fra Giovanni da Fiesole, 1387–1455) — dominikanin, wczesnorenesansowy malarz szkoły florenckiej, twórca

obrazów religijnych głównie z życia Marii, malował anioły. Freski w klasztorze S. Marco we Florencji malował w 1436 r.

an g o r a — tu: kot o długiej miękkiej sierści (od nazwy miasta w Azji Mniejszej)

Anhelli — symboliczny poemat prozą biblijną J. Słowackiego (1809–1849), napisany w 1838 r., w którym poeta zawarł idee mesjanistyczne

an o m a l i a (z łac.) — tu: dziwoląg

Antoni św. — Egipcjanin z IV w., uważany za inicjatora ascetyzmu zakonnego; jego kuszenie przez złego ducha było częstym tematem literackim i malarskim

Antydot (z gr.) — środek przeciwdziałający

Apollin, Apollo — w mitologii greckiej bóg śmierci, mądrości, muzyki i poezji, przewodnik Muz, bóg-lekarz chorób ciała i duszy, bóg oczyszczania z win, bóg ziemi strzegący płonów, a także jako Febus bóg Słońca; zob. *Hiacynt*

aspekt (z łac.) — tu: wzajemne położenie gwiazd i planet, na którego podstawie układano horoskopy

asystencja (z fr.) — asysta, towarzyszenie komu

Augiaszowa stajnia — stajnie króla Augiasza, posiadacza niezliczonych stad bydła nigdy nie były czyszczone, Herkules miał je oczyścić w ciągu jednej doby, dokonał tego przepuszczając przez nie nurty rzeki; przenośnie: o wielkim nagromadzeniu błędów i zaniedbań wymagających usunięcia.

Ave! (łac.) — witaj!

Bachus, Bacchus (gr. *Bakchos* lub *Dionysos*) — w mitologii greckiej bóg wina i życiodajnych sił przyrody; bożek pijaków

baedeker (niem.) — przewodnik dla turystów; nazwa pochodzi od nazwiska niemieckiego wydawcy, inicjatora serii przewodników turystycznych po krajach świata, Karla Baedekera (1801–1859)

banicja (z łac.) — wygnanie z kraju i pozbawienie praw obywatelskich

Barbara św. — gotycki kościół ojców Jezuitów przy Placu Mariackim w Krakowie, wybudowany w XIV—XV w.

bawaria — piwiarnia, knajpa

Beduin — Beduini (po arabsku Bedawi tzn. mieszkańcy pustyni), nazwa nadawana przez Europejczyków wszystkim koczowniczym plemionom i ludom Arabii należącym do grupy semickiej

bella donna (wł.) — piękna pani; w botanice: belladonna — roślina z rodziny psiankowatych, jej owoc, wilcza jagoda, ma właściwości trujące, zawiera atropinę

Ben Akiba — postać XVII-wiecznego rabina amsterdamskiego ze sztuki Uriel Acosta (1846) niemieckiego pisarza K. Gutzkova, wypowiadająca w różnych odmianach zdanie: “Wszystko to już było”.

biała gorączka — wysoka temperatura ciała połączona z majaczeniem, bredzeniem i halucynacjami jako skutek ostrego zatrucia alkoholem

brakować — tu: odrzucać

braterstwo skandynawskie — tzw. braterstwo krwi w mitologii skandynawskiej polegało na tym, że mężczyźni w trakcie składania przysięgi nacinali sobie żyły i mieszały krew w wgłębieniu śladów swych stóp. Obowiązywała ich wzajemna lojalność i służenie sobie w każdej potrzebie tak jakby byli braćmi.

Buczacz — stare miasto powiatowe w

Tarnopolskiem, z ruinami zamku Potockich; w Buczaczu król Michał Korybut Wiśniowiecki w roku 1672 zawarł haniebny pokój z Turcją

buduar (fr.) — ozdobny pokój kobiety, gotowalnia

burgund — gatunek wina francuskiego (nazwa pochodzi od prowincji francuskiej, Burgundii)

Canal Grande (wł. Wielki Kanał) — szeroki kanał w kształcie litery S, oddzielający północną część Wenecji od południowej i stanowiący główną arterię komunikacyjną miasta. Przebiega między wspaniałymi pałacami, od dworca kolejowego do Kanału św. Marka; najsłynniejsza droga morska świata.

cent — drobna moneta wartości jednej setnej jednostki, m.in. w dawnej Austrii jedna setna guldena

chybić — tu: nie przyjść, zawieść, nie dopisać

cicerone (wł.) — przewodnik

Cré nom! (fr.) — przekleństwo

cygan — artysta, prowadzący życie nieregularne, ekscentryczne, wyrażające protest przeciw konwenansom, normom społecznym, uznanym poglądom estetycznym

czarna polewka — czernina, zupa z kaczej krwi, podawana starającemu się o rękę panny na znak odmowy

Dahn Felix (pseud. Ludwig Sophus, 1834–1912) — pisarz niemiecki, historyk prawa, przedstawiciel pedantycznie udokumentowanej powieści historycznej ilustrującej dzieje germańskie

derwisz — żebrzący mnich muzułmański, zazwyczaj członek mistyczno–ascetycznego bractwa religijnego

Diana — staroitalska bogini łowów, lasów, gór i księżycy, opiekunka kobiet i ich płodności; utożsamiana z

grecką Artemidą

dojeżdżacz, objezdnik — na dworach szlacheckich osoba opiekująca się psami myśliwskimi i ścigająca z nimi zwierzynę na łowach

Dolci Carlo (1616–1686) —malarz florencki, twórca portretów i obrazów religijnych pełnych zadumy i smutku

dopytywać się u kogo — tu: wyjednać, uzyskać

dumka — zachodnioukraińska ludowa piosenka liryczna, często w formie ballady o charakterze elegijnym; tu: w ogóle piosenka ludowa

dylizans (z fr.) — duży, zamknięty, publiczny pojazd konny używany w XVI–XIX w. do przewozu kilkunastu pasażerów i poczty

dżety (z ang.) — czarne błyszczące paciorki z odmiany węgla brunatnego lub imitacji, używane do przybrania kobiecego stroju

Ecco signorina (wł.) — oto panienko

egzekwie (z łac.) — żałobne nieszpory i jutrznia

Eh hien, baron! (fr.) — a więc baronie!

eksploracyjna (z łac.) — badawcza, poszukująca

ekwipaż (z fr.) — tu: lekki pojazd konny

elegia — utwór liryczny o smutnym nastroju

fantastyczny — tu: dziwaczny

farsa (z wł.) — komedia

faryzeusz — tu przerośnię: świętoszek, hipokryta, człowiek fałszywy, dwulicowy

faun — w mitologii rzymskiej bożek pól i lasów, przedstawiany z kozłimi rogami i nogami, z ogonem i spiczastymi uszami. Utożsamiany z greckimi satyrami i

sylenami; tu przenośnie: człowiek lubieżny

fiakier (z fr.) — dorożka; woźnica dorożki, dorożkarz

fideikomis (z łac.) — wielka własność ziemska dziedziczona tytułem spadku z zastrzeżeniem, że spadkobiercy nie przysługuje prawo sprzedaży, zastawu itp.

“*Figaro*”, “*Le Figaro*” — nazwa pisma paryskiego (od imienia tytułowego bohatera komedii Beaumarchais’go), od 1826 r. tygodnik literacki, od 1854 r. satyryczny, od 1866 r. dziennik

filipika — gwałtowna mowa oskarżycielska skierowana przeciw jakiejś osobie (nazwa pochodzi od trzech najsłynniejszych mów Demostene—sa przeciw Filipowi II Macedońskiemu w 351, 344 i 341 r. p. n. e.)

filister — człowiek ograniczony, małostkowy, prozaiczny, pozbawiony oryginalności, wrażliwości estetycznej; mieszczanin

fletnia — prosty instrument muzyczny składający się z szeregu złączonych razem piszczałek o różnej długości; znany od dawna na różnych kontynentach, bardzo popularny w starożytnej Grecji

Floriańska — ulica stanowiąca część tzw. Szlaku Królewskiego w Krakowie, prowadzącego na Wawel, od Bramy Floriańskiej do Rynku; znajdują się tu m.in. dom Jana Matejki i słynna kawiarnia Jama Michalika; por. Grodzka

fornal (z niem.) — człowiek obsługujący konie w majątku ziemskim, pracujący nimi na roli

frater (z łac.) — braciszek klasztorny

frutti di mare (wł. owoce morza) — jadalne mięczaki, małże, skorupiaki morskie

fular (z fr.) — chustka lub szal na szyję z cienkiego i miękkiego jedwabiu

furaż (z fr.) — pasza, obrok dla koni
furda — rzecz małej wagi, drobnostka, fraszka
furgon — wóz ładowny, kryty

Galgenhumor (niem.) — humor wisielczy

Goethe Johann Wolfgang (1749—1832) — największy niemiecki poeta romantyczny, autor m.in. Cierpień młodego Wertera, Hermana i Dorotei, Fausta (cz. I 1808, cz. II 1832), ballad

gratis (łac.) — darmo, bezpłatnie

Grodzka — ulica krakowska prowadząca od Rynku do Wawelu, przy niej mieszczą się: kościół romański z XI w. pod wezwaniem św. Andrzeja, w którym okoliczni mieszkańcy przetrwali oblężenie Tatarów w 1241 r., oraz kościół św. Piotra i Pawła — pierwszy kościół barokowy w Krakowie z końca XVI w., w którym znajduje się grób Piotra Skargi

gruntowny umysł — zasadniczy, rzetelny, głęboki

Guarda e passa (wł. spójrz i przejdź) — nie zwracaj na to uwagi

gulden srebrny — złoty reński; zob. reński

gwiaździarz — badający gwiazdy, wróżący z gwiazd; astrolog

hajduk — tu: służący, lokaj, strażnik ubrany z węgierska

hartowna — tu: silna psychicznie, opanowana

Hawełka — Antoni Hawełka (1840 —1894), kupiec krakowski, w 1876 r. otworzył w Rynku przy Linii A–B skład kolonialny “Pod Palmą”, który rozszerzony i przeniesiony do Krzysztoforów, znany był później jako firma Hawełka, od 1913 r. mieścił się w pałacu Spiskim.

Spadkobierca Hawełki, Franciszek Macharski, prowadził obok sklepu restaurację gromadzącą cyganerię krakowską

Herkules, Herakles — w mitologii greckiej heros obdarzony nadludzką siłą; aby odpokutować za niezamierzone zamordowanie własnej żony i dzieci, musiał — zgodnie z wyrocznią — wykonać dwanaście ciężkich i niebezpiecznych prac; zob. Augiaszowa stajnia, hydra

Hiacynt — w mitologii greckiej urodziwy młodzieniec ukochany przez Apollina; zabity przez niego przypadkiem (lub za sprawą zazdrosnego Zefira) podczas rzucania dyskiem

hiperprodukcja (z łac.) — produkcja przewyższająca popyt; nadprodukcja

hydra — przenośnie: zło, nieszczęście trudne do pokonania, wciąż na nowo się odradzające (w mitologii greckiej hydra to dziewięciogłowy wąż wodny, któremu na miejscu każdej uciętej głowy odrastały dwie nowe. Pokonał ją Herkules).

hydropatia (z gr.) — wodolecznictwo

Hylas — w mitologii greckiej piękny młodzieniec ukochany przez Heraklesa, który zabrał go z sobą na wyprawę Argonautów. Kiedy na postoju Hylas został wysłany po wodę, porwały go nimfy wodne najady.

Ici bas tous les lilas meurent/Tout es les fleurs ne fleurissent qu'un jour (fr.) — Na tym padole płaczu wszystkie bzy więdną/wszystkie kwiaty kwitną tylko przez jeden dzień (tłum. M. Opyd).

Ich habe gekusst zu trauter Stund/Die junge Koniginj Getrunken hab' ich von ihren Mund/Den seligen Trank der Minne (niem.) — Całowałem w intymnej godzinie/ Młoda królową,/Spijałem z ust jej/ Błogi napój miłosny (tłum. M.

Opyd).

Idźże do jądła, napoju,/Zostawże mnie w
spokóju/A kysz, a kysz! — żartobliwie użyty cytat
z Dziadów cz. II A. Mickiewicza; prawidłowo: “Zostawże
nas w spokoju”.

incognito (łac.) — skrycie, nieoficjalnie, zatajając
swoje nazwisko. indemnizacja(z łac.) — odszkodowanie,
wynagrodzenie strat i szkód

infamis (łac.) — tu: bezecnik, człowiek nikczemny,
bez czci

in folio (łac.) — w formie arkusza złożonego na dwie
części

interdykt (z łac.) — kara w Kościele katolickim
nałożona na osoby albo terytorium, zakazująca
przyjmowania pewnych sakramentów i odprawiania
pewnych czynności kultowych; tu przenośnie: zakaz.

intermezzo (wł.) — wstawka muzyczno-
dramatyczna o charakterze komicznym, wykonywana w
przerwach opery włoskiej w XVII— XVIII w., tu
przenośnie: przerwa

jerychonka, róża jerychońska, zmartwychwstanka —
właściwie nie róża, ale jednoroczna roślina z rodziny
krzyżowych, rzędu makowców, rosnąca na pustyniach
wschodniej części basenu śródziemnomorskiego; wierzone,
że po stworzeniu jej odpowiednich warunków (woda,
światło, temperatura) jerychonka rozkwita.

Kapitol — jedno z siedmiu wgórz starożytnego
Rzymu, stały na nim świątynie Jowisza, Minerwy i Junony;
był twierdzą, sanktuarium i symbolem Rzymu; tu: synonim
osiągnięcia szczytu społecznego

kaput (niem.) — żartobliwie: koniec, po wszystkim,

wszystko przepadło

Karlsbad (niem.) — słynne uzdrowisko w północno—zachodnich Czechach Karlovy Vary, stolica żupy solnej
kiełb — tu: głupiec; osoba bez znaczenia

kląć po węgiersku — kląć bardzo wymyślnie, bogato, ale w sposób niezrozumiały dla odbiorców

kolektorska żyłka — tu: żyłka zbieracza

komorne — tu: mieszkanie najemne

koncept (z łac.) — żart, dowcip konsylium (z łac.) — narada lekarzy w celu rozpoznania choroby i ustalenia sposobu jej leczenia

krewetki (z fr.) — podrząd raków dziesięcionogich, obejmujący liczne gatunki; zamieszkują strefę przybrzeżną wszystkich mórz i oceanów, masowo poławiane ze względu na smaczne mięso

kuplet (z fr.) — zwrotka dowcipnej satyrycznej piosenki o aktualnej treści, zakończona zwykle refrenem

kurierskie pociągi — pośpieszne

Laokoon — w mitologii greckiej książę trojański, który protestował przeciw wprowadzeniu do Troi drewnianego konia pozostawionego przez Greków. Zginął wraz z synami uduszony przez dwa olbrzymie węże, które wypęły z morza, prawdopodobnie zesłane przez Atenę nie chcąc dopuścić, aby rady Laokoona uratowały Troję,

legat (z łac.) — przeznaczenie przez spadkodawcę w testamencie określonego świadczenia majątkowego

liczman — żeton w grze; tu przenośnie: rzecz bezwartościowa, fałszywa

Lido, Lido di Venezia — piaszczysta wyspa zamykająca wejście do Laguny Weneckiej, popularne kąpielisko z piękną plażą o światowej sławie od początku

XIX wieku

limoniada (z fr.) — orzeźwiający napój z soku cytrynowego, wody i cukru; lemoniada

locum (łac.) — miejsce, pomieszczenie dla kogo, mieszkanie

Loki — w mitologii skandynawskiej olbrzym usynowiony przez bogów, wynalazł ogień; bardzo inteligentny, ale złośliwy, kapryśny i niezrównoważony, swoimi intrygami wywoływał kłótnie i śmierć. Za karę przykuty do skały.

madame est partie (fr.) — pani wyjechała

mademoiselle (fr.) — panna

magazyn — tu: sklep

majorat (z łac.) — zasada dziedziczenia własności ziemskiej, według której cały majątek, nie podzielony, przechodzi na najstarszego syna lub krewnego; majątek w ten sposób dziedziczony

majordomo, majordom, majordomus (z łac.) — dostojnik zarządzający dworem królewskim; marszałek dworu, zarządca domów wielkopańskich

Maria Stuart — tragedia F. Schillera (wyst. 1800 r., wyst. pol. 1820 r., wyd. pol. 1850 r.)

Matejko Jan (1838—1893) —największy polski malarz historyczny, profesor w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych; namalował m.in. Kościuszko pod Racławicami, Hołd Pruski, poczet królów polskich

Miss (ang.) — panna

miseria (z łac.) — bieda, nędza; tu: nędzne dzieło, bez wartości

Modrzejewska Helena (1840–1909) — wielka aktorka polska, odtwórczyni m.in. ról szekspirowskich; w

1876 r. wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie odniosła olbrzymi sukces

Moloch — okrutne bóstwo semickie, któremu składano ofiarę z dzieci; tu przenośnie: nienasycona tyrańska potęga, żądająca coraz nowych ofiar

Monako, **Monaco** — księstwo nad Morzem Śródziemnym na Riwierze Francuskiej, żyje z turystyki; zob. Monte Carlo

mon cheri! (fr.) — mój drogi!

Monte Carlo — uzdrowisko klimatyczne w Monako, posiada wspaniałe parki, słynne kasyno gry i Pałac Sztuk Pięknych

Munkacsy Michał (właśc. Lieb, 1846–1900) — malarz węgierski osiadły w Paryżu

Nicea (łac. Nicaea, fr. Nice, wł. Nizza) — miasto na Wybrzeżu Lazurowym południowo-wschodniej Francji, słynne uzdrowisko

nimfy — w mitologii greckiej boginki sił żywotnych i uroków przyrody, personifikacja rzek i mórz, źródeł, lasów, drzew i gór; zob. Hylas

Nizza — zob. Nicea

notabene (łac.) — do tego, w dodatku, nawiasem mówiąc

ochrona — przytułek, schronisko dla ubogich, kalek, starców

oleodruk (z niem.) — chromolitograficzna odbitka naśladowująca obraz olejny; z odcieniem ujemnym: obraz bez wartości artystycznej

on le passé à d'autres! (fr.) — łatwo pójdzie!

On revient toujours... (fr.) — powraca się

zawsze... (*on revient toujours à ses premiers amours* — powraca się zawsze do swej pierwszej miłości; z opery Isouarda Joconde; 1814 r.)

ordynat — właściciel majątku stanowiącego ordynację, majorat; zob. majorat

Ostenda — miasto w Belgii, położone nad Morzem Północnym, należy do najbardziej eleganckich miejscowości kąpielowych w Europie

ostracyzm (z gr.) — tu: bojkot towarzyski; w starożytnych Atenach sąd skorupkowy, czyli głosowanie zgromadzenia ludowego za pomocą skorupki, na których wypisywano imię obywatela prowadzącego działalność zagrażającą równości demokratycznej, ten, na którego padło co najmniej sześć tysięcy głosów, zostawał wygnany z kraju na dziesięć lat

Pallazzo Ducale — zob. Pałac Dożów

Pałac Dożów (wł. Palazzo Ducale) — w Wenecji, nad Kanałem św. Marka; dawna siedziba władz Republiki Weneckiej, wzniesiony w połowie XIV w. w stylu gotyckim, rozbudowany w XV—XVI w., z salami ozdobionymi przez malarzy weneckich (m. in. przez Tycjana, Veronese'a, Tintorette); od końca XVIII w. Muzeum

Panna Maria — kościół Mariacki w Krakowie, gotycka bazylika z XIV w. na Rynku, znajduje się w niej sławny ołtarz Wita Stwosza, wczesnobarokowe stalle, witraż wg J. Mehoffera i St. Wyspiańskiego. Z wieży kościoła Mariackiego co godzinę słychać hejnał emitowany w południe przez radio,

parantele (z łac.) — związki pokrewieństwa, powinowactwa

Part — członek Partów, staroirańskiego plemienia; strzała Parta — przenośnie: ostre, celne, trafne, dotkliwe słowa powiedziane na odchodnym, na pożegnanie

paszkwil (wł.) — zjadliwy utwór literacki wymierzony przeciw konkretnej osobie, ośmieszający ją, ubliżający jej; tu: oszczerstwo, kłamstwo

pedogra, podagra (z gr.) — przewlekła choroba charakteryzująca się napadowym, ostrym zapaleniem stawów i zwiększeniem ilości kwasu moczowego we krwi

penaty (z łac.) — bóstwa rzymskie opiekujące się wnętrzem domu i gospodarstwem domowym; żartobliwie: sprzęty domowe, mienie, rzeczy osobiste, manatki

Piazzetta (wł. placyk, skwer) — plac w Wenecji, położony między Pałacem Dożów, Starą Biblioteką i Kanałem św. Marka, na nabrzeżu stoją dwie kolumny — jedna z posągiem św. Teodora, druga ze skrzydlatym lwem, symbolem św. Marka

Plac św. Marka w Wenecji — jeden z najpiękniejszych placów świata, wyglądający jak wielka sala marmurowa (dł. 175 m, szer. 56–82 m) otoczona z trzech stron arkadami Prokuracji i Wieżą Zegarową, a z czwartej Bazyliką. Wraz z Kampanillą (dzwonnica z X w., wy s. 99 m) i przylegającą Piazzetta tworzy jeden z najciekawszych zespołów architektonicznych na świecie; zob. Piazzetta.

Planty krakowskie — założone w latach 1820–1830 na miejscu po kasacie i zniwelowaniu fortyfikacji, jeden z nielicznych w Europie ogrodów opasujących centrum miasta; obszar ponad 20 hektarów, obwód 4 km

Płowce — wieś na Kujawach pamiętna zwycięstwem odniesionym w 1331 r. przez Władysława Łokietka nad Krzyżakami, była to pierwsza większa bitwa zwycięska

Polaków z Zakonem

Podgórze (pierwotnie Josefsstadt) — dzielnica Krakowa na prawym brzegu Wisły, do 1919 r. osobne miasto założone po pierwszym rozbiore przez Austriaków

podgwinować — tu przenośnie: podnieść na duchu

podmalówka — pierwsza warstwa farby lub gęstego pokostu, po której maluje się farbami; grunt, pierwsze tło

poncz (z ang.) — gorący napój alkoholowy z wina, araku, rumu, herbaty, soku cytrynowego, cukru i przypraw korzennych

Post Blitz! (niem.) — przekleństwo

postponować (z łac.) — lekceważyć kogo, traktować z góry, ze wzgardą, mieć za nic, pogardzać kim

półdrabek — jedna z dwu wąskich drabin stanowiących boki wozu drabiniastego

prozelityzm (zgr.) — dążenie do nawracania innych na swoje wyznanie; dążenie do pozyskania zwolenników jakiejś idei, światopoglądu

prima (z łac.) — tu: pierwsza klasa pociągu

przewracać oczy — toczyć oczami; tu: “robić oczy”, umizgać się

Psyche (gr. tchnienie, dusza) — w mitologii greckiej królewna prześladowana z powodu swej urody przez Afrodytę (Wenus); ukochana Erosa (Amora); utraciła go, usiłując mimo zakazu ujrzeć go podczas nocnych odwiedzin; po długim okresie prób i cierpień Afrodyta pozwoliła jej połączyć się z Erosem; w sztuce starożytnej przedstawiano Psyche ze skrzydłami motyla

rano — tu: wcześniej

reflektować kogo — tu: przywołać kogo do rozważki, skłaniać do opanowania, spokoju

reński, złoty reński — dawna jednostka monetarna w krajach niemieckich, Austro–Węgier do 1892 r.; gulden austriacki

rezon (z fr.) — tu: odwaga

Ring wiedeński — ulica (dł. 4 km., szer. 57 m) otaczająca kołem śródmieście Wiednia, założona na miejscu murów obronnych miasta

Riwiera — wybrzeże Morza Śródziemnego we Francji (wschodnia część Lazurowego Wybrzeża) i we Włoszech. Region znany z piękności krajobrazu, łagodnego klimatu i bujnej roślinności. Najślynniejsze miejscowości Riwieri to: San Re—mo (Włochy), Mentona, Monte Carlo (Monako), Nicea i Cannes (Francja).

Robinson Crusoe — właśc. *Życie i zadziwiające przypadki Robinsona Crusoe, marynarza z Jorku*, tytuł przygodowej powieści Daniela Defoe (1719 r.)

Roma (wł.) — Rzym

rozhowory (z ukr.) — rozmowy, pogawędki

Rudawa — lewoboczny dopływ Wisły (wypływa spod Trzebini); dawniej dostarczała wody do fos otaczających mury miejskie

Salomon — król izraelski od ok. 970 do ok. 930 r. p.n.e., jego mądrość weszła w przysłowie i stała się źródłem legend na Wschodzie. W Biblii Tysiąclecia wspomniana przypowieść brzmi: “Złoty kolczyk na ryju świni to to samo, co piękna niewiasta bez obyczajności”,

salon paryski — duża zbiorowa wystawa, aktualny przegląd prac artystów organizowany cyklicznie, połączony z przyznawaniem nagród

San Giorgio, San Giorgio Maggiore — wczesnorenesansowy kościół zbudowany na wyspie w

latach 1566–1580

San Remo — zob. Riwiera

satyr — zob. Faun

securitati perpetuae (łac.) — ku wiecznemu bezpieczeństwu

Sejan (Eliusz Sejanus, Lucjusz) — prefekt pretorianów za Tyberiusza

semper fidelis (łac.) — zawsze wierny(a)

servus! (łac. sługa) — potocznie: forma poufalego pozdrowienia; cześć

Shylock — postać z komedii W. Szekspira Kupiec wenecki, żydowski lichwiarz

signorina (wł.) — panna

siostry miłosierdzia, szarytki (fr. *soeurs de charités*) — wincentynki, zgromadzenie zakonne założone w 1633 r. przez św. Wincentego a Paulo i św. Ludwikę de Mevillac, zajmujące się głównie pracą szpitalną (nosiły charakterystyczny duży biały kornet); do Polski sprowadzone przez Marię Ludwikę w 1652 r.

sjena (wł. Siena) — odmiana ochry żelazowej o barwie żółto-brunatnej, czasami ciemno-brunatnej, stosowana do produkcji farb olejnych oraz jako farba akwarelowa

skarotować (z fr.) — wyludzić, naciągnąć

skłon — tu: stok

sortownik — przyrząd gatunkujący, służący do sortowania

spencer — tu: męska kurtka przypominająca frak, z obciętymi połami, noszona w Europie w pół. XIX w.

spleen (ang.) — stan przygnębienia, apatii, uczucie beznadziejności, zniechęcenia

stancja — tu: prosty pokój, izba

Stradom — dzielnica w południowej części Krakowa,

między Plantami i Wawelem z jednej, a starym korytem Wisły (dziś planty Dietlowskie) z drugiej strony, zamieszkała przez ubogich i ludność żydowską (dziś tylko nazwa ulicy łączącej ulice Grodzką i Krakowską)

Styria (Steiermark) — kraj związkowy w środkowo-wschodniej Austrii ze stolicą Graz, region turystyczny: uzdrowisko klimatyczne, ośrodki wypoczynku i sportów zimowych

subretka (z fr.) — pokojówka; aktorka grająca pokojówki, podrzędna artystka

sukurs (z łac.) — pomoc, wsparcie, zasiłek

sułtan (tur.) — tytuł władcy Turcji do 1922 r., a także niektórych innych państw muzułmańskich

szafarka (z niem.) — osoba zarządzająca spiżarnią, dozorująca gogospodarstwa, mająca w swoim zarządzie klucze

szarpie (z fr.) — materiał opatrunkowy otrzymany z poszarpanych nitek wysnutych ze skrawków starego płótna lnianego lub bawełnianego

szóstka — pieniądź zawierający sześć centów

szwajcar (z niem.) — odźwierny, portier

szych (z węg.) — fałszywe złoto lub srebro używane do wyrobu galonów, haftów, koronek i ozdób

taburecik (z fr.) — tu: niski stołeczek pod nogi

tancsala — sala tańców dla mniej wybrednej publiczności

tarcza — tu: tarcza herbowa

tarok (z wł.) — gra w karty, do której używa się 78 kart z siedmioma królami

Tarpejska Skała — stroma ściana skalna na wzgórzu kapitolinśkim, z której Rzymianie za czasów

republiki zrzucali zdrajców i zbrodniarzy; tu: synonim kłeski

tercja (z łac.) — trzecia klasa pociągu

tęgo — tu: dobrze, zdrowo

Toggenburg — kraina w Szwajcarii; tu: symbol samotności i odludzia

torbę uszyć — doprowadzić do nędzy

Tosti Paddo (1846–1916) — włoski kompozytor wielu popularnych pieśni

trafika (z wł.) — sklep z wyrobami tytoniowymi

traken — koń rasy wyhodowanej w stadninie w Trakenach (dawne Prusy Wschodnie), typ konia rolniczego

trapista — członek zakonu kontemplacyjnego, założonego w 1664 r. jako odłam cystersów. Trapistów obowiązuje surowa reguła nakazująca stałe milczenie, ciężką pracę, posty (nazwa od opactwa La Trappe w Normandii).

Tres correct, mais respect (fr.) — bardzo poprawnie, ale z szacunkiem (daleko od siebie)

trop me squin (fr.) — zbyt nędzne

tum gotycki (z łac.) — kościół katedralny albo kolegiata

turczyć się — stawać się Turkiem, przechodzić na wiarę mahometańską; tu żartobliwie: zenić się z dwiema kobietami naraz

Tyberiusz (Tyberius Claudius Nero, 42 p.n.e. — 37 n.e.) — cesarz rzymski od 14 r. n.e.

Ty pójdziesz górą... — jedna z najpopularniejszych ludowych pieśni miłosnych, wywodząca się z tradycji szlacheckiej

Uficje florenckie (Pallazzo degli Uffizi) — pałac

we Florencji z XVI w., mieści archiwa państwowe i galerię sztuki

Vae victis! (łac.) — biada zwyciężonym! (słowa Brennusa, wodza galijskiego, w Psendolosie Plauta)

Veronese (właśc. Paolo Caliari, 1529—1588) — malarz włoski, malował freski i obrazy sztalugowe o tematyce religijnej, mitologicznej, historycznej i rodzinnej. Triumf Wenecji tworzył w Pałacu Dożów w latach 1580—1585.

Via Appia (wł. Droga Appijska) — najstarsza i najstynniejsza droga rzymska, zwana “królową dróg” (z312r. p.n.e.), z Rzymu do Brundisium; stanowiła cmentarzysko, gdyż nie wolno było grzebać zmarłych w obrębie miasta

vox populi, vox Dei (łac.) — głos ludu jest głosem Boga (z Listu do Karola Wielkiego, rok 800, mnicha, teologa i filozofa anglosaskiego, Alkuina)

walory — papiery wartościowe; obligacje, pieniądze

Wenera, Venus — w mitologii rzymskiej miano Afrodyty

westalka — w starożytnym Rzymie kapłanka strzegąca świętego ognia w świątyni Westy (bogini ogniska państwowego)

wety — deser

węgrzyn — wino węgierskie, w Polsce od XVIII w. cenione najbardziej

wiałnia — maszyna rolnicza służąca do wiania zboża, do oddzielenia od niego plewy i kurzu

witriol (z łac.) — stężony kwas siarkowy

wolant (z fr.) — resorowany pojazd na czterech

kołach, lekki, bez budy albo z budą składaną, w Polsce w XIX i na początku XX wieku

wota (z łac.) — w Kościele katolickim symboliczny przedmiot (korale, naszyjniki itp.) zawieszany na ołtarzach zwykle koło figury, obrazu, ofiarowany w jakiejś intencji lub w dowód wdzięczności

“Wyjechał z małą asystencją [...] ostatniej starości miał dopełnić” — cytata z IV księgi Roczników Tacyta

zalotnica z Cypru — zob. Afrodyta

zapoznanie — tu: zapomnienie

zawrót — tu: zakręt

Zola Emil (1840—1902) —pisarz francuski, twórca i przedstawiciel naturalizmu w literaturze. Najważniejsze dzieła to dwudziestotomowy cykl Rougon-Macquanowie..., *Germinal*, *W matni*.

“Zygmunt” — dzwon w katedrze wawelskiej na wieży Zygmuntowskiej, największy w Polsce, waży 8 ton, odlany w 1520 r. na polecenie Zygmunta I w Norymbergii z luf zdobytych armat, zawisł na wieży 13 VII 1521 r. Pokryty płaskorzeźbami przedstawiającymi św. Zygmunta, wskrzeszenie Piotrowina, herby Polski i Litwy; dzwoni w czasie większych uroczystości kościelnych i państwowych.